

DWA WROGIE ŚWIATY
POŁĄCZYĆ MOŻE TYLKO MIŁOŚĆ



PRZEZ
**BEZMIAR
NOCY**

VERONICA ROSSI

VERONICA ROSSI

PRZEZ
**BEZMIAR
NOCY**

TŁUMACZENIE
JOANNA DZIUBIŃSKA

WYDAWNICTWO
otwarte
KRAKÓW 2013

Dla Elisabeth i Flavia

1

PEREGRINE

Aria tu była.

Perry szedł przez noc prowadzony jej zapachem. Rytm jego kroków był równomierny, choć serce dudniło mu w piersi, kiedy rozglądał się po pogrążonym w ciemności lesie. Roar powiedział, że Aria znów jest na zewnątrz, i jako dowód przekazał mu fiołki. Perry musiał jednak ją zobaczyć, żeby uwierzyć.

Gdy dobiegł do skupiska skał, zrzucił łuk, kołczan i torbę. Przeskakiwał z głazu na głaz, aż stanął na najwyższym. Niebo zasłaniała gruba warstwa chmur, przez którą delikatnie przeświecała eterowa poświata. Przeszukiwał wzrokiem zielone wzgórza, a jego oczy zatrzymywały się na ogołoconych płatach ziemi. Wypalone, srebrne obszary były niczym blizny pozostawione przez zimowe burze. Spora część jego terytorium, oddalonego o dwa dni drogi na zachód, wyglądała tak samo.

Perry znieruchomiał, gdy w oddali zauważył smugę dymu unoszącą się znad ogniska. To musiała być ona. Była tak blisko.

– I co? – zawołał Reef z dołu. Stał jakieś sześć metrów niżej. Na jego ciemnobrązowej twarzy połyskiwał pot, którego kropla spływała strużką wzdłuż blizny sięgającej od nasady nosa aż nad ucho, dzieląc jego policzek na pół. Ciężko oddychał. Jeszcze kilka miesięcy temu byli sobie obcy. Teraz Reef był dowódcą straży Perry'ego i prawie zawsze stał przy jego boku.

Perry zeskoczył ze skały, z chrzęstem lądując na grząskiej pokrywie topniejącego śniegu.

– Jest na wschodzie. Półtora kilometra stąd, może mniej.

Reef przeciągnął rękawem po twarzy, odgarniając warkocze i ocierając pot. Zazwyczaj bez wysiłku dotrzymywał kroku Perry'emu, ale dwa dni nieustannego marszu ujawniły dziesięcioletnią różnicę wieku między nimi.

– Mówiłeś, że pomoże nam znaleźć Wielki Błękit.

– Tak będzie – odparł Perry. – Mówiłem ci już. Zależy jej na tym tak samo jak nam.

Reef pewnym krokiem ruszył w stronę Perry'ego i zatrzymał się niespełna pół metra przed nim.

– Tego mi nie mówiłeś. – Przechylił głowę na bok i głośno wciągnął powietrze nosem niczym zwierzę. Perry nie potrafił wyczuć żadnego zapachu, ale mógł sobie wyobrazić, co poczuł Reef. Pragnienie, zielone, wyraźne i żywe. Gęsty i piżmowy aromat pożądania, którego nie można było przegapić. Reef też był Scirem. Dokładnie wiedział, co Perry czuje na moment przed ujrzeniem Arii. Zapachy nigdy nie kłamały.

– Mamy ten sam cel – powiedział Perry z naciskiem. Podniósł swoje rzeczy i zarzucił je na ramię niecierpliwym szarpnięciem. – Rozbij tu obóz z pozostałymi. Wróć o świcie. – Odwrócił się, by odmaszerować.

– O świcie, Perry? Wydaje ci się, że Fale chcą stracić kolejnego Wodza Krwi?

Perry zatrzymał się i znów odwrócił w jego stronę.

– Setki razy przebywałem sam.

– Nie wątpię – przytaknął Reef. – Jako myśliwy. – Powoli, jakby nigdy nic, wyciągnął bukłak ze swojej skórzanej torby, choć nadal ciężko oddychał. – Teraz jesteś kimś więcej.

Perry wpatrywał się w las. Twig i Gren byli przed nimi, nasłuchując i wypatrując niebezpieczeństwa. Chronili go, odkąd opuścili terytorium Fal. Reef miał rację. Tu, na ziemiach niczyich, przetrwanie było jedyną regułą. Bez straży jego życie byłoby zagrożone. Perry powoli wypuścił powietrze, czując, jak znika jego nadzieja na spędzenie nocy tylko z Arią.

Reef zatkał bukłak jednym zdecydowanym uderzeniem.

– A więc? Co nakazuje mój przywódca?

Perry pokręcił głową na ten formalny zwrot – w ten sposób Reef przypominał mu o obowiązującej hierarchii. Jakby Perry mógł o niej zapomnieć.

– Twój przywódca potrzebuje godziny samotności – powiedział i ruszył biegiem w stronę lasu.

– Stój, Peregrine. Potrzebujesz...

– Tylko godzina – zawołał Perry, ledwie się odwracając.

Czegokolwiek chciał Reef, mogło to poczekać.

Kiedy miał pewność, że przyjaciel został daleko za nim, zacisnął dłoń na łuku i przyspieszył. Aromaty przemykały mu pod nosem, kiedy biegł pomiędzy drzewami. Intensywny, obiecujący zapach mokrej ziemi. Dym z ogniska Arii. I jej zapach. Fiołki. Słodkie i wyjątkowe.

Perry rozkoszował się piekącym bólem w nogach i rześkim powietrzem, które wypełniało mu płuca. Zimą najlepiej było trzymać się w jednym miejscu, by uniknąć niebezpieczeństwa burz, a on od dawna nie przebywał tak długo na otwartej przestrzeni – w każdym razie od czasu,

kiedy odprowadził Arię do Kapsuły Podu, gdy szukała matki. Powtarzał sobie, że wróciła tam, gdzie jej miejsce – do swoich ludzi. On też miał plemię, którym musiał się zająć. Dopiero kilka dni temu w wiosce pojawili się Roar z Cinderem i przekazali mu, że Aria już jest na zewnątrz. Od tamtej chwili myślał tylko o tym, by znów się z nią zobaczyć.

Perry biegł po zboczu miękkim od trawy i niedawnego deszczu, przyglądając się lasom. Pod koronami drzew było ciemniej, bo światło eteru słabo się przez nie przedzierało, a mimo to, dzięki umiejętności widzenia w ciemności, potrafił rozróżnić każdą gałąź i każdy liść. Z każdym krokiem zapach ogniska Arii stawał się wyraźniejszy. Nagle Perry przypomniał sobie, jak lubiła dla zabawy zakradać się do niego bezszelestnie niczym cień i całować go w policzek. Nie mógł powstrzymać uśmiechu, który pojawił mu się na twarzy.

Zauważył, że w oddali pomiędzy drzewami porusza się rozmazany kształt. Po chwili zobaczył Arię. Smukłą. Cichą. Uważnie rozglądającą się wokół. Kiedy go zobaczyła, jej oczy otworzyły się szerzej, nie zwolniła jednak kroku, tak samo jak on. Ściągnął swoje rzeczy, pozwalając im upaść, gdzie popadło, i ruszył biegiem w jej kierunku, a po chwili Aria – jej ciało i zapach – wpadła w jego objęcia.

Perry tulił ją do siebie.

– Tęskniłem za tobą – szepnął jej do ucha. Nie mógł trzymać jej przy sobie wystarczająco blisko. – Nigdy nie powinienem był pozwolić ci odejść. Tak bardzo mi ciebie brakowało.

Słowa wyrywały mu się z gardła. Powiedział mnóstwo rzeczy, których nie miał zamiaru mówić. W końcu Aria lekko się cofnęła i uśmiechnęła do niego, a wtedy nie był już w stanie wydusić z siebie nic więcej. Podziwiał łuki jej brwi, równie ciemnych jak jej włosy, i błysk inteligencji w szarych oczach. Dzięki delikatnym rysom była piękna. Jeszcze piękniejsza, niż pamiętał.

– Jesteś tu – powiedziała. – Nie byłam pewna, czy przyjdiesz.

– Wyruszyłem, kiedy tylko...

Zanim zdążył skończyć zdanie, Aria zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęli się całować – niezdarnie i pospiesznie. Oboje ciężko oddychali. Za dużo się uśmiechał. Perry chciał zwolnić, by się tym wszystkim nacieszyć, ale nie mógł znaleźć w sobie ani odrobiny spokoju. Nie był pewien, czy to on roześmiał się pierwszy, czy może była to Aria.

– Stać mnie na więcej – powiedział.

– Chyba urosłeś. Mogłabym przysiąc, że jesteś wyższy – wyrwało się Arii niemal jednocześnie.

– Wyższy? – zapytał. – Miejmy nadzieję, że nie.

– Tak – powiedziała. Przyglądała się jego twarzy, jakby chciała się wszystkiego o niej dowiedzieć. I tak wiedziała już niemal wszystko. Kiedy byli razem, powiedział jej o sobie rzeczy, których nigdy nikomu nie wyznał. Uśmiech Arii zbladł, kiedy jej wzrok zatrzymał się na łańcuchu zwisającym z jego szyi.

– Słyszałam, co się stało. – Wyciągnęła dłoń i dotknęła ciężkich ogniw leżących na jego obojczykach. – Teraz jesteś Wodzem Krwi – powiedziała łagodnym tonem bardziej do siebie niż do niego. – To... to zadziwiające.

Spojrzał w dół na jej palce gładzące srebrne ogniwa.

– Jest ciężki – powiedział. To była najwspanialsza chwila, od kiedy Perry kilka miesięcy temu przyjął łańcuch.

Aria spojrzała w jego oczy i nagle spochmurniała.

– Przykro mi z powodu Vale'a.

Perry popatrzył na pogrążony w mroku las i przełknął ślinę przez ściśnięte gardło. Wspomnienie śmierci brata nie dawało mu spać. Czasem kiedy był sam, nie mógł przez to oddychać. Delikatnie zdjął dłoń Arii z łańcucha i splótł swoje palce z jej palcami.

– Później – powiedział. Mieli całe miesiące, by nadrobić zaległości. Chciał porozmawiać z Arią o jej mamie. Chciał ją pocieszyć, bo Roar przekazał mu złe wieści. Ale nie teraz, kiedy dopiero ją odzyskał. – Później, dobrze?

Pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Później – odpowiedziała i odwróciła jego dłoń, by sprawdzić blizny po ranach, które zadał mu Cinder. Blade i cienkie jak strużki wosku, tworzyły siatkę rozpościerającą się od knykcii do nadgarstka. – Nadal ci dokuczają? – zapytała, śledząc palcami linie blizn.

– Nie. Przypominają mi o tobie... o tym, jak bandażowałaś mi dłoń. – Spuścił głowę i przytulił swój policzek do twarzy Arii. – To wtedy po raz pierwszy dotknęłaś mnie bez nienawiści. – Jej zapach otaczał go z wszystkich stron. Wypełniał go, niepokoił i uspokajał jednocześnie.

– Czy Roar powiedział ci, gdzie się wybieram? – zapytała.

– Tak, powiedział. – Perry wyprostował się i spojrzał w górę. Nie widział prądów eteru, ale wiedział, że tam są i snują się ponad chmurami. Każdej zimy burze eterowe stawały się silniejsze, przynosząc pożary i zniszczenia. Perry wiedział, że to się tylko nasili. Przetrwanie jego plemienia zależało od tego, czy znajdzie ziemię, która, jak głosiły plotki, jest wolna od eteru. Aria szukała tego samego. – Powiedział mi, że szukasz

Wielkiego Błękitu.

– Widziałeś Bliss.

Pokiwał głową. W poszukiwaniu matki dziewczyny razem udali się do Kapsuły Podu i przekonali się, że została zniszczona przez eter. Kopuły wielkości wzgórz zamieniły się w gruzy. Mury grube na trzy metry skruszyły się niczym skorupki jajek.

– To tylko kwestia czasu, zanim to samo stanie się z Reverie – mówiła dalej. – Wielki Błękit to nasza jedyna szansa. Wszystkie pogłoski prowadzą do Rogów. Do Sable’a.

Na dźwięk tego imienia puls Perry’ego przyspieszył. Minionej wiosny jego siostra Liv powinna była wyjść za mąż za Wodza Krwi plemienia Rogów, ale wystraszyła się i uciekła. Nadal się nie odnalazła, więc i tak wkrótce będzie musiał rozmówić się z Sable’em.

– Miasto Rogów nadal jest oddzielone lodem – powiedział. – Rim będzie poza naszym zasięgiem do czasu, aż śniegi na północy stopnieją. Może minąć jeszcze kilka tygodni, zanim to nastąpi.

– Wiem – odpowiedziała. – Myślałam, że do tej pory szlak stanie się przejezdny. Udam się na północ, kiedy tak się stanie.

Aria nagle odsunęła się od Perry’ego i zaczęła się rozglądać po lesie, gwałtownie kręcąc głową we wszystkie strony. Był przy tym, kiedy Aria odkryła, że jest Audem, a teraz każdy dźwięk stanowił dla niej nowe odkrycie. Perry przyglądał się, jak uważnie Aria wsłuchuje się w odgłosy nocy.

– Ktoś nadchodzi – oznajmiła.

– To Reef – powiedział Perry. – Jeden z moich ludzi. – Niemożliwe, żeby minęła już godzina. Nie ma mowy.

– W pobliżu jest więcej ludzi.

Perry poczuł gwałtowną zmianę jej nastroju, zimny lęk przed możliwym niebezpieczeństwem. Na chwilę serce przestało mu bić. Nie czuł się spętany czyimiś emocjami od miesięcy. Od ich ostatniego spotkania.

– Kiedy będziesz musiał wrócić? – zapytała.

– Niedługo. Rankiem.

– Rozumiem. – Znów zerknęła na łańcuch, a jej spojrzenie stało się nieobecne. – Fale cię potrzebują.

Perry pokręcił głową. Aria niczego nie zrozumiała.

– Nie przyszedłem tu tylko po to, by cię zobaczyć. Wróc ze mną do Fal. Tu nie jest bezpiecznie, a poza tym...

– Nie potrzebuję pomocy, Perry.

– Nie to miałem na myśli. – Był zbyt zdenerwowany, by uporządkować myśli. Zanim zdążył cokolwiek dodać, Aria zrobiła jeszcze jeden krok w tył, a jej dłonie zawisły nad nożami przypiętymi do pasa. Chwilę później spomiędzy drzew wyłonił się Reef. Jego szerokie plecy były przygarbione. Perry zaklął pod nosem, potrzebował przecież więcej czasu. Sam na sam z Arią.

Reef zatrzymał się, gdy zauważył, że Aria jest uzbrojona i gotowa do ataku. Pewnie nie tego spodziewał się po Osadniczce. Perry zauważył jej nieufne spojrzenie. Z powodu blizny biegnącej przez środek twarzy i prowokacyjnego spojrzenia Reef sprawiał wrażenie kogoś, kogo raczej należy unikać.

Perry odchrząknął.

– Aria, to Reef, dowódca mojej straży. – Dziwnie było przedstawiać sobie dwoje ludzi, którzy tyle dla niego znaczyli. Tak jakby powinni już się znać.

Reef skinął głową, nie patrząc na nikogo, po czym rzucił Perry'emu surowe spojrzenie.

– Pozwól na słowo – powiedział ostrym tonem i oddalił się.

Perry poczuł gniew, słysząc, jak Reef się do niego odnosi, ale zaufał mu.

– Zaraz wrócę – powiedział, spoglądając na Arię.

Nie odeszli daleko, gdy Reef odwrócił się tak gwałtownie, że jego warkocze zatańczyły wokół głowy.

– Nie muszę ci mówić, jak teraz pachnie twój nastrój, prawda? Bo pachnie *głupotą*. Przywiodłeś nas tu, bo uganiaasz się za dziewczyną, przez którą jesteś teraz taki...

– Ona jest Audem – przerwał mu Perry. – Wszystko słyszy.

Reef wymachiwał palcem w powietrzu.

– Chcę, żebyś to ty mnie usłyszał, Peregrine. Musisz myśleć o plemienu. Nie możesz sobie pozwolić na to, by dać się omotać jakiejś dziewczynie, a zwłaszcza Osadniczce. Zapomniałeś o tym, co się stało? Bo gwarantuję ci, że plemię nie zapomniało.

– Porwania to nie była jej wina. Nie miała z tym nic wspólnego. I tylko w połowie jest Osadniczką.

– To Kret, Perry! Tylko to ludzie będą widzieć.

– Zrobią, co im każę.

– Albo za twoimi plecami zwrócą się przeciw tobie. Uważasz, że dobrze zareagują, widząc cię z nią? Vale dobijał targu z Osadnikami, ale nigdy nie sprowadził sobie do łóżka jednej z nich.

Perry wyrwał się do przodu i złapał Reefa za kamizelę. Stali w napięciu, oddaleni od siebie zaledwie o centymetry. Perry czuł, jak jego język lodowacieje pod wpływem gniewu Reefa.

– Jasno się wyraziłeś. – Perry puścił Reefa i zrobił krok w tył, biorąc kilka głębokich wdechów. Ogarnęła ich cisza, tym głębsza po właśnie skończonej awanturze.

Perry podejrzewał, że przyprowadzenie Aarii do Fal może spowodować problem. Plemię obarczy ją odpowiedzialnością za zaginięcie dzieci tylko dlatego, że jest Osadniczką. To, czy była temu winna czy nie, nie miało znaczenia. Wiedział, że nie będzie to łatwe – przynajmniej na początku – ale on znajdzie jakiś sposób, by wszyscy się dogadali. Bez względu na wszystko chciał, aby Aria była przy nim, i podjął tę decyzję jako Wódz Krwi.

Perry spojrzał w stronę, gdzie czekała na niego Aria, a potem znowu na Reefa.

– Wiesz co?

– Co? – odparł Reef gniewnie.

– Masz fatalne wyczucie czasu.

Reef uśmiechnął się znacząco. Podrapał się w tył głowy i westchnął.

– Może i tak. – Kiedy znów się odezwał, w jego głosie nie było słyhać zaciekłości. – Perry, nie chcę, żebyś popełnił błąd. – Skinął głową, patrząc na łańcuch. – Wiem, ile cię to kosztowało. Nie chcę widzieć, jak to tracisz.

– Wiem, co robię. – Perry zacisnął pięść na chłodnym metalu. – Zdaj się na mnie.

2 ARIA

Aria wpatrywała się w drzewa, nasłuchując kroków wracającego do niej Perry'ego. Dostrzegła poblask łańcucha na jego szyi, a po chwili jego oczy jaśniejące w ciemności. Przedtem wtulili się w siebie z wielką siłą. Dopiero teraz, kiedy spokojnie zmierzał w jej stronę, mogła mu się dobrze przyjrzeć.

Robił wrażenie. Większe, niż pamiętała. Urósł, tak jak zauważyła na początku, i nabrał mięśni w ramionach. W półmroku dostrzegła też ciemny płaszcz i dopasowane proste spodnie w miejsce poszarpanych, połatanych ubrań myśliwego, które miał na sobie, gdy się poznali. Jego blond włosy były krótsze i pasmami otulały jego twarz. Różniły się od długich, niesfornych fal, które znała przedtem.

Miał dziewiętnaście lat, ale wydawał się starszy niż jej znajomi z Reverie. Ilu z nich przeszło to co Perry? Ilu z nich musiało się opiekować setkami ludzi? Żaden. Pochodzili z zupełnie innych światów. Eter, pomyślała. Tylko to łączyło Osadników i Wykluczonych. Tylko to zagrażało i jednemu, i drugiemu.

Perry zatrzymał się kilka kroków przed nią. Na wyraziste rysy jego twarzy padało blade światło, w którym Aria dostrzegła cienie pod jego oczami. Przejechał dłonią po jasnym zaroście na policzkach. Ten szeleszczący dźwięk był jej tak bliski, że mogła niemal poczuć pod palcami złote włoski.

– Przepraszam cię za Reefa.

– Nie szkodzi – powiedziała, choć nie była to prawda. Jego słowa tłukły się Arie po głowie. „Osadniczka”, rzucił. „Kret”. Gorzkie obelgi. Słowa, których nie słyszała od miesięcy. U Marrona czuła się jak jedna z nich.

Jej wzrok spoczął na dzielącej ich ziemi. Dla niej odległość trzech kroków. Dla niego dwóch. Jeszcze przed chwilą byli w siebie wtuleni. Teraz stali przed sobą jak obcy ludzie. Jakby nagle wszystko się zmieniło.

Błąd. Reef też użył tego słowa. Czy miał rację?

– Może powinnam sobie pójść.

– Nie. Zostań. – Perry zrobił krok do przodu i wziął ją za rękę. – Zapomnij o tym, co powiedział. Ma charakterek. Gorszy niż ja.

– Gorszy? – zapytała, spoglądając mu w oczy.

Jego usta ułożyły się w lekko skrzywiony uśmiech, za którym tak tęskniła.

– Prawie. – Nachylił się do niej, a jego spojrzenie spoważniało. – Nie przyszedłem tu spędzić z tobą jednej nocy ani zaoferować ci pomocy. Jestem tu, bo chcę być z tobą. Mogą minąć tygodnie, zanim stopnieje śnieg na przełęczy prowadzącej na północ. Poczekamy na to, a potem razem odnajdziemy Wielki Błękit. – Zamilkł na chwilę i spojrzał jej prosto w oczy. – Wróc ze mną, Ario. Bądź ze mną.

Na dźwięk tych słów obudziło się w niej coś wspaniałego. Postanowiła zapamiętać je jak piosenkę – każdą nutę, niespiesznie wypowiedzianą jego niskim, ciepłym głosem. Cokolwiek się wydarzy, ona zatrzyma w sobie te słowa. Niczego nie pragnęła bardziej, niż się zgodzić, ale nie mogła uciec od niepokoju, który zagnieżdżył się w jej żołądku.

– Chcę z tobą być – odparła – ale teraz nie chodzi już tylko o nas dwoje. – Perry miał zobowiązania wobec całego plemienia Fal, a i ona nie była wolna od obietnic. Konsul Hess, który odpowiadał za bezpieczeństwo w Reverie, groził, że skrzywdzi Talona, bratanka Perry’ego, jeśli Aria nie poda mu współrzędnych Wielkiego Błękitu. To był powód, a właściwie jeden z powodów, dla którego wróciła do świata na zewnątrz.

Aria spojrzała w oczy Perry’ego, ale nie potrafiła się zdobyć na to, by powiedzieć mu o szantażu Hessa. Nie mógłby nic na to poradzić. Jeśli mu powie, tylko go zmartwi.

– Reef powiedział, że plemię zwróci się przeciw tobie – upierała się.

– Reef się myli. – Perry z poirytowaniem spojrzał w stronę lasu. – Może minąć trochę czasu, zanim się przyzwyczają, ale zrobią, co im każę. – Uścisnął jej dłoń, a w oczach miał uśmiech. – Zgódź się. Wiem, że tego chcesz. Roar mnie pobije, jeśli wrócę bez ciebie, zresztą istnieje jeszcze jeden powód, dla którego powinnaś pójść ze mną. Może to pozwoli ci zdecydować.

Przesunął dłonią po jej ramieniu i przeszedł kciukiem zarys jej bicepsa. Dotyk stwardniałej skóry łuczника, dziwnie szorstki i delikatny zarazem, sprawił, że przeszył ją dreszcz. Po chwili usłyszała szelest gałęzi, a szorstka dłoń dotknęła jej policzka. Nikt oprócz niego nie potrafił sprawić, by czuła się lepiej tu i teraz.

Perry mówił dalej. Żeby za nim nadażyć, musiała się skupić.

– Potrzebujesz Znaczeń. Ich nieposiadanie jest niebezpieczne.

Ukrywanie Zmysłu może okazać się zgubne, Ario. Ci, którzy to robią, giną z rąk innych.

– Roar mi o tym mówił – odparła. Ukrywała się w lasach, odkąd

opuściła siedzibę Marrona, więc brak Znaczeń nie sprawił jej jeszcze problemu. Jednak kiedy uda się na północ, natknie się na innych ludzi. Nie mogła zaprzeczyć, że z tatuażami Audilów będzie bezpieczniejsza.

– Tylko Wódz Krwi może zażądać ich nadania, a tak się składa, że jednego znam.

– Poprzesz nadanie mi Znaczeń? Mimo że tylko w połowie jestem Wykluczoną?

Przechylił głowę, a blond fale opadły mu na twarz.

– Tak, całym sercem.

– A co z... – Głos Arii zanikł, jakby nie była pewna, czy chce wypowiedzieć pytanie, które od miesiący tłuło się w jej głowie. Musiała jednak poznać odpowiedź, nawet jeśli miało to oznaczać, że usłyszy coś, co ją załamie. – Powiedziałeś mi, że możesz być tylko z innym Scirem, a ja nie jestem... – Zagryzała wargę i dokończyła zdanie w swojej głowie. – *Nie jestem taka jak ty. Nie jestem osobą, której chcesz.*

Pod jego spojrzeniem twarz Arii się rozjaśniła. Bez względu na to, co powiedziała i czego nie powiedziała, Perry wyczuwał, jak głębokie było jej poczucie niepewności.

Przysunął się jeszcze bliżej i zaczął obwodzić jej rysy kciukiem.

– Z twojego powodu inaczej patrzę teraz na różne sprawy. A ta to tylko jedna z nich.

Nagle Aria poczuła, że nie mogłaby go zostawić. Musiała znaleźć sposób, żeby to wszystko się jakoś udało. Była pewna, że plemię znienawidzi ją za to, że jest Osadniczką, jeśli pojawi się w wiosce, trzymając się z Perrym za rękę, Fale stracą wszelką wiarę w jego zdrowy rozsądek. Ale gdyby tak wraz z Perrym sprawić, by wszyscy skoncentrowali swoją uwagę na czymś innym? Na czymś, czego potrzebowali? Przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

– Czy w ogóle mówiłeś coś Falom na mój temat? – zapytała.

Perry zmarszczył czoło. Najwyraźniej zaskoczyła go tym pytaniem.

– Powiedziałem kilku osobom, że pomożesz nam odnaleźć Wielki Błękit.

– Nic więcej?

– Nie rozmawiałem z nikim o nas, jeśli o to ci chodzi. – Wzruszył ramionami. – To prywatna sprawa... Między nami.

– I lepiej niech tak zostanie. Wróć z tobą jako sprzymierzeniec, a „nas” nie będziemy w to mieszać.

Zaśmiał się ponuro.

– Mówisz poważnie? Mamy *klamać*?

– Nie będziesz kłamać. Niewiele będzie się to różnić od tego, co powiedziałaś przed chwilą. Zatrzymamy prywatne sprawy dla siebie. Damy plemieniu szansę przywyknąć do nas i nie ujawnimy się, dopóki nie będziemy mogli przewidzieć ich reakcji. Roar nie piśnie słowem, jeśli go poprosimy. A Reef?

Perry zacisnął zęby i pokiwał głową.

– Przyrzekł mi poddaństwo. Zrobi wszystko, co mu nakażę.

Trzask pękającej gałązki sprawił, że Aria całą swoją uwagę skupiła na pogrążonym w ciemności lesie. Usłyszała trzy różne rodzaje kroków, jeden cięższy od pozostałych. To straż Perry’ego zmierzała w ich kierunku. Mężczyźni mówili ściszymi głosami, ale w jej uszach każdy głos brzmiał inaczej – dzięki temu rozróżniała mężczyzn, jak rysy twarzy.

– Pozostali nadchodzą.

– Niech przyjdą – powiedział Perry. – To moi ludzie. Nie muszę niczego przed nimi ukrywać.

Chciała mu wierzyć, ale musieli być mądrzejsi. Jako nowy przywódca Perry potrzebował poparcia plemienia. Aria nie mogła jednak zaprzeczyć, że Znaczenia zwiększyłyby jej szanse na odnalezienie Wielkiego Błękitu, nie wspominając nawet o tym, że o wiele łatwiej byłoby jej podróżować z Perrym do Rimu. Był myśliwym i wojownikiem. Wiedział, jak przetrwać. Nie знаła nikogo innego, kto tak swobodnie czułby się na ziemiach niczyich. Były to wystarczające powody, by na kilka tygodni udać się do Fal, zanim ruszy w dalszą drogę. Jeśli tylko będą dostatecznie ostrożni, dostaną z Perrym wszystko, czego chcą.

Strażnicy Perry’ego byli coraz bliżej, a ich kroki z sekundy na sekundę dudniły coraz głośniejsze. Aria stanęła na palcach i położyła dłonie na torsie Perry’ego.

– To najlepszy sposób. Najbezpieczniejszy – wyszeptała.

Szybko dotknęła ustami jego warg, ale ani trochę jej to nie wystarczyło. Ujęła więc jego twarz w dłonie, czując miękki zarost, za którym tak tęskniła, i jeszcze raz mocno i namiętnie go pocałowała, by zaraz potem się cofnąć.

Kiedy pojawił się Reef wraz z dwoma mężczyznami, ona i Perry stali oddaleni od siebie o kilka kroków, zachowując bezpieczny dystans, niczym obcy sobie ludzie.

3 PEREGRINE

Dwa dni później, przeszedłszy przez dąbrowę, Perry zobaczył wioskę Fal osadzoną na zboczu. Za wioską kłębiły się ciemne chmury. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola sięgające aż po wzgórza okalające dolinę.

Kiedy był dzieckiem, wiele razy wyobrażał sobie, jak to jest być Wodzem Krwi, ale nic nie było w stanie równać się z tym, co czuł teraz. Był to pierwszy raz, kiedy wrócił na *swoje* terytorium. Od ziemi do nieba każdy człowiek, drzewo i kamień pozostawali w jego władaniu.

Aria pojawiła się przy jego boku.

– To twoja wioska?

Perry przerzucił łuk i kołczan na plecy, próbując zamaskować zaskoczenie. W drodze powrotnej Aria nie poświęcała mu więcej uwagi niż Reefowi, który nie chciał nawet na nią spojrzeć, czy Grenowi lub Twigowi, którzy nie potrafili przestać się na nią gapić. Nocami spali po przeciwnych stronach ogniska, a w ciągu dnia właściwie ze sobą nie rozmawiali. Jeśli już zamienili słowo, wyrażali się krótko i obojętnie. Nie mógł znieść udawania, ale jeśli to miało jej pomóc czuć się swobodnie wśród plemienia, będzie przestrzegał zasad. Przynajmniej na razie.

– Tak – powiedział, kiwając głową. Przez cały dzień chmury straszyły deszczem i teraz zaczęła padać lekka mżawka. Miał nadzieję, że chmury się rozproszą i wyjdzie zza nich słońce lub wyłoni się eter, którekolwiek ze źródeł światła. Niebo od wielu dni było jednak nieustępliwe. – To mój ojciec zarządził, by miała owalny kształt. W ten sposób łatwiej jej bronić. Mamy drewniane ściany, które zamyka się między domami podczas napadów. Najwyższa konstrukcja... Widzisz tamten dom? – Pokazał palcem. – To kantyna. Serce plemienia.

Perry zamilkł, kiedy mijali ich Twig i Gren. Tego poranka posłał Reefa przodem, żeby przekazał wieści Falom i dał wszystkim znać, że Aria jest pod jego ochroną jako ich sprzymierzeniec. Chciał, aby jej przybycie przebiegło tak gładko jak to tylko możliwe. Ponieważ Twig i Gren ich wyprzedzili, Perry lekko przysunął się do Arie i skinął głową, wskazując na wypaloną połąć ziemi na południu.

– W zimie burza eterowa spaliła tamten las. Zniszczyła też część naszego najlepszego pola uprawnego. – Jego ramionami wstrząsnął lekki

dreszcz, kiedy poczuł zapach jej nastroju. Jaskrawozielony. Zapach mięty. Była pobudzona i nieco podenerwowana. Zapomniał, jak to jest być komuś bezgranicznie oddanym. Nie tylko wyczuwać czyjeś emocje, ale i samemu ich doznawać. Aria nie wiedziała, że pomiędzy nimi powstała taka więź. Nie powiedział jej o tym jesienią, bo myślał, że już więcej jej nie zobaczy, ale miał zamiar powiedzieć jej o tym wkrótce. Kiedy będą sami.

– Zniszczenia mogły być jednak gorsze – ciągnął. – Udało nam się powstrzymać rozprzestrzenianie ognia i wioska nie ucierpiała.

Przyglądał się jej, gdy wpatrywała się w horyzont. Dolina Fal nie stanowiła wielkiego terytorium, ale miała żyzną ziemię usytuowaną blisko morza i była korzystnie położona z punktu widzenia bezpieczeństwa. Czy Aria to dostrzegła? Była to dobra земля, kiedy nie nękał jej eter. Perry nie wiedział, ile to jeszcze potrwa. Kolejny rok? Najwyżej dwa, zanim eter zamieni tę krainę w spopieloną pustkę.

– Jest tu o wiele piękniej, niż sobie wyobrażałam – powiedziała w końcu.

Perry odetchnął z ulgą.

– Tak?

Aria spojrzała na niego z uśmiechem w oczach. Gdy się odwróciła, Perry pomyślał, że może stoją zbyt blisko siebie. Skoro udawali, że są tylko sprzymierzeńcami, to czy nie mogli po prostu ze sobą rozmawiać? Czy uśmiech to zbyt wiele? Wtedy dostrzegł to, co Aria usłyszała.

W ich stronę po polnej drodze biegła Willow, a przy jej boku pędził Pchlarz. Pies dosięgnął ich pierwszy, stawiając uszy i szczerząc kły w stronę Arii.

– Nie bój się – powiedział Perry. – Pies jest przyjazny.

Aria nie ruszyła się z miejsca i wspięła się na palce, gotowa wykonać szybki unik.

– Nie wygląda – odparła.

Roar mówił Perry'emu, że w ostatnich miesiącach Aria nauczyła się walczyć. Perry teraz to widział. Wyglądała na silniejszą, zwinniejszą, przywykłą do odczuwania strachu.

Perry oderwał od niej wzrok i ukląkł.

– No już, Pchlarz! Daj pani spokój. – Pchlarz zrobił krok do przodu i zaczął wachać buty Arii, powoli machając ogonem, a na koniec na nią wskoczył. Perry pogłaskał szorstką sierść psa, mozaikę brązowych i czarnych łat.

– To pies Willow. Nigdy nie zobaczysz ich osobno.

– Podejrzewam, że to właśnie ona? – odparła Aria.

Perry w porę się wyprostował, by zobaczyć, jak Willow mija Grena i Twiga, pozdrawiając ich przelotnie. Zaraz potem rzuciła się mu w ramiona, tak samo jak miała w zwyczaju, kiedy była trzylatką. W wieku trzynastu lat robiła się już na to za duża, ale Perry'ego zawsze to bawiło, więc Willow nie rezygnowała.

– Powiedziałeś, że nie będzie cię tylko kilka dni – krzyknęła Willow, gdy tylko Perry postawił ją na ziemi. Miała na sobie swój codzienny strój, zakurzone spodnie, koszulę i buty, w ciemne włosy wplotła czerwone płócienne wstążki zrobione ze spódnicy, którą mama uszyła jej zimą, a którą dziewczyna rozdarła na strzępy.

– Minęło zaledwie parę dni – odparł Perry z uśmiechem.

– Ciągnęły się jak wieczność – odpowiedziała Willow, po czym podejrzliwie spojrzała na Arię swymi brązowymi oczami.

Kiedy Arię wyrzucono z Reverie, trudno było nie zauważyć, że to Osadniczka. Mówiła ostrymi, urywanymi dźwiękami, jej skóra była biała jak mleko i miała trudny do zniesienia zjełczały zapach. Teraz różnice zanikły i zwracała na siebie uwagę z innych powodów – powodów, dla których Twig i Gren przyglądali się Arii nieustannie, kiedy tylko nie patrzyła w ich stronę.

– Roar mówił, że przyjdiesz z Osadniczką – odezwała się w końcu Willow. – Powiedział, że się polubimy.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylił – powiedziała Aria, głaszcząc Pchlarza po głowie. Pies siedział teraz przy niej i radośnie sapał.

Willow uniosła brodę.

– Pchlarz najwyraźniej cię lubi, więc może ja też. – Spojrzała na Perry'ego, który mógł wyczuć jej nastrój. Zwykle był to ożywczy cytrusowy zapach, teraz jednak na krawędziach jego pola widzenia pojawiły się ciemne odcienie, dając mu znak, że coś jest nie w porządku.

– Co się stało, Will? – zapytał.

– Wiem tylko, że Bear i Wylan czekają na ciebie i nie wyglądają na zadowolonych. Pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć wcześniej. – Willow wzruszyła drobnymi ramionami, po czym pomknęła z powrotem z Pchlarzem przy boku.

Perry skierował się w stronę wioski, zastanawiając się, co tam zastanie. Bear, ogromny mężczyzna o łagodnym sercu i dłoniach nieustannie brudnych od pracy w polu, zajmował się wszystkim, co wiązało się z uprawą ziemi. Obrażalski i gburowaty Wylan był przywódcą rybaków plemienia. Obaj bez przerwy sprzeczali się o to, co ma dla Fal większą wartość – niczym w niekończącej się walce pomiędzy wodą

a ładem. Perry miał nadzieję, że nie chodzi o nic więcej.

Aria szła przy jego boku pewnym krokiem, kiedy przez bramę wioski weszli na główny dziedziniec, a mimo to Perry wyczuwał chłód jej strachu. Zobaczył swój dom jej oczami – krąg domostw zrobionych z drewna i kamienia, wysmaganych słonym powietrzem – i po raz kolejny zadał sobie pytanie, o czym ona myśli. Nie było tu w najmniejszym stopniu tak wygodnie jak u Marrona i nie było porównania z tym, do czego przyzwyczyły ją Kapsuły Podu.

Przybyli na miejsce tuż przed kolacją – w niefortunnym momencie. Wielu ludzi kręciło się w pobliżu kantyny, czekając na wezwanie na posiłek. Inni stali w oknach i drzwiach, przyglądając się im szeroko otwartymi oczami. Jeden z chłopców Graya pokazał ich palcem, a drugi, stojący obok, zaczął chichotać. Brooke wstała z ławeczki przed swoim domem, spoglądając to na Perry'ego, to na Arię. Perry poczuł nagły przypływ poczucia winy na wspomnienie rozmowy, jaką odbyli zimą. Powiedział Brooke, że nie mogą być razem, bo on ma zbyt wiele na głowie. *Zbyt wiele* oznaczać miało Arię, dziewczynę, której – jak wtedy myślał – już nigdy nie zobaczy.

Nieopodal Bear i Wylan rozmawiali z Reefem. Gdy zauważyli Perry'ego, zamilkli. Jakiś instynkt nakazywał mu iść do swojego domu. I tak niedługo się nimi zajmie. Nie dostrzegł Roara – jedynej osoby, która w tej chwili mogłaby mu być pomocna.

Perry zatrzymał się przed swoimi drzwiami i trącił stopą koszyk z podpałką. Spojrzał na Arię, która stała przy nim, i poczuł, że powinien coś powiedzieć. *Witamy? Nie stanie ci się tu krzywda?* Wszystko brzmiało zbyt oficjalnie.

– Jest mały – powiedział w końcu.

Wszedł do środka, czując zażenowanie na widok koców rozrzuconych po podłodze i brudnych kubków na stole. W kącie leżały skotłowane ubrania, a sterta książek, która stała przy przeciwległej ścianie, przewróciła się. Morze znajdowało się aż pół godziny drogi stąd, ale na drewnianej podłodze leżał piasek. Mogło być gorzej jak na dom, w którym żyło sześciu mężczyzn.

– Śpi tu moja Szóstka – wyjaśnił. – Poznałem ich po tym, jak... – Nie potrafił wypowiedzieć słowa „odeszłaś”. Nie wiedział dlaczego, ale nie mogło mu to przejść przez gardło. – Są teraz moją strażą. Wszyscy są Naznaczeni. Poznałaś już Reefa, Twiga i Grena. Jest jeszcze Hyde, Hayden i Maruder. Wszyscy trzej są Vidami. Maruder tak naprawdę ma na imię Haven, ale... sama zobaczysz. – Podrapał się po brodzie, zmuszając się do

tego, by przestać kłapać dziobem.

– Masz świecę lub lampę? – zapytała.

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z ciemności. Dla niego kształty pomieszczenia były w pełni wyraźne. Dla Arii, czy kogokolwiek innego, były pograżone w mroku. W takich sytuacjach zawsze zapominał o swoich oczach. Był Videm, ale jego wzrok największą moc zyskiwał w ciemności. Aria nazwała to kiedyś mutacją – wpływem eteru, który wypaczył mu wzrok bardziej niż innym. Myślał o tym raczej jak o przekleństwie, przypomnieniu o matce obdarzonej Zmysłem widzenia, która zmarła, wydając go na świat.

Perry otworzył okiennice, wpuszczając do środka ponure popołudniowe światło. Plac w centrum wioski aż huczał od plotek o przybyciu Arii. Perry nie mógł nic na to poradzić. Skrzyżował ramiona – widząc ją w swoim domu, czuł ucisk w żołądku. Nie mógł uwierzyć, że tu jest.

Aria podeszła do okna i zaczęła oglądać leżącą na parapecie kolekcję struganych sokołów Talona. Perry wiedział, że Bear i Wylan czekają na niego, ale nie mógł się ruszyć.

Odchrząknął i odezwał się:

– Zrobiliśmy je razem. Jego są całkiem niezłe. Mój sokół wygląda jak żółw.

Aria podniosła figurkę i obróciła ją w palcach. Jej szare oczy były pełne ciepła.

– Ta podoba mi się najbardziej.

Perry skierował wzrok na jej usta. Byli sami. Nie stali tak blisko siebie od chwili, kiedy ostatnio trzymał ją w swoich ramionach.

Aria odstawiła figurkę i zrobiła krok w tył.

– Na pewno mogę tu zostać?

– Oczywiście. Możesz zająć pokój. – Z miejsca gdzie stali, widział brzeg łóżka swojego brata, przykryty wypłowiałym czerwonym kocem. Wolałby, żeby nie musiała tam spać, ale nie widział innej możliwości. – Ja śpię tam. – Wskazał głową na antresolę.

Aria oparła swoją torbę o ścianę i spojrzała na drzwi, uśmiechając się na dźwięki poza jego zasięgiem. Chwilę później niczym huragan do izby wpadł Roar.

– W końcu! – krzyknął. Chwycił Arię w objęcia i poderwał ją z ziemi. – Co tak długo? Lepiej nie odpowiadaj. – Rzucił Perry’emu spojrzenie. – Chyba się domyślam. – Postawił ją na ziemi i uściśnął Perry’emu rękę. – Dobrze, że wróciłeś.

– Co mnie ominęło? – zapytał Perry, uśmiechając się szeroko.

Zanim Roar zdołał odpowiedzieć, Wylan, Bear i Reef weszli do środka i w pomieszczeniu zapadła niezręczna cisza. Stali przez długą chwilę, gapiąc się na jedyną obcą osobę w swoim gronie. Zapachy emocji w izbie zrobiły się wyraźniejsze i gorętsze, zabarwiając pole widzenia Perry'ego na czerwono. Nie chcieli jej tutaj. Wiedział, że zareagują w ten sposób, ale jego dłonie i tak zacisnęły się w pięści.

– To Aria – powiedział, zwalczając w sobie chęć, by stanąć bliżej niej. – W połowie jest Osadniczką, tak jak powiedział wam Reef. W zamian za dach nad głową będzie nam pomagać w odnalezieniu Wielkiego Błękitu. Podczas pobytu tutaj zostanie naznaczona jako Audil.

Słowa te wydawały mu się szorstkie jak żwir. Mówił prawdę, ale tylko połowiczną, przez co przypominała mu ona raczej kłamstwo. Dostrzegł pytający wzrok Roara.

Bear wystąpił przed szereg, wykręcając swoje wielkie dłonie.

– Wybacz moje pytanie, Perry, ale jak Kret ma nam w czymkolwiek pomóc?

Wylan wymamrotał coś pod nosem. Aria rzuciła mu wściekle spojrzenie, a Roar napiął mięśnie. Oboje byli Audami i słyszeli go bardzo wyraźnie.

Perry poczuł falę ciepła i nagłą potrzebę, by przyłożyć Wylanowi. Zdał sobie sprawę, że to, co czuje – to, co go uderzyło – to gniew Arii. Wziął głęboki wdech, próbując odzyskać równowagę.

– Masz coś do powiedzenia, Wylanie?

– Nie – odpowiedział. – Nie mam nic do powiedzenia, sprawdzałem tylko, czy jej uszy działają. – Uśmiechnął się przebiegle. – I działają.

Reef poklepał Wylana po ramieniu z taką siłą, że drobniejszy od niego mężczyzna aż się skrzywił.

– Bear i Wylan właśnie mi opowiadali, co się działo podczas naszej nieobecności.

Perry już czekał na relację z ich ostatniej awantury.

– W porządku, słucham.

Bear skrzyżował ręce na szerokiej piersi, ściągając grube ciemne brwi.

– Wczoraj w nocy w spiżarni wybuchł pożar. Myślmy, że to przez chłopaka, który wczoraj przybył z Roarem. Przez Cindera.

Perry spojrzał na Roara i Arię, czując, jak ogarnia go niepokój. Tylko oni wiedzieli o wyjątkowej zdolności Cindera, by przekazywać siłę eteru.

– Nikt go na tym nie przyłapał – powiedział Roar, czytając

w jego myślach. – Uciekł, zanim ktokolwiek zdążył go schwytać.

– Uciekł? – zapytał Perry.

Roar przewrócił oczami.

– Wiesz, jaki jest. Wróci. Zawsze wraca.

Perry napiął zranioną rękę. Gdyby na własne oczy nie widział, jak Cinder rozprawia się z bandą Krukorów za pomocą ognia, sam by w to nie uwierzył.

– Jak zniszczenia?

Bear skinął głową w stronę drzwi.

– Tam chyba łatwiej będzie wam pokazać – powiedział, wychodząc za próg.

Perry zatrzymał się w progu i odwrócił do Arii. Wzruszyła ramionami ze zrozumieniem. Minęło dopiero dziesięć minut od ich przybycia, a on już musiał ją opuścić. Nie mógł tego znieść, ale nie miał wyboru.

Spizarnia na tyłach kantyny mieściła się w podłużnym pomieszczeniu zbudowanym z kamienia, w którym wzdłuż ścian ciągnęły się drewniane półki pełne pojemników z ziarnem, przyprawami i ziołami oraz stały kosze pełne nowalijek. Zazwyczaj chłodne powietrze spizarni wypełniał aromat jedzenia, jednak gdy tym razem Perry wszedł do środka, czuł jedynie gęsty zapach palonego drewna. Maskował on delikatną woń eteru – zapach, którym pachniał Cinder.

Zniszczeniu uległa jedna strona pomieszczenia. Część półek zupełnie spłonęła.

– Pewnie upuścił lampę – powiedział Bear, drapiąc się po gęstej czarnej brodzie. – Szybko ugasiliśmy pożar, ale straty i tak są duże. Musieliśmy wyrzucić dwa kosze ziarna.

Perry pokiwał głową. Nie mogli sobie pozwolić na takie straty. Racje żywieniowe Fal i tak były już skąpe.

– Dzieciak cię okrada – powiedział Wylan. – Okrada nas wszystkich. Kiedy zobaczę go następnym razem, wygonię go z naszego terytorium.

– Nie – odparł Perry. – Przyślij go do mnie.

4 ARIA

– Wszystko w porządku? – szepnął Roar, kiedy dom opustoszał.

Aria wypuściła powietrze z płuc i pokiwała głową, choć nie była tego całkiem pewna. Oprócz Roara i Perry’ego wszyscy, którzy przed chwilą byli w tym domu, czuli do niej odrazę. Za to, kim jest.

Osadniczką. Dziewczyną z miasta pod kopułami. Krecią przybłądą, jak wymamrotał pod nosem Wylan. Próbowwała się na to przygotować, zwłaszcza po całych dniach lodowatych spojrzeń, jakie posyłał jej Reef, ale i tak była wstrząśnięta. Podobnie byłoby, gdyby to Perry znalazł się w Reverie. Gorzej. Tamtejsi strażnicy zabiliby go bez słowa.

Odwróciła się od drzwi, rozglądając się po przytulnym, zabałaganionym domu. Stół i pomalowane krzesła po jednej stronie pomieszczenia. Miski i garnki w najróżniejszych kolorach wzdłuż półek za nimi. Dwa skórzane fotele przed paleniskiem, zniszczone, ale wygodne. Wzdłuż przeciwległej ściany kosze pełne książek i drewnianych zabawek. Dom był chłodny, cichy i delikatnie pachniał dymem i starym drewnem.

– To prawdziwy dom, Roar.

– Tak.

– Nie mogę uwierzyć, że tu jestem. Jest tu cieplej, niż się spodziewałam.

– Nie tak ciepło jak kiedyś.

Rok temu ten dom wypełniali członkowie rodziny Perry’ego. Teraz został już tylko Perry. Aria zastanawiała się, czy to dlatego śpi tutaj Szóstka. Na pewno były tu inne domy, w których mogli się zatrzymać. Może dom pełen ludzi sprawiał, że Perry mniej tęsknił za rodziną? Pewnie nie. Nikt nie byłby w stanie wypełnić pustki po jej matce. Ludzi nie da się zastąpić.

Przypomniała sobie swój własny pokój w Reverie. Mała kwadratowa, uporządkowana przestrzeń, szare ściany i zabudowana komoda. Jej pokój też był kiedyś prawdziwym domem. Teraz jednak za nim nie tęskniła. Teraz wydawał się jej tak przytulny jak metalowe pudło. Tęskniła tylko za tym, jak się tam czuła. Bezpieczna. Kochana, otoczona ludźmi, którzy ją akceptują. Którzy nie szepczą o niej pod nosem „Kret-przybłąda”.

Zdała sobie sprawę, że nie ma już swojego miejsca. Nie ma figurek

na parapecie. Nie ma przedmiotów, które mogłyby zaświadczać o jej istnieniu. Wszystkie jej rzeczy były wirtualne i znajdowały się w Sferach. Nie były prawdziwe. Teraz nie miała nawet mamy.

Nagle poczuła się tak, jakby nic nie ważyła. Jak balon, który odpiął się od kosza, czuła, że dryfuje w powietrzu, lekka jak piórko.

– Jesteś głodna? – zapytał Roar, tonem jak zawsze pogodnym i radosnym, nieświadomy jej myśli. – Zwykle jemy w kantynie, ale mogę przynieść posiłek dla nas tutaj.

Odwróciła się. Roar oparł biodro o stół i skrzyżował ramiona. Tak jak ona od stóp do głów ubrany był na czarno.

– Nie to co u Marrona, prawda? – zapytał żartobliwym tonem.

Spędzili tam razem miniony miesiąc, kiedy Roar kurował zranioną nogę. Ona leczyła głębsze obrażenia. Krok po kroku, dzień po dniu pomogli sobie nawzajem wrócić do formy.

Roar uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Wiem. Tęskniłaś za mną.

Aria przewróciła oczami.

– Minęły ledwie trzy tygodnie, odkąd się widzieliśmy.

– Smutne czasy – powiedział. – To jak? Wrzucimy coś na ząb?

Aria spojrzała na drzwi. Nie mogła się chować, jeśli chciała, by Fale ją zaakceptowały. Musiała zmierzyć się z nimi twarzą w twarz. Pokiwała głową.

– Prowadź.

– Jej skóra jest zbyt gładka. Jak u węgorza.

Uszu Arii dobiegł głos ociekający złośliwością.

Plemię zaczęło o niej plotkować, jeszcze zanim zdążyli zająć z Roarem miejsce przy jednym ze stołów. Podniosła ciężką łyżkę i zamieszała nią w misce potrawki, próbując skoncentrować uwagę na czymś innym.

Kantyna zbudowana była z grubo ciosanych kamieni i przypominała trochę średniowieczny dom, a trochę chatę myśliwych. Stało tam wiele świec i wielkich stołów na kozłach. Po obu stronach kantyny znajdowały się ogromne kominki. Dzieci ganiały się po pomieszczeniu, a ich głosy mieszały się z dźwiękami gotującej się wody i trzaskiem ognia. Z brzękiem, siorbaniem, z rozmowami i odgłosami jedzenia oraz picia. Beknięcie. Śmiech. Szczekanie psa. Każdy odgłos spotęgowany przez grube kamienne ściany. Pomimo harmidru dobiegły ją okrutne szepty.

Dwie młode kobiety prowadziły rozmowę przy sąsiednim stole. Jedna z nich była ładną, niebieskooką blondynką. Tą samą, która

przyglądała się Arii, kiedy wchodziła do domu Perry'ego. To musiała być Brooke. Jej młodsza siostra Clara też przebywała w Reverie. Vale sprzedał ją tak samo jak Talona w zamian za pożywienie dla Fal.

– Myślałam, że Osadnicy umierają od oddychania powietrzem z zewnątrz – powiedziała Brooke.

– To prawda – odpowiedziała druga dziewczyna. – Ale podobno ona jest Kretem tylko w połowie.

– To ktoś w ogóle chciał tknąć Osadniczkę?

Aria mocniej zacisnęła palce na łyżce. Obrażali jej matkę, która nie żyła, i ojca, który pozostawał dla niej zagadką. I wtedy to do niej dotarło. Mówiliby to samo o niej i o Perrym, gdyby znali prawdę. Rozmawialiby o tym, że nie brzydził się jej dotknąć.

– Perry powiedział, że zrobią jej Znaczenia.

– Kret ze Zmysłem – powiedziała Brooke. – Niewiarygodne. Kim jest?

– Chyba Audilem.

– To znaczy, że nas słyszy.

Chichot.

Na ten dźwięk Aria zacisnęła zęby. Roar, który w milczeniu siedział tuż przy niej, lekko nachylił się w jej stronę.

– Posłuchaj mnie uważnie – szepnął jej do ucha. – To najważniejsza rzecz, jaką musisz wiedzieć podczas pobytu w wiosce. – Aria wpatrywała się w miskę potrawki, czując, jak serce uderza jej o żebra.

– Nigdy nie jedz plamiaka. Zawsze jest strasznie przegotowany.

– Roar! – powiedziała Aria z przekąsem, szturchając go w bok.

– Mówię poważnie! Jest twardy jak guma: – Roar spojrzał na przeciwną stronę stołu. – Mam rację, Will? – odezwał się do siwego mężczyzny o niebywale białej brodzie.

Mimo że Aria od miesiący przebywała na zewnątrz, nadal nie mogła się napatrzeć na zmarszczki, blizny i inne oznaki starzenia. Kiedyś były dla niej odrażające. Teraz na widok szorstkiej twarzy mężczyzny prawie się uśmiechnęła. Ciała ludzi na zewnątrz były jak mapy wspomnień.

Willow, dziewczyna, którą Aria poznała wcześniej, usiadła koło niej. Aria poczuła ciężar na bucie i spojrzała pod stół. Leżał tam Pchlarz.

– Dziadku, Roar zadał ci pytanie – powiedziała Willow.

Starszy mężczyzna nastawił uszu w stronę Roara.

– O co chodzi, piękniśiu?

Roar podniósł głos w odpowiedzi.

– Mówiłem Arii, żeby nie jadła plamiaka.

Stary Will popatrzył na nią i wyduł usta, robiąc kwaśną minę. Aria poczuła, jak się czerwieni w oczekiwaniu na jego odpowiedź. Słyszeć szepty to jedno, co innego, gdy ktoś mówi ci coś w twarz.

– Mam siedemdziesiąt lat – powiedział w końcu. – Siedemdziesiąt lat i czuję się świetnie.

– Stary Will nie jest Audem – szepnął Will.

– Zorientowałam się. Czy on cię nazwał „pięknisiem”?

– Dziwisz mu się? – odparł Roar, przeżuując potrawę.

Popatrzyła na jego regularne rysy.

– Właściwie to nie – odparła, choć „piękniś” nie do końca pasował do jego ciemnej urody.

– A więc dostaniesz Znaczenia – powiedział. – Może będę twoim świadkiem?

– Myślałam, że Perry... Peregrine nim będzie – powiedziała Aria.

– Perry je zagwarantuje i będzie przewodniczył ceremonii, ale to tylko część obchodów. Część, którą wykonać może tylko Wódz Krwi.

Tęga kobieta po przeciwnej stronie stołu nachyliła się do nich.

– Ktoś o tym samym zmyśle co ty musi przysiąc, że twój słuch nie jest udawany. *Jeśli* jesteś Audem, tylko inny Aud może to zrobić.

Aria uśmiechnęła się, zauważając emfazę, z jaką kobieta wypowiedziała słowo „jeśli”.

– Jestem Audem, więc tak się pewnie stanie.

Kobieta przyglądała się jej oczami o miodowym odcieniu. Miała minę, jakby właśnie podjęła jakąś decyzję, bo zacięty wyraz jej twarzy nagle się rozluźnił.

– Jestem Molly.

– Molly to nasza uzdrowicielka. Jest żoną Beara – wyjaśnił Roar. – Ma charakterek silniejszy niż mąż, prawda, Molly? – Po czym zwrócił się do Arii. – To ja powinienem za ciebie świadczyć, nie sądzisz? Idealnie się do tego nadaję. To ja cię wszystkiego nauczyłem.

Aria pokręciła głową, próbując zachować poważną minę. Roar rzeczywiście był świetny do tej roli. Naprawdę nauczył ją wszystkiego, co wiedziała o dźwiękach. O nożach też.

– Wszystkiego oprócz skromności – powiedziała.

– A komu ona potrzebna – odparł Roar, krzywiąc się.

– Nie wiem, może tobie, piękniś.

– Bzdura – odparł Roar i wrócił do jedzenia.

Aria nie bez trudu zrobiła to samo. Potrawka była smaczną mieszanką jęczmienia i świeżego białego mięsa ryby. Nie mogła jednak

zjeść więcej niż kilka kęsów. Plemię nie tylko szeptało na jej temat, ale też obserwowało każdy jej ruch.

Odłożyła łyżkę i sięgnęła pod stół, by pogłaskać Pchlarza po głowie. Pies mrugnął do niej i przysunął się bliżej. Miał inteligentne spojrzenie, którego brakowało psom w Sferach. Aria nie zdawała sobie sprawy, że zwierzęta mają tak wyraźne osobowości. Była to jedna z wielu niekończących się różnic pomiędzy jej dawnym a nowym życiem. Zastanawiała się, czy plemię zmieni zdanie na jej temat, tak jak Pchlarz.

Aria podniosła wzrok, słysząc, że gwar w kantine cichnie. Perry wszedł do środka w towarzystwie trzech młodych mężczyzn. Obaj jasnowłosi i wysocy, posturą przypominali Perry'ego. Domyśliła się, że to Hyde i Hayden. Trzeci, niższy o głowę mężczyzna kilka kroków za nimi, zapewne był Maruderem. Wszyscy nosili się jak Vidowie – mieli łuki przewieszane przez plecy, byli wysocy i rozglądali się wokół z uwagą.

Perry od razu ją zauważył. Skinął głową, co było bezpiecznym gestem wobec sprzymierzeńca, ale i tak na chwilę wstrzymała oddech, licząc na więcej. Usiadł przy stole z kolegami, znikając w morzu głów. Chwilę później jej uszu znów dobiegły okrutne szepty.

– Nie wygląda na prawdziwą. Założę się, że nie krwawiłaby, gdyby ją zranić.

– Spróbujmy. Tylko troszkę, żeby się przekonać.

Aria podążyła wzrokiem za głosem. Zobaczyła, że Brooke bacznie się jej przygląda. Aria położyła dłoń na nadgarstku Roara, wdzięczna za jego wyjątkową zdolność. Potrafił dosłyszeć myśli przez dotyk. Nie wywołało to jej wielkiego zdziwienia. Nie różniło się od używania Wizjera, który nosiła przez całe życie. Działał w podobny sposób – przez słuchanie myśli dzięki fizycznemu kontaktowi.

– *To dziewczyna Perry'ego, prawda?* – przekazała mu w myśli.

Roar zatrzymał łyżkę w połowie drogi do ust.

– Nie... Jestem dość pewien, że jesteś nią ty.

– *Jest zła. Być może będę chciała zrobić jej krzywdę.*

– Chętnie bym to zobaczył – odparł Roar, uśmiechając się szeroko.

– Popatrz tylko na nią. – Znów odezwał się głos Brooke. – Przymiła się do Roara. Wiem, że mnie słyszysz, Krecie. Marnujesz swój czas. On należy do Liv.

Aria szybko cofnęła dłoń z jego nadgarstka. Roar westchnął, spoglądając na nią. Odłożył łyżkę i odsunął miskę.

– Chodźmy stąd. Chcę ci coś pokazać.

Wyciągnęła nogi spod stołu i poszła za nim, koncentrując się na

plecach Roara. Mijając Perry'ego, zwolniła, pozwalając sobie na rzucenie mu spojrzenia. Słuchał Reefa, który siedział naprzeciw niego, ale jego oczy na chwilę uniosły się w jej kierunku i spotkały z jej wzrokiem.

Żałowała, że nie może mu powiedzieć, jak bardzo za nim tęskni. Tak bardzo chciała siedzieć teraz przy nim. Wtedy zdała sobie sprawę, że swoim nastrojem właśnie mu to powiedziała.

Roar poprowadził ją ścieżką wijącą się między wydmy. Światło eteru przebijało się przez chmury, rzucając poświatę na ścieżkę i wysoką szeleszczącą trawę. Kiedy szli, pospieszny dźwięk mieszał się z niskim świstem wiatru. Aria czuła, jak przeszywa ją syk, szept i ryk, narastające z każdym krokiem.

Zatrzymała się po pokonaniu ostatniej wydmy. Przed nią rozpościerało się najprawdziwsze morze, sięgające po krańce istnienia. Słyszała miliony fal, z których każda była wyraźna i gniewna, ale razem tworzyły łagodny chór donośniejszy niż wszystko, co знаła. W Sferach setki razy widziała morza i oceany, lecz one nie przygotowały jej na rzeczywistość.

– Gdyby piękno miało dźwięk, brzmiałoby właśnie tak.

– Wiedziałem, że to pomoże – powiedział Roar, szczerząc w ciemności białe zęby. – Audzi mówią, że morze ma w sobie wszystkie dźwięki świata. Trzeba tylko słuchać.

– Nie wiedziałam o tym. – Zamknęła oczy, pozwalając, by zawładnęły nią odgłosy, i nasłuchując głosu matki. Gdzie było spokojne zapewnienie Luminy, że cierpliwość i logika są rozwiązaniem wszystkich problemów? Nie słyszała go, ale wierzyła, że te słowa gdzieś brzmią. Aria spojrzała na Roara, odsuwając od siebie żal. – A widzisz, jednak nie wszystkiego mnie nauczyłeś.

– To prawda – przyznał Roar. – Ale nie mogę ryzykować, że kiedyś zacznę cię nudzić.

Szli razem blisko linii wody. Po chwili Roar usiadł na piasku i oparł się na łokciach.

– Powiesz mi, o co chodzi z tym udawaniem?

Aria usiadła obok niego.

– Tak będzie najlepiej – odparła, zagrzebując palce w piasku.

Wierzchnia warstwa nadal miała w sobie ciepło dnia, ale spód był chłodny i wilgotny. Rozsypała piasek na kolanie Roara. – Słyszałeś, jak mnie nienawidzą. Wyobraź sobie tylko, co by się działo, gdyby wiedzieli, że Perry i ja jesteśmy razem. – Pokręciła głową. – Nie wiem.

– Czego nie wiesz? – Roar uśmiechnął się, jakby chciał się droczyć.

Ta chwila zdawała się znajoma, choć nigdy wcześniej tu nie byli. Nie był w stanie zliczyć, ileż razy poprzedniej zimy tak jak teraz rozmawiali o Perrym i Liv.

Aria rozsypała na jego kolanach kolejną garść piasku, słuchając delikatnego szumu rozbijających się fal.

– To był mój pomysł. Tak będzie najbezpieczniej, ale jednocześnie dziwnie jest udawać. Jakby między nami była szklana ściana. Jakbym nie mogła go dotknąć... ani z nim przebywać. Nie lubię tego uczucia.

Roar poruszył kolanem, burząc kupkę piasku.

– Czy jego głos nadal brzmi jak dym i ogień?

Aria przewróciła oczami.

– Nie wiem, dlaczego ci to powiedziałam.

Przechylił głowę w bok w geście, który był kwintesencją Perry'ego, po czym położył dłoń na sercu, co było do Perry'ego zupełnie niepodobne.

– Aria, twój zapach przypomina... kwiat w rozkwicie. – Niemal idealnie udawał niski głos Perry'ego. – Choć do mnie, moja słodka różyczko.

Aria dała mu kuksańca w ramię, co sprawiło jedynie, że zaśmiał się głośniej.

– Nie róża, tylko fiołek. I zapłacisz mi za to, kiedy poznam Liv.

Uśmiech Roara zniknął. Przeczesał dłonią ciemne włosy i usiadł prosto, w milczeniu obserwując rozbijające się fale.

– Nadal ani słowa? – zapytała cicho. Kiedy siostra Perry'ego zniknęła minionej wiosny, Roarowi pękło serce.

– Ani słowa – pokręcił głową.

Aria również się wyprostowała i otrzepała dłonie z piasku.

– Już niedługo. Wkrótce się pojawi. – Żałowała, że wspomniała o Liv. Roar musiał bardziej odczuwać jej nieobecność tutaj, gdzie wspólnie dorastali.

Spojrzała na morze. Daleko na horyzoncie chmury pulsowały oślepiającym światłem i ciskały leje eteru. Aria nie mogła sobie wyobrazić, że znajduje się pośród nich. Perry mówił jej kiedyś, że nagłe gwałtowne burze zawsze stanowiły niebezpieczeństwo na morzu. Nie wiedziała, skąd rybacy plemienia biorą odwagę, by codziennie wyprawiać się na połów.

– Wiesz, że szkło można bardzo łatwo rozbić, Ario? – Roar przyglądał się jej z życzliwością.

– Masz rację. – Jak mogła narzekać? Było jej dużo łatwiej niż jemu. Przynajmniej znajdowali się z Perrym w tym samym miejscu. –

Przekonałeś mnie. Rozbiję szkło. Przy następnej okazji.

– Bardzo dobrze. Roztrzaskaj je w drobny mak.

– Tak zrobię. I ty będziesz musiał zrobić to samo, kiedy znajdziemy Liv. – Czekala, aż jej przytaknie. Chciała, by tak zrobił, ale Roar zmienił temat.

– Czy Hess wie, że tu jesteś?

– Nie – odparła. Wyciągnęła Wizjer z małej kieszonki w podszewce swojej skórzanej torby. – Ale muszę się z nim skontaktować. – Powinna była to zrobić poprzedniego dnia, w planowy dzień ich spotkania, ale podczas podróży do wioski nie miała okazji. – Zrobię to teraz.

Gładka łąka, przezroczysta niczym kropla wody i niemal równie jędrna, wyglądała jak z innego świata w porównaniu z wypłowiałymi od słońca i wysmaganymi wiatrem budynkami wioski. Tylko że urządzenie było z innego świata. Z jej świata. Nosiła je przez całe życie, ani razu głębiej się nad tym nie zastanawiając, tak jak pozostali Osadnicy. Mogła za to podziękować konsulowi Hessowi.

Aria podniosła Wizjer i położyła go sobie na lewym oku. Urządzenie przyssało się do jej skóry wokół oczodołu. Uczucie to było silne i znajome, ale po chwili biotechnologiczne tworzywo zmiękło i przyjęło płynną konsystencję. Aria mrugnęła kilka razy, przyzwyczajając się do patrzenia przez przezroczystą powierzchnię. Kiedy Wizjer zaczął się uruchamiać, na monitorze pojawiły się czerwone litery, które unosiły się na tle oceanu.

WITAJ W SFERACH! LEPSZE NIŻ RZECZYWISTOŚĆ!

Napis zbladł, a po nim pojawił się inny: **AUTORYZACJA.**

Odwróciła głowę, obserwując, jak litery podążają za jej ruchem.

ZAAKCEPTOWANE – głosił napis na ekranie i znajome kłujące wrażenie rozprzestrzeniło się w jej głowie, przenikając aż do kręgosłupa. W ciemności unosiła się tylko jedna systemowa ikona podpisana „HESS”. Kiedy miała swój prywatny Wizjer, było w nim pełno ikon jej ulubionych Sfer, nowe posty, wiadomości od znajomych. Hess jednak tak zaprogramował urządzenie, by mogła się skontaktować tylko z nim.

– Połączyłaś się? – zapytał Roar.

– Tak.

Położył się, opierając głowę na rękach.

– Obudź mnie, jak skończysz. – Dla niego wyglądała tak, jakby w spokoju siedziała na plaży. Nie widział świata, jaki otworzył przed nią Wizjer.

– Nadal tu jestem, przecież wiesz.

Roar zamknął oczy.

– Może i jesteś, ale nie naprawdę.

Myślami wybrała ikonę, dając Hessowi znać, że jest podpięta.

Chwilę później zaczęła frakcjonować, a jej świadomość zaczęła się dzielić. Było to irytujące, ale bezbolesne wrażenie – jakby nagle obudziła się w obcym miejscu. W jednej chwili znajdowała się w dwóch miejscach naraz – na plaży z Roarem i w wirtualnej rzeczywistości Sfer, do której doprowadził ją Hess. Skierowała swoją uwagę na Sfery i znieruchomiła, oślepią nagłą jasnością. Rozejrzała się wokół, próbując przyzwycząić wzrok do świata, który nagle stał się różowy.

Wokół niej znajdowały się nieskończone szeregi drzew wiśni. Ich gałęzie uginały się od kwiecica, a płatki przykrywały ziemię niczym różowy śnieg. Usłyszała nagły szelest i po chwili obsypał ją różowy deszcz płatków.

Na początku widok zaparł jej dech w piersiach, po chwili zauważyła jednak idealną symetryczność gałęzi i równomierne odstępy pomiędzy drzewami. Zdała sobie sprawę, że nie słyszy ani jak płatki upadają na ziemię, ani szelestu gałęzi. Lekki wiatr szumiał tak samo monotennie. Wiedziała teraz, że ten dźwięk jest zbyt agresywny, by mógł być prawdziwy. O Sferach mówiono, że są lepsze niż rzeczywistość. Kiedyś też tak myślała. Latami przemierzała przestrzenie takie jak ta, bezpiecznie schroniona między murami Reverie, nie mając o niczym pojęcia. Nie wiedząc, że nie ma niczego lepszego od rzeczywistości.

Albo gorszego, pomyślała, nagle przypominając sobie Paisley. Jej najlepsza przyjaciółka zobaczyła to, co najstraszniejsze w prawdziwym świecie. Ogień. Ból. Przemoc. Aria nadal nie mogła uwierzyć, że jej przyjaciółka odeszła na zawsze, tak jak niemal wszystkie wspomnienia o niej i o jej starszym bracie. Zawsze trzymali się we trójkę.

Jak Caleb dawał sobie radę w Reverie? Czy nadal uciekał do Sfer? Czy zaczął żyć dalej? Z trudem przełknęła ślinę, czując nagłą tęsknotę. Tęskniła za dawnymi przyjaciółkami – Rune i Pixie, i za tym, jak kiedyś wyglądało jej życie. Podwodne koncerty i imprezy w chmurach. Fantazyjne przygody, jak laserowy berek z dinozaurami, surfowanie po chmurach i randki z greckimi bogami. Jej życie tak bardzo się zmieniło. Teraz, kiedy spała, miała nóż w zasięgu ręki.

Aria spojrzała w górę, czując, że brakuje jej tchu. Przez różowe gałęzie zobaczyła błękitne niebo, po którym nie snuły się smugi eteru ani gęste chmury. Tak musiało wyglądać niebo trzysta lat temu, przed Jednością. Zanim ogromny słoneczny rozbłysk uszkodził magnetosferę

Ziemi, otwierając ją na kosmiczne burze.

W ziemskiej atmosferze spowodowało to niewyobrażalne zniszczenia. Eter. Teraz widziała niebo, które wyobrażała sobie jako Wielki Błękit – jasne, przejrzyste i spokojne.

Opuściła wzrok i za stołem, około dwudziestu kroków od siebie, zobaczyła konsula Hessa. Mały stoliczek o marmurowym blacie, przy którym stały dwa żelazne krzeselka, jak w bistro na jednym z europejskich placów. Bez względu na to, jaką Sferę wybierał Hess, szczegóły zawsze były takie same.

Aria spojrzała na siebie. Jej czarne spodnie, bluzkę i buty zastąpiło kimono. Ten strój zrobiony był z grubego, kremowego, błyszczącego materiału we wzór z czerwonych i różowych kwiatów. Był piękny i nieco zbyt opięty.

– Czy to naprawdę niezbędne? – zapytała jak zawsze.

Hess patrzył w milczeniu, jak podchodziła bliżej. Miał surową twarz o ostrych rysach. Jego oczy były szeroko rozstawione, a usta wąskie i zacięte jak u jaszczurki.

– To na korzyść Sfer – odparł, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

– Poza tym twój strój dzikusa budzi we mnie odrazę.

Aria usiadła naprzeciw niego, wierząc się na niewygodnym krześle. Ledwie mogła skrzyżować nogi w ciasnej sukience. I cóż to za lepka substancję miała na ustach? Dotknęła wargi palcem i dostrzegła na nim ślad szkarłatnej szminki. Tego było już zbyt wiele.

– Twoje ubrania nie mają nic wspólnego ze Sferą – odparła. Hess jak zwykle ubrany był w szary strój Osadnika, ubranie podobne do tych, które przez całe życie nosiła w Reverie. Jediną różnicą było to, że jego uniform miał na kołnierzu i rękawach niebieskie paski, które symbolizowały jego stopień konsula. – Podobnie jak stolik i kawa.

Ignorując ją, Hess nalał kawy do dwóch delikatnych filiżanek, a stolik został obsypany kolejnym deszczykiem płatków. Aria przysłuchiwała się odgłosowi nalewania kawy, przejrzystemu i wyraźnemu, ale bezkształtnemu. Bogaty zapach sprawił, że zaczęła jej cieknąć ślinka. Wszystko było tak jak przez ostatnie kilka miesięcy. Wyszukana Sfera. Stolik i krzesła. Mocna ciemna kawa. Tylko że tym razem Hessowi trzęsły się ręce.

Upił łyk i z brzękiem odstawił filiżankę na spodek. Uniósł wzrok i spojrzał na Arię.

– Jestem zawiedziony. Spóźniłaś się. Wydawało mi się, że jasno dałem ci do zrozumienia, jak pilna jest ta misja. Zastanawiam się, czy będę

zmuszony ci przypomnieć, co możemy stracić, jeśli ci się nie powiedzie.

– Wiem, co możemy stracić – powiedziała stanowczym tonem.

Talon. Reverie. Wszystko.

– A mimo to pozwoliłaś sobie nieco zboczyć z obranego kursu.

Wydaje ci się, że nie wiem, gdzie jesteś? Poszłaś spotkać się z wujem chłopca. Jak go wołają? Peregrine?

Hess śledził jej położenie przez Wizjer. Nie zaskoczyło to Arii, ale i tak poczuła, jak jej puls przyspiesza. Nie chciała, żeby cokolwiek wiedział o Perrym.

– Nie mogę jeszcze ruszyć na północ. Przełęcz prowadząca do Rogów jest zamarznięta.

Hess nachylił się w jej stronę.

– Poduszkowcem możesz tam dotrzeć i jutro.

– Oni nas nienawidzą – powiedziała. – Nie zapomnieli o Jedności.

Nie mogę tam wparować jako Osadniczka.

– To dzikusy – powiedział z lekceważącym gestem. – Nie obchodzi mnie, co myślą.

Aria zdała sobie sprawę, jak szybko oddycha. Roar usiadł przy niej. Z uwagą się jej przyglądał, wyczuwając jej zdenerwowanie. Dzikusy. Kiedyś też tak o nich myślała. Teraz Roar był jej ostoją, a jego obecność działała na nią kojąco.

– Zrobię to po swojemu – powiedziała do Hessa.

– Nie podoba mi się twój sposób. Spóźniasz się z raportami.

Marnujesz czas na jakiegoś Wykluczonego. Potrzebne mi informacje, Ario. Potrzebuję współrzędnych. Kierunku. Mapy. Czegokolwiek.

Kiedy mówił, zauważyła, że jego wzrok jest rozbiegany, a szyja czerwona. Na żadnym z ich spotkań nie był taki zdenerwowany ani butny. Coś musiało go martwić.

– Chcę zobaczyć Talona – powiedziała.

– Dopiero kiedy dasz mi to, czego potrzebuję.

– Nie – odparła. – Muszę go zobaczyć...

Wszystko się zatrzymało. Kwiat wiśni znieruchomiał i zatrzymał się w powietrzu. Wiatr umilkł i Sferą owładnęła nagła martwa cisza. Po chwili płatki zaczęły się cofać, aby znów jakby nigdy nic opaść wraz z powrotem dźwięku.

Aria dostrzegła zszokowaną minę Hessa.

– Co to było? – zapytała. – Co się przed chwilą stało?

– Wróc za trzy dni – warknął. – Tylko się nie spóźnij i obyś w tym czasie była już w drodze na północ. – Przestał frakcjonować i natychmiast

znikł.

– Hess! – krzyknęła za nim.

– Aria, co się dzieje?

Głos Roara. Skupiła się na nim i zmarszczyła brwi ze zmartwienia.

– Nic mi nie jest – powiedziała, szybko przebiegając w myślach komendy, żeby ściągnąć Wizjer. Aria wzięła go w dłonie, a wściekłość sprawiła, że nie widziała wyraźnie.

Roar przysunął się bliżej.

– Co się stało? – zapytał.

Pokręciła głową. Nie była do końca pewna tego, co zobaczyła. Coś musiało pójść nie tak. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby Sfera zamarła w bezruchu. Czy Hess zrobił to celowo, żeby ją przestraszyć? Ale on też był zdenerwowany. Co ukrywał? Skąd ta nagła potrzeba, by niezwłocznie udała się do Rogów?

– Aria – odezwał się Roar. – Powiedz coś.

– Hess wie, że tu jestem. I chce, żebym od razu ruszyła na północ – powiedziała, uważnie dobierając słowa, by się nie zdradzić i nie wspomnieć o Talonie. – Nie obchodzi go, że przełącz jest zamarznęta.

– Ohydny typ, ten Hess – Roar spojrzał na rozciągającą się za Arią plażę. – Ale mam dla ciebie dobre wieści. Nadciąga okazja, żeby stłuc szkło.

5 PEREGRINE

Perry szedł plażą w stronę Aarii świadom każdego swojego kroku. W najlepszym razie spędzą wspólnie zaledwie kilka minut, więc spieszył do niej ile sił w nogach.

W połowie drogi spotkał Roara.

– Nastawisz uszu? – zapytał Perry.

– Jasne – odparł Roar i mijając przyjaciela, dał mu lekkiego kuksańca w ramię.

Aria wstała, kiedy do niej podszedł. Zgarnęła swoje ciemne włosy na ramię.

– Jesteś pewien, że to w porządku? – zapytała, patrząc mu przez ramię.

– Przynajmniej na chwilę – odparł. – Roar nasłuchuje. Reef jest daleko na szlaku. – Czuł się źle, że muszą go pilnować mężczyźni z jego własnego plemienia, ale był w stanie zrobić wszystko, żeby zostać z nią sam na sam.

– Znalazłeś Cindera?

Pokręcił głową.

– Jeszcze nie. Ale znajdę. – Chciał ją objąć, wyczuł jednak jej nastrój. Czymś się zdenerwowała. Domyślał się, co mogło być przyczyną. – Twig jest Audem. Powiedział mi, co się stało w kantynie. Co mówili ludzie.

– To nic ważnego, Perry. Głupie plotki.

– Daj im tydzień – powiedział. – Opuuszczą sobie.

Odwróciła wzrok, nie udzielając odpowiedzi.

Perry potarł brodę, nie wiedząc, dlaczego nadal udają.

– Co się dzieje, Ario? – zapytał.

Skrzyżowała ramiona na piersiach. Jej emocje stawały się coraz chłodniejsze, aż w końcu zrobiły się zimne jak lód. Perry próbował obronić się przed ciężarem, którym nagle został obarczony.

– Hess wie, że tu jestem – powiedziała w końcu. – Każe mi ruszać w drogę. Za kilka dni.

Pamiętał to nazwisko. Hess to Osadnik, który wyrzucił Arię z Podu.

– Czy wie, że wyprawa na północ jest jeszcze zbyt niebezpieczna?

– Tak – odpowiedziała. – Ma to gdzieś.

Owładnął nim jej strach.

– Groził ci? – zapytał, czując zamęt w głowie.

Aria pokręciła głową. Nagle to do niego dotarło.

– Ma Talona. Posługuje się nim, prawda?

Pokiwała głową.

– Przepraszam. To jedyna rzecz, na temat której wolałabym umieć cię okłamać. Nie chciałam cię tym obarczać.

Perry zacisnął dłonie w pięści tak mocno, aż zaczęły boleć. Choć to Vale ukartował porwanie, Perry czuł się za nie odpowiedzialny. Wiedział, że to uczucie nie minie aż do chwili, kiedy Talon wróci do domu. Spojrzał na plażę.

– To tutaj go porwano – powiedział. – Dokładnie w tym miejscu. Patrzyłem, jak Osadnicy kopią go w brzuch i ciągną do swojego pojazdu na szczycie tamtej wydmy.

Aria podeszła krok bliżej i wzięła go za rękę. Jej palce były chłodne i delikatne, ale uścisk mocny.

– Hess go nie skrzywdzi – powiedziała. – Chce Wielkiego Błękitu. Da nam Talona w zamian.

Perry nie mógł uwierzyć, że będzie musiał wykupić swojego bratanka. Zdał sobie sprawę, że w przypadku Liv będzie musiał zrobić coś innego. Vale oddał ich oboje w zamian za jedzenie. Wszystkie drogi prowadziły na tereny Rogów. Perry potrzebował Wielkiego Błękitu dla swojego plemienia. Musiał też uregulować dług wobec Sable'a za to, że Liv się nie pojawiła. Może wtedy jego siostra w końcu wróci do domu.

– To wcześniej, niż sądziłem – powiedział – ale idę z tobą.

Wyruszymy za kilka dni. Oby przełęcz okazała się możliwa do pokonania.

– A jeśli nie?

– Będziemy się zmagać z lodem – odparł Perry, wzruszając ramionami. – Zajmie nam to dwa razy więcej czasu, ale może nam się uda. Przeprowadzę nas.

Aria uśmiechnęła się na jego słowa. Nie wiedział dlaczego, nie miało to jednak znaczenia. Uśmiechała się.

– W porządku – odpowiedziała. Objęła go i przytuliła twarz do jego torsu. Perry odgarnął włosy z jej ramienia i wciągnął w płuca jej zapach, pozwalając ukoić się sile jej emocji. Z każdym oddechem jego złość przechodziła w pożądanie.

Kciukiem śledził linię jej kręgosłupa. Miała w sobie tyle gracji i siły. Po chwili Aria odsunęła się nieco, by spojrzeć mu w oczy.

– Właśnie tak. – Chciał jej powiedzieć, że tak właśnie powinni byli

do siebie wrócić wtedy w lesie. O tym myślał przez całą zimę – za tym tęsknił. Nie mógł jednak przestać martwić się tym, jak się czuła i jak na niego patrzyła.

– Tak – odpowiedziała. – Właśnie tak.

Perry schylił się i pocałował ją w usta. Przytuliła się do niego, tak że mógł poczuć ciepły oddech na swoim policzku i nic już nie istniało oprócz jej ust, jej skóry i ciepła jej ciała. Nie mieli zbyt wiele czasu. W pobliżu byli ludzie. Ledwie o tym pamiętał. Teraz była jego całym światem, a on pragnął więcej.

Słyszając ostrzegawczy gwizd Roara, Perry zastygł, z ustami wciąż na jej szyi.

– Powiedz, że tego nie słyszałaś.

– Słyszałam.

Jeszcze raz usłyszał sygnał Roara, tym razem głośniejszy i ponagląjący. Perry skrzywił się i cofnął dłonie. Był owładnięty jej zapachem. Rozstać się z nią było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę.

– Naznaczymy cię przed wyruszeniem w drogę. A jeśli chodzi o ukrywanie tego, co nas łączy... przestańmy. To, że nie wolno mi cię dotknąć, doprowadza mnie do szału.

Aria uśmiechnęła się do niego.

– Niedługo wyruszamy. Nie możemy wytrzymać do tego momentu?

– Lubisz patrzeć na to, jak cierpię?

– Nie pożałujesz tego czekania, obiecuję – powiedziała, śmiejąc się cicho. – A teraz idziemy.

Pocałował ją raz jeszcze, po czym oderwał się od niej i pobiegł plażą tak lekko, jakby nic nie ważył.

Roar patrzył na niego z uśmiechem od ucha do ucha.

– To było urocze, Perry. Mnie też to doprowadza do szału.

Perry roześmiał się i lekko trzepnął przyjaciela w głowę, kiedy go mijiał.

– Nie wszystko było przeznaczone dla twoich uszu.

W jego stronę zmierzali Bear, Wylan i Reef, który próbował opóźnić moment ich spotkania z Perrym. Kiedy szli razem do wioski, Bear opowiadał o problemach, jakie sprawiała mu para farmerów, Gray i Rowan. Wylan dorzucał swoje trzy grosze średnio co dwanaście kroków, jego głos był ostry i wściekły, jak zawsze. Bez względu na to, co zrobił lub powiedział Perry, dla Wylana to zawsze było za mało – był on jednym z najbardziej oddanych zwolenników Vale'a.

Perry słuchał nieuważnie, całą drogę próbując powstrzymać się od

uśmiechu.

Godzinę później usiadł na dachu swojego domu – po raz pierwszy od wielu dni był sam. Opuścił ręce na kolana i zamknął oczy, delektując się chłodną mgiełką, którą czuł na skórze. Kiedy bryza od morza ustała, Perry zrobił głęboki wdech i wyczuł ślady Arii. Znajdowała się teraz w środku, w pokoju Vale’a. Przez szczelinę w dachu dobiegł go śmiech. Szóstka grała w kości. Słyszał zwyczajowe przekomarzania się Twiga i Grena. Obaj byli Audami, dlatego bez przerwy gadali, kłócili się i o wszystko rywalizowali.

Wokół wioski migotały lampy, z kominów unosił się dym, który mieszał się ze słonym powietrzem. Tak późno wieczorem tylko parę osób nadal było na nogach. Perry położył się, patrząc, jak przez cieńsze warstwy chmur przebija się światło eteru, i nasłuchiwał odgłosów burzy niosących się po centralnym placu wioski.

– Jak gorączka u maleństwa? – zapytała kogoś Molly.

– Spada, chwała niebu – padła odpowiedź. – Teraz śpi.

– Dobrze, niech odpoczywa. Rano zabiorę dziecko nad morze. To otworzy mu płuca.

Perry wciągnął powietrze, pozwalając, by morska bryza wypełniła jego płuca. Dorastał pod opieką wielu osób, tak jak dziecko, o którym mówiono. Kiedy był mały, żeby zasnąć, wdrapywał się na kolana tego, kto był najbliżej. Kiedy miał gorączkę albo ranę wymagającą szwów, Molly czuwała nad jego zdrowiem. Fale były niewielkim plemieniem, ale za to wielką rodziną.

Perry zastanawiał się, gdzie podziewa się teraz Cinder, ale wiedział, że sam do nich wróci, tak jak mówił Roar. Kiedy Perry go zobaczy, najpierw skarci go za to, że uciekł, ale potem dowie się, co zaszło w kantine.

– Perry!

Usiadł, aby pochwycić koc rzucony mu z dołu.

– Dzięki, Molly.

– Nie wiem, czemu siedzisz tam na górze, kiedy wszyscy grzeją się w twoim domu – powiedziała i poszła.

Molly jednak wiedziała. W tak niewielkim plemieniu utrzymało się tylko kilka sekretów. Wszyscy wiedzieli o jego koszmarach. Tutaj mógł przynajmniej spędzić bezsenną noc na wylapywaniu zapachów, które niosła bryza, i obserwowaniu światła przebijającego się przez chmury. Co za dziwna wiosna, z tak grubą warstwą chmur na niebie. Choć Perry bardzo bał się eteru, jakaś część niego czułaby się lepiej, gdyby mógł go

teraz zobaczyć.

Spotkał Brooke, kiedy o świcie opuszczał wioskę. Przez ramię przewiesiła łuk i kołczan.

– Gdzie się wybierasz?

– Tam gdzie ty – powiedział. Była Videm i jedną z najlepszych łuczniczek w plemienu, więc Perry przydzielił jej zadanie wyszkolenia wszystkich Fal na łuczników. Jej lekcje odbywały się blisko pola, na którym miał się spotkać z Bearem.

Podczas ich spaceru panowało kłopotliwe milczenie. Perry zauważył, że Brooke nadal nosiła na szyi groty jego strzał, i starał się nie myśleć o dniu, kiedy jej je podarował, ani o tym, co oznaczały dla nich obojga. Zależało mu na niej i nic nie mogło tego zmienić, ale między nimi wszystko było skończone. Powiedział jej to zimą tak delikatnie, jak tylko umiał, z nadzieją że ona wkrótce to zrozumie.

Kiedy dotarli do wschodniego pola, kłótnia między dwoma farmerami sięgała zenitu – Rowan i Gray żądali od Perry'ego większej pomocy, niż mógł im ofiarować. Masywny Bear stał między nimi z łagodną miną małego kotka.

– Popatrz tylko na to – powiedział Rowan, młody farmer, którego dziecko minionej nocy miało gorączkę. Podniósł ociekający błotem but. – Potrzebuję muru oporowego. Czegoś, co powstrzyma osuwanie się skał ze wzgórza. Potrzebuję też systemu kanalizacyjnego.

Perry spojrzał na zbocze góry półtora kilometra dalej. Burze eterowe obróciły w popiół niższe jej partie. Wraz z nadejściem wiosennych deszczów fale błota i drobnych skał zaczęły spływać po zboczu. Kształt całego wzgórza uległ zmianie, bo nie było już na nim drzew, które mogłyby utrzymywać ziemię.

– To jeszcze nic – powiedział Gray. Był o głowę niższy od Beara i Perry'ego. – Połowa mojej ziemi jest pod wodą. Potrzebuję ludzi. Potrzebuję wołów. I to bardziej niż on.

Gray miał życzliwą twarz i łagodne usposobienie, ale Perry często czuł od niego gniew. Gray nie posiadał żadnego Zmysłu. Nie był Naznaczony jak większość ludzi, ale nie znosił tego w sobie. Kiedy był młody, chciał zostać wartownikiem albo członkiem straży, te stanowiska obejmowali jednak Audzi i Vidowie, których Zmysły dawały im przewagę nad innymi. Jako że wybór miał ograniczony, Grayowi pozostała jedynie uprawa ziemi.

Perry już wcześniej słyszał skargi Graya i Rowana, ale potrzebował środków, których od niego żądali – siły ludzkiej, koni, wołów – do

istotniejszych zadań. Perry nakazał wybudowanie zasieków wokół wioski i wykopanie drugiej studni przy kantynie. Zarządził wzmocnienie murów i poprawienie składu broni. Nakazał też, by każdy członek plemienia od szóstego do sześćdziesiątego roku życia nauczył się choćby podstaw posługiwania się łukiem i nożem.

Perry miał tylko dziewiętnaście lat i jak na Wodza Krwi był młody. Wiedział, że uchodzi za niedoświadczonego. Za łatwy cel. Był przekonany, że wiosną wioskę najadą wędrownie watahy plemion, które przez eter straciły swoje domy. Przy akompaniamencie nieustających apelów i prośb Graya i Rowana Perry wygiął plecy, czując, że kiepsko się wyspał. Czy po to stał się Wodzem Krwi? Żeby brnąć przez podmokłe pola i wysłuchiwać awantur? Nieopodal Brooke uczyła synów Graya – w wieku siedmiu i dziewięciu lat – jak posługiwać się łukiem. Było to dużo ciekawsze niż sprzeczki.

Perry nigdy nie cieszył się na ten zakres obowiązków Wodza Krwi. Wcześniej nie zastanawiał się nad tym, jak wyżywi czterysta osób, kiedy skończą się zimowe zapasy, a jeszcze nie pojawią się pierwsze wiosenne plony. Nigdy nie wyobrażał sobie, że udzieli ślubu parze starszej od siebie albo że matka gorączkującego dziecka będzie oczekiwać od niego ratunku, kiedy lecznicze sposoby Molly zawiodą. Zawsze zwracali się do niego, gdy coś szło nie tak.

Z zamyślenia wyrwał go głos Beara.

– I co ty na to, Perry?

– Obaj potrzebujecie pomocy. Jestem tego świadomy. Ale będziecie musieli poczekać.

– Jestem rolnikiem, Perry – powiedział Rowan. – Nic mi nie przyjdzie ze strzelania z łuku.

– Lepiej się tego naucz – odparł Perry. – Kiedyś może ci to uratować życie i wybawić cię z opresji.

– Vale nigdy nie kazał nam tego robić i jakoś dawaliśmy sobie radę.

Perry pokręcił głową. Nie wierzył własnym uszom.

– Teraz jest inaczej, Rowanie.

– Następnej zimy nie będziemy mieć co jeść, jeśli wkrótce nie zaczniemy siać – wtrącił się Gray.

Pewny siebie, roszczeniowy ton jego głosu zaskoczył Perry'ego.

– Następnej zimy może nas tu nie być.

Rowan stanął jak wryty i ściągnął brwi.

– A gdzie mielibyśmy być? – zapytał podniesionym głosem.

Wymienili z Grayem spojrzenia.

– Chyba nie mówisz poważnie o przeniesieniu plemienia pod Wielki Błękit? – zapytał Gray.

– Może się okazać, że nie mamy wyboru – odpowiedział Perry. Pamiętał, jak jego brat bez problemu wydawał polecenia tym mężczyznom. Nie musiał ich przekonywać. Kiedy Vale mówił, podporządkowywali się.

– Wyprawa na ziemie Rogów zajmie całe tygodnie – powiedział Bear. – Chyba nie zostawisz Fal na tak długo?

Brooke podeszła do nich, ocierając pot z czoła.

– Perry, co się dzieje? – zapytała.

Zdał sobie sprawę, że czuje palące klucie u nasady nosa, sięgające aż do zatok. Spojrzał w górę i z jego ust wymknęło się przekleństwo.

Chmury w końcu się rozstały. Wysoko nad nimi dostrzegł eter. Nie płynął leniwymi, mieniącymi się prądami jak zwykle o tej porze roku. Zamiast tego nad ich głowami sunęły wartkie, grube strumienie, gniewne i oślepiające. Miejscami pasma eteru wily się jak węże, tworząc leje, które ciskane w ziemię wzniecać będą ogień.

– To zimowe niebo – powiedział Rowan zmieszany.

– Tato, co się dzieje? – zapytał jeden z synów Graya.

Perry dokładnie wiedział, co się wydarzy. Nie mógł zaprzeczyć temu, co widzi, ani też piekącemu doznaniu w głębi swojego nosa.

– Do domu! Już! – powiedział i biegiem ruszył w stronę wioski. Nie mógł przewidzieć, gdzie uderzy burza. Nad morzem? Bezpośrednio w nich? Usłyszał ostrzegawczy ryk rogu, a potem kolejne sygnały alarmujące przebywających na polu rolników, by szukali schronienia. Należało ostrzec też rybaków, ale to było dużo trudniejsze.

Perry wpadł do wioski przez główną bramę. Ludzie biegli do swoich domów, w panice krzycząc jeden na drugiego. Perry rozejrzał się po ich twarzach.

– Jak ci pomóc? – zapytał Roar, podbiegając do niego.

– Znajdź Arię.

6 ARIA

Deszcz rozpoczął się nagle, przynosząc lodowaty podmuch, który uderzył Arię jak policzek. Biegiem ruszyła do wioski szlakiem, którym błędziła cały poranek, pogrążona w myślach o Sferach i nagłym zatrzymaniu obrazu. Jej noże wybijały o uda rytm dodający jej otuchy, kiedy szła ścieżką przez las, a wokół niej hulał wiatr.

Na nagły dźwięk rogu zatrzymała się i spojrzała w górę. Przez prześwity w deszczowych chmurach zobaczyła grube pasma eteru. Chwilę później usłyszała charakterystyczny pisk leju – rozrywający, wysoki grzmot mrozący krew w jej żyłach. Burza o tej porze? W tym roku burze powinny się już zakończyć.

Znów zaczęła biec, zwiększając tempo. Wiele miesięcy temu wraz z Perrym znalazła się pośrodku takiej burzy. Nigdy nie zapomni piekącego gorąca, które poczuła, kiedy lej uderzył tuż koło niej, ani jak wstrząsnęło to jej ciałem.

– River! – zawołał głos w oddali. – Gdzie jesteś?

Zatrzymała się, nasłuchując głosów przez szum deszczu. Więcej głosów. Wszyscy krzyczeli to samo, wyraźnie słyszała zdenerwowanie w ich głosach. Zacisnęła zdrętwiałe dłonie w pięści. Komu miała pomóc? Fale jej nienawidziły. Wtedy odezwał się kolejny głos – tym razem bliżej – tak przepelniony bezradnością i strachem, że bez zastanowienia ruszyła w tę stronę. Wiedziała, jak to jest szukać kogoś, kto nigdy nie nadejdzie. Może nie przyjmą jej pomocy, ale mimo to musiała spróbować.

Zbiegła ze szlaku po gęstym, śliskim błocie, a dźwięki prowadziły ją w stronę tuzina osób przeszukujących las. Kiedy wśród nich rozpoznała Brooke, zatrzymała się w pół kroku.

– A co ty tutaj robisz, Krecie? – Przemoczona do suchej nitki Brooke zdawała się okrutniejsza niż zwykle. Jej jasne włosy, mokre i błyszczące od wody, mocno przyległy do głowy, a oczy były zimne jak kamienie.

– Przyznaj się, zabrałaś go, ty złodziejko dzieci!

Aria pokręciła głową w przeczącym geście.

– Nie! Dlaczego miałabym to zrobić? – Zerknęła ukradkiem na broń przewieszoną przez ramię dziewczyny.

Molly, starsza kobieta, którą Aria poznała w kantynie, podeszła do nich pospiesznie.

– Marnujesz czas, Brooke. Szukajmy dalej! – Zaczekała, aż Brooke się oddali, po czym wzięła Arię pod rękę i odezwała się cicho, jakby powierzała jej sekret. Po jej policzkach spływał deszcz.

– Nie przewidzieliśmy tego. Nikt z nas nie spodziewał się burzy.

– Kto zaginął? – zapytała Aria.

– Mój wnuk. Ma zaledwie dwa lata. Na imię mu River.

Aria pokiwała głową.

– Odnajdę go.

Pozostali coraz bardziej oddalali się od szlaku i zagłębiali w las, ale przecucie mówiło Aarii, by szukała w pobliżu. Poruszała się powoli i trzymała blisko ścieżki. Nie wołała. Zamiast tego wytężyła słuch, próbując wychwycić najdelikatniejszy nawet dźwięk, który przebija się przez świst wiatru i szum deszczu. Czas odmierzany był chłupotem jej własnych kroków i szumem wody spływającej w dół ścieżki. Piski i syki eteru stawały się coraz głośniejsze i serce zaczęło łomotać jej w piersi wraz z nasilającymi się dźwiękami burzy. Nagle znieruchomiała, słysząc ciche nucenie.

Ślizgając się, ostrożnie zboczyła ze szlaku w kierunku melodii. Przycupnęła przy krzaku obrośniętym liśćmi. Powoli odgarnęła gałązki, ale nie widziała nic prócz zieleni. Nagle włosy zjeżyły się jej na karku. Odwróciła się gwałtownie, wyciągając noże. Była jednak sama – tylko ona i drzewa.

– Spokojnie – wymamrotała do siebie, chowając ostrza.

Znów usłyszała nucenie, ciche, ale takie, którego nie można było pomylić z żadnym innym dźwiękiem. Obeszła krzew i zajrzała dalej, w głąb zarośli.

Niespełna pół metra od niej mrugnęła para oczu. Maleńki chłopiec siedział w kucki. Dłońmi zatykał sobie uszy i nucił melodię pogrążony we własnym świecie. Aria zauważyła, że ma okrągłe policzki i oczy o miodowym odcieniu, tak jak jego babcia. Obejrzała się za siebie. Ścieżka prowadząca do wioski znajdowała się nie dalej niż dwadzieścia kroków od niej. Chłopiec się nie zgubił, tylko przestraszył.

– Cześć, River – powiedziała z uśmiechem. – Jestem Aria. Założę się, że jesteś Audem tak jak ja. Śpiewanie pomaga zagłuszyć w głowie dźwięki eteru, prawda?

Patrzył wprost na nią, nie przestając nucić.

– Ładna melodia. To Pieśń Myśliwych, prawda? – zapytała, choć od razu rozpoznała ulubiony utwór Perry'ego. Raz jej go zaśpiewał po wielu namowach i spłonął ze wstydu.

River zamilkł. Jego dolna warga drżała, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Mnie też bolą uszy, kiedy jest tak głośno. – Aria przypomniała sobie o czapce Audów, którą dostała, i sięgnęła to swojej torby. – Chcesz to założyć?

River zacisnął dłonie w pulchne piąstki. Powoli odciągnął je od uszu i pokiwał głową. Nałożyła mu czapkę, opuściła klapy i zawiązała je pod brodą. Czapka była na chłopca sporo za duża, ale chroniła jego uszy przed hałasem burzy.

– Musimy schować się w wiosce, dobrze? Zabiorę cię do domu.

Wyciągnęła do niego dłoń. River wziął ją za rękę, a po chwili był już w jej ramionach i obejmował ją ciasno jak kamizelka. Trzymając jego małe drżące ciało, Aria pospiesznie ruszyła szlakiem w poszukiwaniu Molly i pozostałych. Przybiegli do niej tłumnie, przemoczeni i wściekli.

– Nie dotykaj go! – syknęła Brooke, wrywając jej chłopca z objęć. Arię uderzyła fala chłodu i aż się zachwiała, nagle i niespodziewanie pozbawiona dodatkowego ciężaru. Brooke chwyciła za czapkę i rzuciła ją w błoto.

– Trzymaj się od niego z daleka! – krzyknęła. – Nigdy więcej się do niego nie zbliżaj.

– Chciałam go zanieść do domu! – odpowiedziała Aria, ale Brooke już biegła w stronę osady z Riverem, który zdążył się rozpłakać. Pozostali ruszyli krok za dziewczyną, a niektórzy z nich rzucali Arii oskarżycielskie spojrzenia, jakby to, że chłopiec się zagubił, było jej winą.

– Jak go znalazłaś, Osadniczko? – zapytał krępy mężczyzna trzymający się z tyłu grupy. Patrzył na nią podejrzliwie. Dwaj chłopcy przy jego boku musieli być jego synami. Stali przygarbieni, szczękając zębami.

– Jest Audem, Gray – powiedziała Molly, pojawiając się przy jej boku. – No idź już, zabierz chłopców do domu.

Jeszcze raz spoglądając na Arię, mężczyzna odszedł, by schronić się przed deszczem.

Aria podniosła swoją czapkę i strzepała z niej błoto.

– Brooke nie jest z tobą spokrewniona, prawda?

Molly uśmiechnęła się lekko i pokręciła głową w odpowiedzi.

– Nie, nie jest.

– To dobrze – odparła Aria, wciskając czapkę do torby.

Kiedy razem szły w stronę wioski, Aria zauważyła, że Molly kuleje.

– To przez moje stawy – wyjaśniła starsza kobieta, podnosząc głos,

by Aria mogła ją usłyszeć. Uderzenia lejów robiły się coraz głośniejsze. – Dokuczają mi, kiedy jest chłodno i deszczowo.

– Wesprzyj się na mnie – powiedziała Aria, służąc jej ramieniem. Razem sprawniej zbliżały się do wioski.

Minęło kilka minut, zanim Molly ponownie się odezwała.

– Dziękuję, że znalazłaś Rivera.

– Nie ma za co. – Choć była przemarznięta do szpiku kości i dzwoniło jej w uszach, Aria czuła się dziwnie zadowolona z tego, że idzie ramię w ramię z drugą po Pchlarzu nową przyjaciółką z plemienia Fal.

7

PEREGRINE

Kiedy Perry zostawił Roara, podążył szlakiem nad zatokę. Nigdy wcześniej nie biegł tak szybko i nie zatrzymał się, zanim nie znalazł się na przystani. Wylan i Gren krzyczeli do siebie, odwiązując lekką łódź wiosłową. Ich ubrania łopotwały na wietrze. Łódka uderzała o przystań, wznosząc się na spienionych falach, i wprawiała w drżenie deski podestu. Serce Perry'ego zadrżało, kiedy zobaczył tylko dwie łodzie. Większość rybaków nadal była na morzu.

– Jak daleko są pozostali? – krzyknął Perry.

Wylan rzucił mu gniewne spojrzenie.

– To ty jesteś Videm, prawda?

Perry pobiegł wzdłuż brzegu do skalistego falochronu, wysuniętego w morze niczym wielkie ramię ochraniające przystań. Wskoczył na kamienie i zaczął przeskakiwać z głazu na głaz. Ochlapły go fale morskiej wody wystrzeliwujące niczym gejzery spomiędzy skał i zalewające mu nogi. Na końcu falochronu Perry zatrzymał się i rozejrzał wokół. Ogromne fale okraszone białą pianą sunęły do brzegu. Przerażający widok. Perry zobaczył też to, co chciał zobaczyć. Pięć łodzi zmierzało w stronę przystani, unosząc się na powierzchni wzburzonego żywiołu niczym korki od butelek.

– Stój, Perry! – Reef pokonywał głazy, próbując dostać się do Perry'ego. Gren i Wylan byli tuż za nim, obaj obwieszeni grubą i długą liną.

– Nadpływają – krzyknął Perry. Kto tam jeszcze pozostał? Mżawka zamazywała wszystko, nawet mając jego wzrok, trudno było dostrzec twarze rybaków aż do chwili, gdy pierwsza łódź minęła falochron. Perry

zauważył przerażone miny mężczyzn, których życie obiecywał chronić. Jeszcze nie byli bezpieczni, lecz woda w zatoce nie była tak wzburzona jak na otwartym morzu. Kiedy druga i trzecia łódź dobiły do brzegu, Perry poczuł, że znów może oddychać. Jeszcze chwila i będzie mógł powiedzieć, że nikogo nie stracił.

Wtedy nadpłynęła czwarta łódź, co oznaczało, że na wodzie pozostała już tylko jedna. Perry czekał, a kiedy zobaczył ją wyraźnie, zaklął. W piątej łodzi siedzieli Willow i jej dziadek, przytrzymując maszt, bladzi ze strachu. Między nimi z opuszczonymi uszami siedział skulony Pchlarz.

Perry zeskoczył z falochronu po stronie oceanu, zbliżając się do rozbijających się o niego fal, kiedy na horyzoncie pojawił się błysk, który oślepił ich wszystkich. Burza rozpętała się na dobre. Na wodę padały ciskane z gniewną siłą leje, które pozostawiały na zasnutym groźnie niebie rażące niebieskie linie. Znajdowali się wiele kilometrów od uderzenia burzy, ale Perry instynktownie schylił się i poślizgnął, odrapując sobie goleń.

– Perry, wracaj! – wrzasnął Reef. Fale niemiłosiernie uderzały w skały z każdej strony, niczym w bezlitosnym ataku.

– Jeszcze nie. – Huk morza sprawił, że Perry ledwie słyszał swój głos.

Łódź Willow zboczyła z kursu i gwałtownie ruszyła prosto na falochron. Willow krzyczała coś, otaczając usta dłońmi.

Gren, nie wiadomo skąd, pojawił się obok Perry'ego, próbując utrzymać równowagę.

– Stracili ster. Nie mają kontroli nad łodzią.

Perry wiedział dokładnie, co wydarzy się dalej, tak samo jak pozostali.

– Opuścić statek! – wrzasnął Wylan. – Wyskakujcie!

Stary Will poderwał Willow na nogi. Ujął jej twarz w dłonie, przekazując jej rozpaczliwą wiadomość, której Perry nie mógł dosłyszeć. Potem objął ją pospiesznie i pomógł jej wyskoczyć z dziobu łodzi prosto w fale. Pchlarz rzucił się za nią, a na koniec, z zaskakująco spokojną miną, łódź opuścił Stary Will.

Sekundy mijały z zawrotną prędkością. Ogromna fala porwała łódź, spychając ją na silny prąd. Łódź podryfowała gwałtownie w stronę brzegu, jej rufa roztrzaskała się o skały jakieś dziesięć kroków od Perry'ego. Fala złamała ją w pół, odłamki drewna i drzazgi wystrzeliły w powietrze. Perry uniósł ręce, by się przed nimi ochronić.

Mocno zamrugał oczami, żeby złapać ostrość widzenia, i zauważył, że prąd znosi Willow wprost na spienioną wodę wymieszaną ze szczątkami łodzi.

– Lina! Teraz! – zawołał Reef.

W pobliżu Wylan rzucił linę z dokładnością urodzonego rybaka. Bez niej Willow roztrzaskałaby się o skały. W ten sposób mieli szansę bezpiecznie wyciągnąć ją z wody.

– Willow! – zawołał Perry. – Łap linę.

Patrzył, jak dziewczynka szuka wzrokiem dziadka, jej ruchy były gwałtowne i gorączkowe. Po chwili dostrzegł jej przerażenie, kiedy zobaczyła, jak woda porywa Starego Willa w głąb morza. Przytopiła ją fala i serce Perry'ego na chwilę przestało bić. Willow wypłynęła na powierzchnię, krztusząc się i rozpaczliwie łapiąc oddech. W panice starała się dopłynąć do liny, aż w końcu ją złapała.

Perry zszedł na skały tak nisko, jak tylko się odważył, i zbierając całą siłę, jaką miał w nogach, przygotował się, by wyciągnąć Willow.

Kiedy fala się wzmogła, Wylan i Gren pociągnęli za linę. Willow przecięła fale niczym strzała. Perry chwycił ją, a wtedy zwała go z nóg i uderzyła czołem w jego brodę. Gdy upadli na skały, Perry poczuł ból w żebrach. Trzymał ją w objęciach tylko przez chwilę, zanim Reef podniósł dziewczynkę do góry.

– Uciekaj stamtąd, Peregrine! – wrzasnął, unosząc Willow na falochron.

Tym razem Perry nie odpowiedział. Nie będzie mógł się stamtąd ruszyć, dopóki nie wyciągnie Starego Willa.

Wylan rzucił kolejną linę. Wylądowała niedaleko Starego Willa, ale rybak z trudem utrzymywał się na powierzchni, a jego głowa ledwo wystawała ponad fale.

– Ruszaj się, Will! Płyn! – zawołał Perry.

Leje eteru uderzały coraz bliżej, a fale, które kilka minut wcześniej miały dwa czy trzy metry, teraz były dwukrotnie większe i zaczęły przykrywać falochron.

– Dziadku! – krzyknęła Willow, jakby wiedziała. Jakby przeczuwała, co stanie się za chwilę.

Stary Will zniknął pod wodą.

Perry doskoczył do Wylana i złapał za linę. Za nim rozległy się głosy Grena i Reefa:

– Nie!

Perry zdążył już jednak zanurkować.

Cisza panująca pod wodą zaszokowała go. Zacisnął palce na końcu liny i odepchnął się od falochronu. Jego stopa uderzyła w coś twardego – deskę, a może skałę? – kiedy wypływał na powierzchnię. Fale wokół niego narastały jak ściany. Widział tylko wodę do chwili, aż prąd wyciągnął go z doliny fali. Płynąc ku powierzchni, Perry czuł, jak ściska go w żołądku. Po chwili znalazł się na krawędzi fali, skąd mógł zobaczyć skały, na których przed chwilą stał. Mijały sekundy, a on nie był ani trochę bliżej miejsca, w którym chciał się znaleźć.

Perry podpłynął do miejsca, gdzie ostatni raz widział Willa. Prąd wody był tu bardzo silny i ściągał go z powrotem w stronę falochronu. Pchlarz przebierał łapami jakieś pięć metrów od niego. W pobliżu Stary Will walczył o utrzymanie się na powierzchni, a jego srebrnosiwe włosy mieszały się ze wzburzoną morską pianą.

Kiedy Perry podpłynął do niego, rybak był blady jak ściana.

– Trzymaj się, Will! – Perry obwiązał go liną i krzyknął w stronę brzegu, jednocześnie machając rękami, by zaczęli ciągnąć.

Minęły sekundy, zanim poczuł, że włókna liny napinają się pod jego dłońmi. Przesunęli się w stronę brzegu, ale tylko nieznacznie. Po kolejnym pociągnięciu Perry miał pewność, że we dwóch byli za ciężcy dla Wylana. Zerknął na falochron i zobaczył, jak ciemne granitowe głazy na chwilę zalewa biały błysk. Burza szła w ich stronę i była coraz bliżej.

Perry puścił linę i Stary Will ruszył do brzegu. Perry płynął za nim, mobilizując swoje zmęczone mięśnie do jeszcze większego wysiłku. Z każdym wymachem rąk czuł, jakby podnosił własny ciężar. Z falochronu dobiegały go głosy Reefa i Grena. Zmuszał się, by płynąć. Jeszcze tylko kilka metrów.

Nagły prąd zagarnął go, jakby hakiem odciągając w stronę otwartego morza. Równie gwałtownie fala zmieniła kierunek i Perry zorientował się, że niebywale szybko zbliża się do falochronu. Zakrył głowę rękami i przyciągnął do siebie nogi. Jego stopy mocno uderzyły o coś twardego, po czym przekręcił się na bok i z impetem wpadł na skały.

Czuł tylko ból. Słyszał chrzęst kręgosłupa. Prawe ramię doprowadzało go do szału. Perry dotknął ręki, by sprawdzić, co z nią nie tak. Jego ramię było odgięte nie w tę stronę, co trzeba. Wyrwane ze stawu.

To nie mogło się dziać naprawdę. Perry płynął, używając zdrowego ramienia, i błagał swoje nogi, by jeszcze bardziej się wyteżyły, ale każdy ruch powodował ostry przeszywający ból w ręce. Przez spienione fale znów zobaczył falochron. Bear i Wylan ciągnęli razem za linę, holując do brzegu Starego Willa. Willow i Pchlarz stali obok, przemarznięci

i przemoczeni. Reef i Gren krzyczeli do niego ze skał, gotowi wyciągać go z wody. Perry kopał, ale jego nogi nie odpowiadały. Nie ruszały się tak, jak chciał. Krztusił się morską wodą i nie mógł złapać oddechu.

Był tylko jeden sposób, aby się z tego wydostać. Przestał płynąć i zanurzył się pod wodę. Złapał się za nadgarstek i poczekał chwilę, by upewnić się w swojej decyzji, po czym pociągnął rękę na ukos. Przed oczami pojawiły mu się czerwone plamy. Miał wrażenie, jakby rozrywał sobie mięśnie, ramię eksplodowało bólem, ale staw nie chciał prawidłowo pracować. Perry opuścił rękę. Nie mógł spróbować raz jeszcze. Był przekonany, że na pewno wtedy zemdleje.

Skierował się ku górze, próbując przebić się przez kłęby wody, czując, że nie ma czym oddychać. Kopał coraz mocniej, szukając i szukając powierzchni.

Wciąż szukając.

Nagle uświadomił sobie, że nie wie, gdzie jest góra, a gdzie dół. Czuł, że może ovladnąć nim strach, ale zmobilizował się, by płynąć spokojnie. Panika oznaczałaby koniec. Długie sekundy później jego płuca zaczęły domagać się tlenu, a panika przyszła sama. Nie miał już kontroli nad swoim ciałem.

Wiedział, że nie może oddychać. Nie może nabrać powietrza. Bez względu na to, jak bardzo z tym walczył, nie mógł się jednak powstrzymać. Ból w płucach i głowie był większy niż w ramieniu. Nigdy wcześniej nie czuł tak silnego bólu.

Otworzył usta i zrobił wdech. Poczul w gardle eksplozję chłodu, ale natychmiast wypluł lodowatą wodę. Przed oczami znów pojawiły mu się czerwone plamy, a jego torsem szarpały konwulsje.

Opadał w chłodne głębiny, gdzie robiło się coraz ciemniej, ciszej i posępniej. Czuł, jak jego kończyny się rozluźniają, a w miejsce bólu pojawia się przeszywający smutek.

Aria. Dopiero co ją odzyskał. Nie chciał odchodzić. Nie chciał jej zranić. Nie chciał...

Coś uderzyło go w szyję. Łańcuch Wodza Krwi. Chwycił się go i nagle zdał sobie sprawę, że ktoś ciągnie go ku górze.

Wyplął na powierzchnię i zaczął wypluwać morską wodę. Jego całym ciałem wstrząsały drgawki. Czuł, jak wokół jego żeber zawiązuje się lina, za którą Gren i Wylan ciągną go w stronę skał, a ktoś popycha go od tyłu. Mógł to być tylko Reef.

Bear złapał go za ramię, przeklinając, gdy niemal wpadł do wody.
– Ramię – wycedził Perry przez zaciśnięte zęby.

Bear zrozumiał. Objął Perry'ego w pasie i zaczął go nieść tam, gdzie nie mogły dosięgnąć ich fale. Kiedy postawiono go na ziemi, Perry i tak szedł dalej. Desperacko wspinał się po falochronie, aż w końcu znalazł się na piasku. Dopiero wtedy padł na ziemię i zwinął się w kłębek, uciskając bolący brzuch – bolące ramię – bolące gardło. Miał wrażenie, że skopano mu płuca, aż pokryły się sińcami.

Perry krztusił się i męczył, próbując normalnie oddychać. W końcu otarł sól z oczu.

Poczuł bolesny wstyd. Bezsilny leżał na plecach, otoczony swoimi ludźmi.

Gren kręcił głową, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się przed chwilą stało. Stary Will stał nad nim z przytuloną do jego boku Willow. Reef dyszał ciężko, a blizna na jego policzku zrobiła się intensywnie czerwona. Nad nimi eter wił się ogromnymi, złowieszczymi wirami.

– Jego ramię jest przemieszczone ze stawu – powiedział Bear.

– Pociągnij je w górę i na ukos – powiedział Reef. – Powoli, ale zdecydowanie, i bez względu na wszystko nie przestawaj. Zrób to szybko. Musimy się dostać do wioski.

Perry zamknął oczy. Wokół jego nadgarstka zacisnęły się ogromne dłonie. Po chwili usłyszał głos Beara.

– To ci się nie spodoba, Perry.

Bear miał rację.

Trzęsąc się z nerwów i zimna, Perry wdrapał się na swoją antresolę, przytulając do boku obolałą rękę. Sycząc z bólu, niezdarnie ściągnął przez głowę przemoczoną koszulę i rzucił ją na dół. Wylądowała na gzymsie kominka, bezładnie z niego zwisając. Położył się i raz po raz wciągał powietrze w zmasakrowane płuca, obserwując eter przez szczelinę w dachu. Kapał przez nią deszcz, a jego krople lądowały na torsie Perry'ego i spływały na materac.

Tylko kilka minut. Potrzebował odrobiny samotności, zanim znów stanie przed plemieniem.

Zamknął oczy. Widział, jak Vale przemawia do tłumu. Jak siedzi u szczytu stołu w kantine i mierzy wszystkich spokojnym wzrokiem. Jego brat nigdy nawet się nie potknął na oczach Fal. A on?

Zrobił słusznie, ratując Starego Willa. Dlaczego więc nie mógł uspokoić oddechu? Dlaczego miał ochotę mocno w coś walnąć?

Drzwi otworzyły się z impetem, uderzając z trzaskiem o kamienną ścianę. Do środka dostał się podmuch zimnego wiatru.

– Perry? – odezwał się głos na dole.

Perry skrzywił się zawiedziony. Nie był to głos, który chciał usłyszeć. Jedyny, którego byłby w stanie teraz słuchać. Czy Roar ją znalazł?

– Nie teraz, Cinder. – Perry nastawił uszu w oczekiwaniu na dźwięk zamykających się drzwi. Mijały sekundy i nic się nie działo. Spróbował raz jeszcze, tym razem z większym naciskiem.

– Cinder, idź sobie.

– Chciałem wyjaśnić, co się stało.

Perry usiadł. Przemoczony Cinder stał na dole. W dłoni trzymał swoją czarną czapkę. Miał spokojną, ale zdeterminowaną minę.

– *Teraz* chcesz rozmawiać? – Perry usłyszał w swoim głosie rozgniewany ton ojca. Wiedział, że powinien się powstrzymać, ale nie potrafił. – Pojawiasz się, kiedy chcesz mówić, i znikasz, kiedy nie masz ochoty? Jak teraz będzie? Jeśli zostajesz, to byłoby miło, gdybyś się postarał nie palić nam jedzenia.

– Próbowałem pomóc...

– Chcesz pomóc, tak? – Perry zeskoczył z antresoli, mamrocząc pod nosem przekleństwa, kiedy ból znów przeszył mu ramię. Podszedł do Cindera zdecydowanym krokiem. Chłopiec patrzył na niego wielkimi, przenikliwymi oczami. Perry machnął w stronę otwartych drzwi. – To może coś na to poradzisz?

Cinder spojrzał na deszcz, a potem z powrotem na Perry'ego.

– To dlatego chcesz, żebym został. Myślisz, że jestem w stanie powstrzymać eter?

Do Perry'ego nagle dotarło, co robi. Nie myślał jasno. Nie wiedział, co mówi. Pokręcił głową.

– Nie. Nie dlatego.

– Nieważne – Cinder cofnął się w stronę wyjścia. Żyły na jego szyi zaczęły lśnić niebieskim światłem, takim jak eter. Pod skórą wyglądały jak rozczapierzone gałęzie oplatające jego szczękę, policzki i czoło.

Perry tylko dwa razy widział go w takim stanie – po raz pierwszy, kiedy Cinder spalił mu rękę, i po raz drugi, kiedy wyciął w pień plemię Krukorów – a mimo to znów był zaskoczony.

– Nigdy nie powinienem był ci zaufać – krzyknął Cinder.

– Czekał – powiedział Perry. – Niepotrzebnie to powiedziałem.

Było jednak za późno. Cinder odwrócił się na pięcie i wybiegł na zewnątrz.

8 ARIA

Kiedy Aria i Molly zbliżały się do wioski, podbiegł do nich Roar.

– Szukałem cię wszędzie – powiedział Roar, na chwilę przytulając dziewczynę do siebie. – Martwiłem się o ciebie.

– Przepraszam, piękniśiu.

– I słusznie. Nie znoszę się martwić. – Wziął Molly pod drugie ramię i razem doprowadzili ją do kantyny.

W środku członkowie plemienia siedzieli przy stołach i wzdłuż ścian. Molly poszła sprawdzić, jak się czuje River, a Roar podszedł do Beara. Aria zauważyła Twiga, z którym przybyła do wioski. Cicho usiadła koło niego na ławce i rozglądała się po tętniącej gwarem rozmów sali. Ludzie byli przerażeni burzą – na ich twarzach malował się strach.

Nie zdziwiło jej, że kilka stołów dalej Brooke siedziała z Wylanem – rybakiem o ciemnych, rozbieganych oczach, który zaklął cicho w domu Perry’ego. Dostrzegła Willow wciśniętą bezpiecznie pomiędzy rodziców, a nieopodal Pchlarza i Starego Willa oraz resztę Szóstki, która nigdy nie oddalała się od Perry’ego. Gdy tak błędziła wzrokiem od osoby do osoby, ogarnął ją nagły lęk, aż poczuła mrowienie w koniuszkach palców. Nie było z nimi Perry’ego.

Roar podszedł do niej i otulił ją kocem. Dał znać Twigowi, by się przesunął, i usiadł koło Arii.

– Gdzie on jest? – zapytała wprost, zbyt niespokojna, by dbać o ostrożność.

– U siebie. Bear powiedział, że ma przemieszczone ramię. Nic mu nie jest. – Ciemne oczy Roara zabłysły. – Ale było blisko.

Aria poczuła ucisk w żołądku. Jej uszy zaczęły wyłapywać imię Perry’ego, które szeptem niesło się od stołu do stołu. Przecodziła harmider głosów, natrafiając na kąśliwy ton Wylana. Wokół niego zgromadziło się kilka osób.

– ... jak idiota wskoczył do wody. Reef musiał go wyłowić. Mało brakowało i by nie zdążył.

– Podobno uratował Starego Willa – powiedział ktoś inny.

– Stary Will by nie utonął! Zna morze lepiej niż ktokolwiek z nas. Pochwyciłbym go kolejnym rzutem liny. Teraz czułbym się lepiej, gdyby to Pchlarz nosił ten przeklęty łańcuch.

Aria dotknęła ramienia Roara.

– *Słyszysz Wylana? Co za typ!*

Roar pokiwał głową.

– Jak zwykle przesadza. Zaufaj mi: tylko ty słuchasz tego paplania. –

Aria nie była tego pewna. Splotła dłonie i podrygiwała nogą pod stołem. W obu paleniskach płonął ogień. W kantynie czuć było zapach mokrej wełny i błota oraz wielu spoconych ciał. Ludzie przynieśli ze swoich domów najcenniejsze rzeczy. Aria widziała lalki, koce. Kosz pełen drobiazgów. W jej głowie pojawił się obraz rzeźbionych sokołów, które znajdowały się na parapecie w domu Perry’ego. Potem wyobraziła sobie Perry’ego, który teraz jest tam sam. Powinna być przy nim.

Leje eteru trafiały w ziemię, a do jej uszu dobiegał ich odległy pisk. Przez podeszwy butów czuła delikatne wstrząsy. Zastanawiała się, czy Cinder włóczy się gdzieś pośród burzy, ale wiedziała, że tylko on jest bezpieczny pod eterowym niebem.

– Będziemy tu tak siedzieć? – zapytała.

Roar przecesał dłonią mokre włosy, przez co odstawały mu po bokach. Pokiwał głową.

– Burza jest tak blisko, że nie ma dla nas bezpieczniejszego miejsca.

U Marrona burze nigdy nie były aż tak przerażające. Cała wioska chowała się głęboko pod ziemią w starych kopalnianych tunelach pod Delfami. Marron miał tam pełne zaopatrzenie, a nawet rozrywki, takie jak muzyka i gry.

Przez podłogę poniosło się dudnienie kolejnego uderzenia. Aria spojrzała w górę, widząc, jak z krokwi sypie się pył i kurz i opada na blat stołu tuż przed nią. W kuchni delikatnie drżały garnki. W pobliżu Willow mocno przytulała się do Pchlarza, zaciskając powieki. Aria nie słyszała już prawie nikogo.

Po raz kolejny dotknęła Roara.

– *Musisz coś zrobić. Są przerażeni.*

Roar uniósł brew.

– Ja?

– *Tak, ty. Perry’ego tu nie ma, a ja nie mogę. Jestem Kretem, pamiętasz? Nie, poprawka, jestem krecią przybłądą.*

Roar wlepił w nią wzrok, jakby rozważał możliwości.

– Dobrze, ale kiedyś mi się za to odwdzięczysz. – Ruszył na drugą stronę sali do młodego mężczyzny z kobrą wytatuowaną wokół szyi i skinął głową w stronę gitary, która stała pod ścianą.

– Mogę pożyczyć?

Choć chłopak był zaskoczony, podał Roarowi instrument. Roar wrócił na swoje miejsce i usiadł na stole, opierając stopę na długiej ławce. Zaczął stroić struny, mrużąc oczy dla koncentracji. Był tak skrupulatny jak ona. Oboje mieli słuch absolutny. Nawet jeden niedoskonały dźwięk działałby im na nerwy.

– To co zaśpiewamy? – zapytał z zadowoloną miną.

– Jak to „my”? Chyba ty.

– Ale przecież to duet – powiedział z uśmiechem. Zagrał początkowe takty piosenki jej ulubionego zespołu Tilted Green Bottles. W zimie Roar nie mógł się nasłuchać jej wykonania *Arktycznego Kociaka* – ballady, którą powinno się śpiewać w przesadnie romantyczny sposób. To sprawiało, że tekst robił się jeszcze bardziej niedorzeczny.

Roar miał romantyczne sposoby w jednym paluszku. Pierwsze akordy zagrał, intensywnie wpatrując się w Arię swoimi ciemnobrązowymi oczami i układając wargi w delikatny, uwodzicielski uśmiech. Wiedziała, że Roar żartuje, a mimo to prawie się zarumieniła. Czowała, że teraz uwaga całego pomieszczenia skupia się tylko na nich.

Głos Roara był łagodny i pełen humoru.

– Ogrzej me serce, Arktyczny Kociaku, okaż mi trochę czułości.

Nie mogąc się oprzeć, Aria dośpiewała kolejną linijkę.

– Nie ma mowy, o Wielka Stopo, wołę przemarnąć do kości.

– Zamieszkaj ze mną w igloo, ze śniegiem cię oswoję.

– Słodsza mi będzie śmierć niż hibernacja we dwoje.

Aria nie mogła uwierzyć, że śpiewają tę głupiutką piosenkę ludziom, którzy są przemoczeni i przerażeni i wokół których niebo ciska eterowe leje. Roar w pełni wczuł się w rolę, jego palce wygrywały na strunach pogodne akordy. Z trudem zmusiła się, by dorównać jego entuzjazmowi, kiedy na zmianę śpiewali swoje kwestie.

Spodziewała się, że lada chwila Fale zaczną w nich rzucać kubkami lub butami. A jednak usłyszała jedynie stłumione chichoty, a kątem oka zauważyła kilka uśmiechów. Kiedy razem przeszli do refrenu – którego fragment polegał na melodyjnym mruczeniu – kilka osób zaśmiało się bez skrępowania. Dopiero wtedy się odprężyła, pozwalając sobie czerpać przyjemność z czegoś, co szło jej dobrze. Bardzo dobrze. Śpiewała od zawsze i nie było drugiej rzeczy, która wydawała jej się tak naturalna.

Kiedy Roar wybił ostatnie takty, zapadła całkowita cisza, zanim znów dobiegły ich dźwięki przetaczającej się burzy, a sala wypełniła się gwarem rozmów. Aria rozglądała się po otaczających ją twarzach, wyłapując fragmenty rozmów.

- Najgłupsza piosenka, jaką słyszałem w życiu.
- Ale za to zabawna.
- Co to jest Wielka Stopa?
- Nie mam pojęcia. Ale ten Kret śpiewa jak anioł.
- Słyszałem, że to ona znalazła Rivera.
- Myślisz, że jeszcze coś zaśpiewa?

Roar lekko szturchnął ją ramieniem i z pytającą miną uniósł brew.

- To jak? Zaśpiewa?

Aria wyprostowała się i wzięła głęboki wdech. Myślą, że *Arktyczny Kociak* jest fajny? No to niewiele w życiu słyszeli.

- Zaśpiewa – odpowiedziała Aria z uśmiechem.

PEREGRINE

Po raz pierwszy od wielu miesięcy nikt nie zauważył, jak Perry wchodzi do kantyny. Wszystkie spojrzenia utkwione były w Arii i Roarze. Perry stanął w cieniu i oparł się o ścianę. Kiedy poczuł ból przeszywający rękę, zacisnął zęby.

Roar siedział na jednym ze stołów pośrodku kantyny i grał na gitarze. Aria śpiewała i uśmiechała się swobodnie, lekko przechylając głowę na bok. Pasma mokrych włosów opadały jej na ramiona.

Perry nie rozpoznał piosenki, ale po jak harmonii, z jaką Roar i Aria śpiewali, wiedział, że robią to nie po raz pierwszy. Ich głosy przeplatały się jak dwie szybujące po niebie jaskółki. Perry nie był zaskoczony tym, że śpiewają razem. Kiedy dorastali, Roar miał zwyczaj nucić o najmniej niespodziewanych rzeczach, co bardzo rozśmieszało Liv. Dźwięki łączyły Arię i Roara, tak jak zapachy łączyły Scirów. Jednak jakaś część Perry'ego nie mogła znieść, że tych dwoje tak świetnie się bawi, kiedy on przed chwilą prawie utonął.

Reef i Gren podeszli z końca sali, kiedy go spostrzegli, co zwróciło uwagę Arii. Przeszła śpiewać i niepewnie uśmiechnęła się do Perry'ego. Palce Roara znieruchomiały na strunach gitary, a na jego twarzy pojawiło się napięcie. Teraz na Perry'ego patrzyła już cała kantyna, a wszelkie szepty raptownie umilkły.

Krew w żyłach Perry'ego przyspieszyła biegu i poczuł, że jego policzki robią się cieplejsze. Nie miał wątpliwości, że wszyscy wiedzą o tym, co stało się na falochronie. Absolutnie wszyscy. Perry zobaczył zmartwienie i rozczarowanie wymalowane na ich twarzach. Wyczuł ich drażniące nos nastroje, które wypełniały kantynę. Fale zawsze uważały, że jest w gorącej wodzie kąpany, a rzucenie się na ratunek Staremu Willowi tylko to potwierdziło.

Perry skrzyżował ramiona na piersi, czując przeszywający ból głęboko w stawie ramienia.

– Nie przerywajcie sobie. – Nie podobał mu się własny zachrypnięty głos, efekt wykrztuszania dużych ilości słonej wody. – Zaśpiewacie coś jeszcze?

Aria odpowiedziała od razu, nie spuszczając go z oka.

– Zaśpiewamy.

Tym razem wykonała znaną mu piosenkę – tę, którą zaśpiewała, kiedy gościli u Marrona. To była wiadomość dla niego. Pośród setek ludzi Aria przypominała mu o chwili należącej tylko do nich dwojga.

Perry oparł głowę o ścianę. Zamknął oczy, wsłuchując się w melodię, jednocześnie odpychając od siebie pragnienie, by podejść do dziewczyny. Przyciągnął ją do siebie. Wyobraził sobie, jak Aria wtula się pod jego ramię. Widział, że ból i wstyd, iż został wyłowiony z wody, a teraz stoi pokiereszowany przed swoim plemieniem, nagle mijają. Wyobrażał to sobie, aż w końcu widział tylko ich dwoje, samych na dachu budynku.

Kilka godzin później Perry podniósł się ze swojego miejsca w kantynie. Rozprostował plecy i poruszył ramieniem, sprawdzając je. Ciężko przełknął ślinę, stwierdzając, że nadal boli go każda część ciała.

Przez otwarte drzwi i okna do pomieszczenia wdzierало się poranne światło, zalewając stoły snopami złota. Wszędzie leżeli ludzie – wzdłuż ścian, pod stołami, w przejściach. Cisza, jaka panowała w takim tłumie, wydawała się niemożliwa. Po raz tysięczny Perry spojrzął na Arię. Spała przy Pchlarzu i Willow, zwinięta między nimi w kłębek.

Roar przebudził się i przetarł oczy, a nieopodal Reef podniósł się z podłogi, odgarniając z twarzy swoje warkocze. Reszta Szóstki też zaczynała się przeciągać, jakby czuli, że Perry ich potrzebuje. Twig szturchnął Grena, który oddał mu przez sen. Hyde i Hayden stanęli na nogi i przewiesili swoje łuki przez plecy, zostawiając Marudera, który nadal wkładał buty. Cicho przeszli pomiędzy śpiącymi członkami plemienia i wyszli za Perrym na zewnątrz.

Poza kałużami, zwalonymi gałęziami i potłuczonymi dachówkami, które leżały rozrzucone tu i ówdzie, wioska wyglądała jak zawsze. Perry rozejrzał się po wzgórzach. Nie dostrzegł żadnych pożarów, ale w wilgotnym powietrzu unosił się intensywny swąd dymu. Na pewno stracił więcej ziemi. Był tego pewien. Miał jedynie nadzieję, że nie były to pastwiska ani ziemie uprawne, a deszcz skutecznie zażegnał wszelkie pożary.

Maruder przepchał się do przodu i zmarszczył nos, spoglądając w górę.

– Czy mi się to wszystko przyśniło?

Eter spokojnie płynął po niebie, a jego niebieskie pasma unosiły się pomiędzy puszystymi chmurami. Zwyczajne wiosenne niebo. Bez płachty jaśniejących chmur. Żadnych szpuli eteru wijących się nad głowami.

– Czy śniła ci się Brooke? – zapytał Gren. – Bo wtedy odpowiedź brzmi „tak”. Zresztą mnie też.

Maruder przyłożył mu w ramię.

– Kretynie, to dziewczyna Perry’ego.

Gren pokręcił głową.

– Wybacz, Per. Nie miałem pojęcia.

Perry odchrząknął.

– W porządku. Już nią nie jest.

– Wystarczy tego – warknął Reef, patrząc na Marudera i Grena. –

Gdzie mamy zacząć, Perry?

Z kantyny wychodziło coraz więcej ludzi. Gray i Wylan, Rowan, Molly i Bear. Perry zauważył ich zmartwione miny. Czy byli już bezpieczni, czy wkrótce czekała ich kolejna burza? Czy teraz eter grozi im przez cały rok? Wiedział, że wszystkim tłuką się po głowie te same pytania.

Perry najpierw zlecił drużynie przejście przez wioskę i ocenienie szkód na dachach, sprawdzenie zwierząt w stajniach i oborach, a potem wyjście na pola. Wysłał Willow i Pchlarza na poszukiwanie Cindera, żałując tego, co się stało poprzedniej nocy. Wczoraj nie był sobą i musiał za to przeprosić chłopca. Później wraz z Roarem ruszyli na północny zachód. Po godzinnym marszu stali przed doszczętnie spalonym polem.

– To nam nie pomoże – powiedział Roar.

– To tylko tereny łowne. Mogło być gorzej.

– Dobrze, że jesteś takim optymistą, Per.

– Dzięki, staram się.

Roar spojrział na granice pola.

– Patrz, nadchodzi radość w czystej postaci.

Perry zauważył Reefa i uśmiechnął się. Tylko Roar potrafił go rozchmurzyć w chwilach takich jak ta.

Reef zdał im raport ze zniszczeń na pozostałej części terytorium. Stracili lasy na południu, przylegające do tych, które eter zrównał z ziemią jeszcze przed końcem zimy.

– Teraz wyglądają po prostu jak wielka połać popiołu – poinformował Reef. Ule Fal zniszczono co do jednego, a woda w obu studniach w wiosce została skażona i smakuje jak popiół.

Kiedy Reef skończył swój raport, nie pozostał im już żaden inny temat poza tym, co się stało na falochronie. Roar obracał w dłoni nóż. Była to sztuczka, do której uciekał się zawsze, kiedy czuł się znudzony. Perry wiedział, że może przy nim powiedzieć wszystko, ale wypowiedzenie tych słów nie przyszło mu łatwo.

– Uratowałeś mi życie, Reef. Jestem ci winien...

– Niczego nie jesteś mi winien – przerwał mu przyjaciel. –
Przyrzeczenie to przyrzeczenie. Coś, czego mógłbyś się nauczyć.

Roar wsunął nóż za pas.

– A co to niby ma znaczyć? – zapytał.

Reef zignorował go.

– Przyrzekłeś chronić Fale.

Perry pokręcił głową. Czy Stary Will nie jest częścią plemienia?

– To właśnie robiłem.

– Nie, wcale nie. Ty chyba próbowałeś dać się zabić.

– Miałem pozwolić, żeby utonął?

– Tak – ostro odpowiedział Reef. – Albo pozwolić mnie rzucić się za
nim.

– Ale tego nie zrobiłeś.

– Bo to by było samobójstwo! Spróbuj coś zrozumieć, Peregrine.
Twoje życie jest warte więcej niż życie staruszka. Jest więcej warte niż
moje życie. Nie możesz tak po prostu rzucać się wszystkim na ratunek.

Roar roześmiał się w głos.

– Panowie się chyba nie znają, prawda?

Reef odwrócił się gwałtownie i wskazał na niego palcem.

– Powinieneś próbować przemówić mu do rozsądku.

– Najpierw zobaczę, czy przestaniesz kłapać dziobem – odparł Roar.

Perry skoczył między nich, odpychając Reefa.

– Idź. – Wściekłość Reefa sprawiała, że jego pole widzenia
zabarwiło się na czerwono. – Przejdź się i ochłoń trochę.

Perry patrzył, jak Reef się oddala. Obok niego Roar cicho kłął.

Jeśli to się działo między dwojgiem najbardziej oddanych mu
przyjaciół, to co z resztą plemienia?

W drodze powrotnej Perry zauważył Cindera na skraju lasu. Cekał
przy szlaku, skrępowany, bawiąc się swoją czapką.

Na jego widok Roar przewrócił oczami.

– To na razie, Per. Mam dość na dziś – powiedział i odbiegł.

Kiedy Perry podszedł bliżej, Cinder wiercił palcami stóp dołki
w trawie.

– Cieszę się, że wróciłeś – powiedział Perry.

– Naprawdę? – odparł gorzko Cinder.

Perry nie udzielił mu odpowiedzi. Skrzyżował ręce, zauważając, że
jego ramię miewa się teraz lepiej niż o poranku.

– Nie powinienem był na ciebie krzyczeć. To się już nie powtórzy.

Cinder wzruszył ramionami. Po dłuższej chwili w końcu spojrzał na

Perry'ego.

- Czy twoje ramię...?
- W porządku – odparł Perry.

Cinder pokiwał głową.

– Wtedy, kiedy przyszedłem, nie wiedziałem, co się stało. Ta dziewczyna, Willow, powiedziała mi dziś rano. Bardzo się bała o siebie i o dziadka. I o ciebie też.

Perry pokiwał głową.

– Ja też się bałem. – Teraz to wszystko wydawało mu się niewiarygodne. Jeszcze wczoraj był pod wodą i tylko sekundy dzieliły go od śmierci. – To nie był mój najlepszy dzień, ale nadal tu jestem, więc nie był też najgorszy.

Cinder uśmiechnął się lekko.

- Co racja, to racja.

Czując, że nastrój Cindera łagodnieje, Perry dostrzegł swoją szansę.

- Co się stało w spiżarni?

– Po prostu zgłodniałem.

- W środku nocy?

– Nie lubię jeść z wszystkimi. Nikogo tu nie znam.

- Spędziłeś zimę z Roarem – powiedział Perry.

– Roara obchodzisz tylko ty i Aria – powiedział Cinder

z niezadowoleniem.

I Liv, dopowiedział w myślach Perry. Rzeczywiście, Roar czuł przywiązanie do niewielu osób, ale były to więzy nie do zerwania.

- Więc zakradłeś się do spiżarni.

Cinder pokiwał głową.

– W środku było ciemno i bardzo cicho. Wtedy nagle zobaczyłem jakąś bestię o zielonych oczach. Tak się wystraszyłem, że upuściłem lampę, którą trzymałem w ręce, i zanim zdążyłem się zorientować, na podłodze pojawił się ogień. Próbowałem go ugasić, ale tylko pogarszałem sprawę, więc uciekłem.

Perry zatrzymał się przy pierwszej części opowieści.

- Zobaczyłeś bestię?

– Tak mi się zdawało. Ale to był tylko ten głupi pies. Pchlarz w ciemności wygląda jak demon.

Usta Perry'ego drgnęły z rozbawienia.

- Zobaczyłeś Pchlarza – powtórzył.

– To nie jest śmieszne – powiedział Cinder, ale walczył ze sobą, żeby się nie roześmiać.

– Więc Pchlarz, pies-demon, przestraszył cię, a pożar wybuchł przez lampę? Nie przez... przez to, co robisz z eterem?

– Nie – powiedział Cinder, kręcąc głową.

Perry czekał, że powie coś więcej. Było tyle rzeczy, które chciał wiedzieć o zdolnościach chłopca. O tym, kim był. Wiedział jednak, że Cinder opowie o tym dopiero wtedy, kiedy będzie gotowy.

– Kazesz mi odejść?

– Nie – odparł Perry, kręcąc głową. – Chcę, żebyś tu został. Ale jeśli masz być częścią nas, musisz uczestniczyć we wszystkim. Nie możesz jeść w środku nocy ani uciekać za każdym razem, kiedy coś pójdzie nie tak. I musisz zapracować na jedzenie jak pozostali.

– Nie wiem jak – powiedział Cinder.

– Jak „co”?

– Zapracować. Na niczym się nie znam.

Perry przyglądał się chłopcu. Nie znał się na niczym? Nie po raz pierwszy Cinder powiedział coś tak zastanawiającego.

– Mamy więc sporo do nadrobienia. Poproszę Brooke, żeby znalazła ci łuk i zaczęła cię przyuczać. Ja za to porozmawiam jutro z Bearem... Będzie potrzebował tyle rąk do pomocy, ile tylko uda mu się znaleźć. I ostatnia rzecz. Kiedy będziesz gotowy, wysłucham wszystkiego, co będziesz miał do powiedzenia.

Cinder zmarszczył czoło.

– O czym?

– O sobie.

10 ARIA

– Dobrze radzisz sobie z bólem – powiedziała Molly.

Aria przestała przyglądać się bandażowi w swojej dłoni i spojrzała w górę.

– Dziękuję. Butter jest dobrą pacjentką.

W odpowiedzi na dźwięk swojego imienia klacz leniwie zamrugła oczami. Poprzedniej nocy burza uruchomiła jej instynkt samozachowawczy. Butter kopła swój boks w panice i rozcięła sobie przednią nogę. Aby pomóc Molly, której dokuczały ręce, Aria oczyściła ranę klaczy i zdezynfekowała ją maścią o miętowym zapachu.

Teraz powróciła do bandażowania.

– Moja mama była lekarzem. A właściwie badaczem. Rzadko pracowała z ludźmi. Z końmi chyba nigdy.

Molly podrapała białą gwiazdkę na czole Butter sękatymi palcami. Aria nie mogła przestać myśleć o Reverie, gdzie dolegliwości takich jak artretyzm pozbyto się genetycznie lata temu. Żałowała, że nie może w tej kwestii niczego zrobić.

– „Była”? – odezwała się Molly, spoglądając na Arię.

– Tak... zmarła pięć miesięcy temu.

Molly pokiwała głową w zamyśleniu i popatrzyła na nią ze smutkiem ciepłymi oczami tego samego koloru co kasztanowe umaszczenie Butter.

– I teraz jesteś tutaj, z dala od domu.

Aria rozejrzała się wokół siebie. Otaczały ją błoto i słoma.

W powietrzu unosił się zapach stajni. Jej zimne dłonie pachniały koniem i miętą. Po raz któryś Butter trąciła pyskiem czubek jej głowy. W wiosce nie było chyba miejsca bardziej różnego od Reverie.

– Jestem tutaj, ale nie wiem już, gdzie mój dom.

– A twój ojciec?

– Był Audem – odparła Aria, wzruszając ramionami. – Tylko tyle wiem.

Czekała, aż Molly powie coś niespodziewanego, na przykład że dokładnie wie, kim jest ojciec Arii, i że jest tuż obok, w sąsiednim boksie. Dziewczyna pokręciła głową na myśl, jaka jest niemądra. Czy to pomogłoby jej pozbyć się wrażenia, że nie ma korzeni?

– Szkoda, że twojej rodziny nie będzie dziś wieczorem podczas

ceremonii nadania Znaczeń – powiedziała Molly.

– Dziś wieczorem? – powtórzyła Aria, podnosząc wzrok. Zaskoczyła ją decyzja Perry’ego, który w tym samym czasie musiał zmagać się ze zniszczeniami po burzy.

Do stajni wszedł Wylan i klacz wydała z siebie poirytowane prychnięcie.

– Proszę, proszę. Molly i Kret – powiedział, opierając się o ścianę boksu. – Dałaś wczoraj niezły koncert, Osadniczko.

– Po co przyszedłeś, Wylan? – zapytała Molly.

Mężczyzna zignorował ją i ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Arii.

– Zmarnujesz tylko czas, udając się na północ. Wielki Błękit to zwykłe plotki rozpuszczane przez desperatów. Lepiej na siebie uważaj. Sable to niezły drań. Szczwany lis. Nie podzieli się Wielkim Błękitem z innym plemieniem, a co dopiero z Kretem. Nienawidzi Kretów.

– Skąd o tym wiesz? Z plotek rozpuszczanych przez desperatów? – odpyskowała mu Aria.

Wylan podszedł do niej bliżej.

– Jeśli chcesz wiedzieć, to tak. Mówią, że wszystko zaczęło się jeszcze za Jedności. Przodkowie Sable’a zostali wybrani i wezwani do Podów, ale oszukano ich. Ostatecznie zostali więc na zewnątrz.

W szkole Aria uczyła się historii Jedności, okresu po wielkim słonecznym wybuchu, który zniszczył ochronną metasferę Ziemi, rozprzestrzeniając eter na całym świecie. Zniszczenia podczas pierwszych kilku lat były katastrofalne. Wciąż zmieniała się biegunowość Ziemi, a świat stanął w płomieniach. Nękały go powodzie, zamieszki, choroby. Po nasileniu się eterowych burz rządy różnych krajów pośpiesznie wybudowały Kapsuły Podu. Początkowo naukowcy nazywali nieznaną atmosferę „obcą”, ponieważ wymykała się naukowym wyjaśnieniom – elektromagnetyczne pole o nieznanym składzie chemicznym zachowywało się i wyglądało jak woda, ale atakowało Ziemię z nieznaną dotąd mocą. Nazwę tę z czasem zmieniono na *eter*, słowo pożyczone od starożytnych filozofów, którzy dyskutowali nad istnieniem podobnego pierwiastka.

Aria widziała nagrania przedstawiające uśmiechnięte rodziny, które idą przez Pody takie jak Reverie i oglądają swoje nowe domy. Widziała ekstatyczny wyraz ich twarzy, gdy po raz pierwszy założyli Wizjery i doświadczyli życia w Sferach. Nigdy nie zobaczyła jednak materiału, który ukazywałby to, co się stało na zewnątrz. Jeszcze kilka miesięcy temu eter rzeczywiście był dla niej czymś obcym – tak obcym jak świat poza

bezpiecznymi ścianami Reverie.

– Sable nienawidzi Osadników za coś, co stało się trzysta lat temu? – zapytała Aria. – Nie wszyscy mogli zmieścić się w Kapsułach. Loteria była jedynym sposobem na to, by zachować się fair.

Wylan prychnął.

– To nie było uczciwe. Ludzie zostali skazani na śmierć, Krecie. Naprawdę wierzysz w sprawiedliwość w obliczu końca świata?

Aria zawahała się. Wiedziała, co to instynkt samozachowawczy. Widziała go wystarczająco wiele razy i sama go czuła. Była to siła, dzięki której mogłaby zabić – zrobić coś, czego nigdy by się po sobie nie spodziewała. Przypomniała sobie, jak Hess wyrzucił ją z Podu, by chronić swojego syna Sorena. Mogła sobie tylko wyobrażać, że w czasach Jedności uczciwość i sprawiedliwość nie miały wielkiego znaczenia, ale Aria nadal wierzyła, że warto o nie walczyć.

– Przyszedłeś po to, żeby nam się naprzykrzać? – zapytała Molly.

– Chciałem tylko ostrzec Kreta – odpowiedział Wylan, oblizując usta.

– Dzięki – Aria weszła mu w słowo. – Na pewno zapytam Sable’a o jego praprapradziadków.

Wylan poszedł sobie, uśmiechając się chytrze, Molly zaś powróciła do drapania konia po białej gwiazdce.

– Lubię ją, Butter. A ty?

Wczesnym popołudniem Aria udała się do domu Perry’ego, licząc, że chłopak poświęci jej parę minut przed ceremonią nadawania Znaczeń. W sypialni Vale’a, gdzie spędziła swoją pierwszą noc, panował większy porządek niż w pozostałych pomieszczeniach. W nogach łóżka leżał czerwony koc, a w pobliżu znajdowały się skrzynia i komoda, ale nic więcej. Nigdy nie poznała brata Perry’ego, niemniej czuła tu jego obecność. Siła charakteru, z jaką go utożsamiała, sprawiła, że nie czuła się swobodnie.

Wzięła z parapetu żółwia-sokoła i postawiła go na nocnej szafce, a potem przebrała się w biały podkoszulek na cienkich ramiączkach, usiadła na brzegu łóżka i spojrzała na swoje ramiona. W pewien sposób przyjęcie Znaczeń będzie jak oficjalny gest akceptacji samej siebie jako Wykluczonej. Jako Audila. Jako córki swojego ojca. Czy złamał serce jej matce? A może zostali rozdzieleni z innego powodu? Czy kiedykolwiek pozna odpowiedź?

Na zewnątrz na dziedzińcu zbierali się ludzie. Przez okno słyszała ich ożywione głosy. Bęben wybijał niski rytm, podobny do uderzeń serca.

Była w wiosce od dwóch dni. Pierwszego dnia dostarczyła plemieniu tematu do plotek. Drugiego ich zabawiała. Co miał przynieść dzisiejszy wieczór?

Aria znalazła Wizjer w swojej torbie i zamknęła go w dłoni. Żałowała, że nie może go użyć, by skontaktować się z przyjaciółmi. Co pomyślałby Caleb o przyjęciu Znaczeń?

Wejściowe drzwi otworzyły się z głośnym łupnięciem. Aria wepchnęła Wizjer z powrotem do torby i wstała z łóżka, nasłuchując, jak podłoga skrzypi pod czyimiś stopami. W wejściu pojawił się Perry, a jego oczy były poważne i skupione. Stali tak, patrząc na siebie. Im bardziej on łagodniał, tym mocniej waliło jej serce.

Perry spojrzał na figurkę, którą Aria postawiła na nocnej szafce, doskonale wychwytyjąc tę jedyną drobną zmianę w całym pomieszczeniu.

– Odstawię ją – powiedziała.

Perry wszedł do środka i wziął figurkę do ręki.

– Nie, zatrzymaj ją. Teraz jest twoja.

– Dziękuję. – Aria zerknęła przez drzwi za jego plecami do drugiego pokoju. Czowała dziwną i niepokojącą barierę, która znów między nimi powstała, szklaną ścianę, która rozdzielała ich na wypadek, gdyby ktoś wszedł do pokoju.

Perry odłożył sokoła i skinieniem głowy wskazał na jej torbę.

– Pomyślałem, że wyruszymy jutro z samego rana.

– Jesteś pewien, że powinieneś wyruszyć w drogę? Po tym, co się stało?

– Tak, jestem pewien – odpowiedział ostro. Skrzywił się, powoli wypuścił powietrze z płuc i potarł dłonią policzki. – Przepraszam. Ostatnio Reef... Nieważne, przepraszam.

Cienie pod jego oczami wydawały się wyraźniejsze, a szerokie ramiona były przygarbione ze zmęczenia.

– Czy ty w ogóle spałeś? – zapytała.

– Nie... nie mogę.

– Nie było czasu?

– Nie. – Jego uśmiech był blady i bez humoru. – Nie potrafię.

– Ile? – zapytała.

– Ile czasu minęło, od kiedy przespałem całą noc? – Wzruszył ramionami. – Od Vale'a.

Nie mogła w to uwierzyć. Od miesięcy porządnie się nie wyspał?

– Ten pokój... – Perry nagle przerwał. Odwrócił się i zamknął za sobą drzwi, a potem oparł się o nie plecami, zatknął kciuki za paskiem i patrzył

na Arię, jakby czekał na jej sprzeciw.

Powinna była coś powiedzieć. Przez cały dzień słuchała urywanych plotek. Fale były zaniepokojone burzą i tym, co prawie spotkało Perry'ego. Nie chciała dokładać do tego nowych rzeczy. Wyobrażała już sobie, jak Wylan i Brooke nazywają ją krecią przybłądą, która uwiiodła Wodza Krwi. W tej chwili jednak nie miało to dla niej znaczenia. Po prostu chciała z nim być.

– Ten pokój? – pociągnęła.

Perry trochę się rozluźnił, ale jego oczy nadal były skupione i błyszczały jak łańcuch wokół szyi. Na zewnątrz zapadał zmrok, a ponure niebieskie światło sączyło się do środka przez niedomknięte okiennice.

– Należał do mojego ojca – powiedział, kończąc zdanie. – Rzadko kiedy tu przebywał. Wychodził przed świtem i spędzał dzień na polach albo w porcie. Kiedy miał czas, szedł na polowanie. Lubił się ruszać. Pod tym względem jesteśmy chyba podobni. Przy kolacji rozmawiał z plemieniem. Zawsze bardzo uważał, by wszystkim poświęcić tyle samo czasu. Zawsze mi się to podobało... Vale nigdy tak nie robił. Potem ojciec wracał do nas do domu i nie był już dłużej Jodanem, Wodzem Krwi. Był nasz. Słuchał naszych historii i czytał nam, a my siłowaliśmy się i bawiliśmy razem. Był ogromnym mężczyzną. Wysokim jak ja i silnym jak wół. Nawet we trójkę nie byliśmy w stanie go pokonać. – Uśmiech Perry'ego zbladł. – Były też inne chwile... chwile, kiedy wracał do domu z butelką. – Przechylił głowę na bok. – Trochę ci już o tym mówiłem.

Aria pokiwała głową. Ledwie mogła oddychać. Ojciec winił Perry'ego za śmierć matki, która zmarła podczas porodu. Perry tylko raz Arii o tym opowiedział i miał wtedy łzy w oczach. Teraz oboje znajdowali się w domu, w którym Perry był bity za coś, co nie było jego winą.

– W te wieczory zazwyczaj przez pierwszą godzinę wrzeszczał. Potem było gorzej. Vale chował się na antresoli. Liv wchodziła pod stół. Ja stawałem z ojcem twarzą w twarz. Tak to się działo. Wszyscy wiedzieli, ale nikt nic nie zrobił. Godzili się na moje siniaki. Ja też. Mówiłem sobie, że nie ma na to lepszego sposobu. Potrzebowaliśmy go jako Wodza Krwi. A on był jedynym rodzicem, jaki mi pozostał. Bez niego nie mielibyśmy już niczego.

Aria dobrze wiedziała, jakie to uczucie. Każdego dnia od śmierci matki zmagala się z myślą, że nic jej już nie pozostało.

Perry pokręcił głową.

– Może wyda ci się to bezsensowne, ale mam wrażenie, że z eterem jest podobnie. Wydaje nam się, że tego potrzebujemy... Tej ziemi. Tego

domu. Tego pokoju. Ale tak nie można żyć. Poprzedniej nocy straciliśmy przez pożary wiele hektarów i nieomal zmarł mężczyzna, którego znam przez całe swoje życie. Ja też prawie umarłem.

Aria momentalnie znalazła się przy nim. Wzięła go za rękę i ścisnęła ją tak mocno, jak tylko mogła. Tak mocno, jak trzymałaby ją, gdyby była z nim na falochronie. Perry powoli odetchnął i spojrzał jej w oczy. Jego uścisk był równie silny.

– Tracimy i tracimy, ale nadal tu jesteśmy. Trzęsiemy się, stojąc w miejscu, i boimy się cokolwiek zrobić. Mam już dość tkwienia w miejscu tylko dlatego, że nie wiem, czy istnieje coś lepszego. Musi istnieć! W przeciwnym razie czy jest jakiś sens? Teraz mogę przynajmniej coś z tym zrobić. I zrobię.

Zamrugnął, a skupienie w jego oczach zniknęło. Perry zaśmiał się sam z siebie.

– Rozgadałem się... – Uniósł brew. – Ale ty nic nie mówisz.

Objęła go w pasie i mocno przytuliła.

– Nie umiałabym niczego dodać.

Perry przyciągnął ją jeszcze bliżej i oplótł ramieniem. Przyłgnęli do siebie i Aria czuła przy sobie ciepły tors Perry'ego. Po chwili Perry nachylił się do niej i szepnął:

– Było fajowo?

To było słowo z jej świata i Aria nie miała wątpliwości, że Perry się teraz uśmiecha.

– Było bardzo fajowo. – Aria odchyliła się lekko i spojrzała mu w oczy. Choć był typem samotnika, bardzo troszczył się o innych. Był dobrym żywiołem. – Zdziwiasz mnie.

– Nie wiem dlaczego. Próbujesz odzyskać Talona i pomagasz swoim ludziom. Nie różni się to od tego, co robię.

– Różni. Hess jest...

Perry pokręcił głową.

– Zrobiłabyś to samo, nawet gdyby cię nie szantażował. Może ty nie jesteś o tym przekonana, ale ja tak. – Pogładził dłonią jej policzek i zanurzył palce we włosach. – Jesteśmy tacy sami, Ario.

– To największy komplement, jaki kiedykolwiek usłyszałam.

Perry uśmiechnął się i nachylił nad nią, by pocałować ją czule i delikatnie. Wiedziała, że powinna się odsunąć. Ryzykowali, ale w tej chwili obchodził ją tylko on. Zrzuciła mu ręce na szyję i na krótką chwilę rozdzieliła jego wargi swoimi.

Perry znieruchomiał na moment, potem przyciągnął ją do siebie

gwałtownie, a ich wspólna siła sprawiła, że z hukiem wylądowali na drzwiach za jego plecami. Chłopak osunął się nieco, zniżając się do jej wzrostu, nie przestając całować jej z niecierpliwością. Z nienasyceciem, które czuła i ona. Błądził ustami po jej szyi i świat wydawał się nie istnieć. Aria jęknęła i chwyciła go mocno za ramiona, przyciągając bliżej...

Jego ramię!

Na tę myśl nagle rozluźniła uścisk.

– Które to ramię, Perry?

Uśmiechnął się szeroko.

– W tej chwili nie mam zielonego pojęcia.

Jego oczy były ciężkie od pożądania. Ale Aria dostrzegła coś jeszcze.

Błysk, który sprawił, że zrobiła się podejrzliwa.

– Co? – zapytała.

– Jesteś niewiarygodna.

– Nie o tym przed chwilą myślałeś.

– O tym. Zawsze o tym myślę. – Nachylił się do niej, owijając sobie wokół palca kosmyk jej włosów i jednocześnie całując jej dolną wargę. –

Ale zastanawiałem się też, co robiłaś dzisiaj przy Butter.

Aria zaśmiała się. Bardzo pociągające – pachnieć stajnią i końmi.

– Nic nie umknie twojej uwagi. Za dużo myślisz.

– Tylko o tobie. Cały czas – odpowiedział Perry z uśmiechem.

11

PEREGRINE

Perry przeciągnął ostrzem noża po dłoni i zacisnął ją w pięść. Kilka kropli krwi skapnęło do małego miedzianego garnuszka.

– Na krew Przywódcy Plemienia Fal uznaję cię za Audila i poświadczam, że należy nadać ci Znaczenia.

Perry nie rozpoznawał dźwięku swojego własnego głosu – pewnego i oficjalnego – ani też słów, które wypowiedział. Zawsze słyszał je z ust Vale'a lub ojca. Rozejrzał się po tłumie zgromadzonych. Wbrew radom Reefa nakazał przygotowanie na ceremonię tych samych atrybutów co zwykle. Kadzidło na każdym ze stołów wypełniało kantinę wonnym cedrowym dymem, który symbolizował Scirów, a pochodnie i świece rozświetlały pomieszczenie ku czci Vidów. Dla Audów bębniarze zebrani na końcu sali wybijali miarowe rytmy. W przeciwieństwie do wilgoci, chłodu i strachu poprzedniej nocy tym razem czuło się swobodę i piękno

tradycji. Perry słusznie nakazał przeprowadzenie ceremonii. Fale potrzebowały jej tak samo jak Aria.

Aria stała tylko kilka kroków naprzeciw Perry'ego. Spięła swoje ciemne włosy, przez co jej kark wyglądał smukło i delikatnie. Być może z nerwów, a być może od upału, jaki panował w kantynie, lekko się zarumieniała. Perry nie mógł mieć pewności.

Czy uważała, że ich rytuał jest prymitywny? Czy naprawdę chciała przyjąć Znaczenia, czy może były dla niej koniecznością, jeśli chciała odnaleźć Wielki Błękit? Nie zdążył zapytać ją o to wcześniej, a teraz było już za późno. Nie mógł odgadnąć, jak się czuła. Przez cedrowy dym i setki zgromadzonych ludzi jego zmysł powonienia był bezużyteczny.

Perry podał nóż Roarowi, który szybkim i efektownym ruchem obrócił go, zanim złożył swoje własne przyrzeczenie, poświęcając, że Aria jest Audilem. Jedną z nich.

– Niech dźwięki wskażą ci drogę do domu – zakończył Roar, dolewając do całości swoją krew.

Następnie zawartość garnuszka zmieszano z tuszem do wykonania tatuażu. Wraz ze Znaczeniami Aria otrzyma także część Roara i niego samego, a ich zmieszana krew przypieczętuje obietnicę, by chronić Arię i bronić jej zawsze, gdy będzie potrzebowała pomocy. Ceremonia miała się zakończyć uroczystą przysięgą. Perry nie mógł się doczekać. Chciał, żeby Aria wiedziała o tym, co on czuł już od dawna.

– Bear narysuje teraz twoje Znaczenia – powiedział Perry. Przez wiele lat wykonywała to Mila. Żona brata wytatuowała mu sokoła na plecach i jego Znaczenia – obręcze Scira i Vida. Potem zastąpiła ją Molly, ale ostatnio dokuczały jej dłonie. Jediną osobą poza nimi, która kiedykolwiek to robiła, był Bear.

Perry stał jeszcze chwilę, próbując zdusić w sobie chęć, by pocałować Arię w policzek. Choć bardzo chciał otwarcie powiedzieć plemieniu o tym, co ich łączy, okazanie teraz własnych uczuć z jakiegoś powodu wydało mu się niewłaściwe. Po raz ostatni patrząc na idealną skórę na jej ramionach, Perry poszedł do ostatniego stołu w sali. Wykonanie Znaczeń zajmie godziny, a on nie chciał przeszkadzać. Robienie sobie tatuażu nie było takie okropne, wiedział jednak, że jakikolwiek dyskomfort, który poczuje Aria, zaboli i jego.

Zajął dawne miejsce Vale'a u szczytu stołu na niewielkim podeście. Mając przy sobie Roara, Cindera oraz Szóstkę, za bardzo czuł się jak swój brat podczas wystąpień i uroczystości. Dziś jednak był przecież dzień ceremonii.

Po drugiej stronie stołu uśmiechnął się do niego mężczyzna o zaniedbanych włosach, który miał więcej przerw w zębach niż samych zębów.

– Proszę, proszę... ale się prezentujesz, Peregrine.

Handlarz, który przybył do wioski wczesnym popołudniem, zaglądał do nich każdej wiosny, by sprzedawać świecidełka. Monety, łyżki, pierścionki i bransoletki w nieładzie zwisały mu z szyi i pół płaszcza, splątane niczym wodorosty. Ważyły pewnie tyle co on. Te wszystkie drobiazgi były jednak przykrywką dla jego prawdziwego towaru – plotek.

Perry skinął głową.

– Witaj, Shade. – Skoro Bear robił Znaczenia, a Perry miał odrobinę wolnego czasu, nadarzyła się okazja, żeby się dowiedzieć czegoś przed jutrzejszym porannym wymarszem.

– Wyrosłeś na *wspaniałego* młodego wodza – powiedział Shade. Przeciągnął to słowo, jakby z każdą literą wysysał szpik z kości. Kątem oka Perry zauważył szeroki uśmiech na twarzy Roara. Perry już się cieszył, wyobrażając sobie, jak Roar będzie go później przedrzeźniał.

– Jak bardzo przypominasz swojego brata i ojca – ciągnął Shade. – Jodan był wielkim człowiekiem.

Perry pokręcił głową. Jego ojciec wielki? Może dla niektórych. Na swój sposób.

Spojrzał w stronę paleniska. Bear siedział przy Arii na stole. Kawalkiem wierzbowego węgla drzewnego narysował spirale oznaczające Audila, przygotowując się do tego, by utrwalić je na skórze. Aria wpatrywała się w ogień nieobecny wzrokiem. Perry wypuścił powietrze przez zęby, nie do końca pewien, czemu się martwi. Widział ten proces już wiele razy.

– No dalej, Shade – powiedział. – Jakie przynosisz wieści?

– Wygląda na to, że na liście twoich imponujących zalet brak cierpliwości – skomentował Shade.

– To prawda – przyznał Perry. – Nie umiem się też pohamować.

Na twarzy plotkarza pojawił się szeroki uśmiech. Jeden z jego przednich zębów siedział krzywo jak zwichrowane drzwi.

– Na to wygląda. Wiesz, że podziwiam cię bezmiernie, i nie tylko ja jeden. Wieści o twym przejęciu władzy rozeszły się po świecie. Jakże trudno musiało ci być, panie, przelać krew własnego brata. Niewielu mężczyzn ma w sobie tyle siły, by popełnić tak bezlitosny – pardon – bezinteresowny czyn. Wszystko dla bratanka, jak słyszałem. Kochany malec. Drogi chłopiec. Mówi się też, że dałeś radę pokonać bandę

sześćdziesięciu Krukorów. Tak, młody wódz, a już zostawia po sobie ślad w historii. Peregrine z plemienia Fal.

Perry miał ochotę mu przyłożyć, ale Reef go wyprzedził i z łoskotem postawił stopę na ławie tuż przy wędrowcu. Nachylił się nieco nad odzianym w łachmany mężczyzną.

– Pomóc ci przyspieszyć?

Shade skrzywił się lekko, studiując bliznę na twarzy Reefa.

– Nie, nie ma potrzeby. Proszę mi wybaczyć. Nie miałem zamiaru nikogo obrazić. Twój czas, panie, jest zapewne niezwykle cenny, zwłaszcza po wczorajszej burzy. Południowe tereny poniosły ogromne straty. Wszędzie wybuchły pożary, a ziemie niczyje pełne są Rozproszonych. Plemiona Róż i Nocy zostały siłą wygnane ze swoich wiosek. Plotka głosi, że połączyły się i wspólnie szukają nowego bastionu.

Perry spojrzał na Reefa, który skinął głową, jakby właśnie myśleli o tym samym. Róże i Noce należały do największych plemion i każde liczyło tysiące osób. Fale miały ledwie czterystu ludzi, wraz z dziećmi i starszymi. Perry przygotowywał wprawdzie swoje plemię na najazd, ale z takim przeciwnikiem nie mieliby szans.

Kolejny wdech nie przyniósł Perry'emu zadowolenia. Był duszny i przesycony ludzkimi odorami. Tak głęboko w środku powietrze zrobiło się gęste.

– Jakież znaki, w którą stronę zacierają?

– Nie – odparł Shade z uśmiechem. – Ani śladu.

Perry spojrzał na morze głów, znów odnajdując wzrokiem Arię. Bear wyciągnął cienki miedziany drucik z drewnianego pudełka ze sprzętem do wykonywania Znaczeń. Przytrzymał go nad świecą i rozgrzał końcówkę. Za chwilę nakłuje nim skórę Arii, aby nakreślić jej Znaczenie. Użyte w zły sposób, narzędzie to mogło być śmiertelne. Perry pokręcił głową, odpychając od siebie tę myśl.

– Co jeszcze? – zapytał. Z każdą chwilą coraz silniej czuł, że robi mu się niedobrze. Wzdłuż pleców spłynęła mu kropelka potu – Co z Wielkim Błękitem?

– Och, wiele mówi się o Błękitcie, Peregrine. Plemiona wyruszają na poszukiwania. Niektóre kierują się na południe do Doliny Tarczowej. Inne wypuszczają się za Wzgórze Strzelców. Plemię Pigw wyruszyło na północ, za terytoria Rogów. Wrócili skrajnie wygłodniali. Dużo się mówi, ale nic z tego nie wynika.

– Słyszałem, że Sable wie, gdzie to jest – powiedział Perry.

Shade przygarbił się, a jego ubrania zabrzęczały.

– Tak mówi, ale nie jestem Scirem tak jak ty, Peregrine. Nie wiem, czy nie kłamie. Jeśli rzeczywiście wie, nie wyjawia tej tajemnicy żywej duszy. Krążą też pogłoski, że istnieje chłopiec, który potrafi kontrolować eter. Może cię to zaciekać, bo w obecnych czasach takie dziecko warto byłoby mieć.

Perry starał się nie poruszyć, mimo że wzburzyła się w nim krew. Ile wiedział Shade? Kątem oka Perry zauważył, że Cinder ściągnął czapkę.

– To niemożliwe.

– No cóż... trudno w to uwierzyć. – Shade wydawał się zawiedziony, że nie wzbudził tą pogłoską żadnego zainteresowania, bo bardzo szybko podał kolejną wiadomość. – Tej wiosny śniegi szybko zelżały. Bez przeszkód można udać się do Rimu. Mógłbyś teraz zobaczyć się z Olivią.

Liv. Wspomnienie jej imienia zaskoczyło go.

– Nie ma jej u Rogów. Nigdy do nich nie dotarła.

Shade uniósł brwi.

– Nie?

Perry zamarł.

– A co wiesz o Liv?

Shade uśmiechnął się.

– Wychodzi na to, że więcej niż ty. – Był najwyraźniej zadowolony z posiadania informacji, dzięki którym mógłby coś wytargować. Nie wiedział jednak, jak się robi interesy z Roarem.

Perry odwrócił się w porę, by zobaczyć, jak Roar, czarny rozmazany kształt, przeskakuje przez stół. Dobiegł ich odgłos głośnego upadku i brzęk łyżek, pierścionków i świecidełek. Reef i Gren wyciągnęli noże i wtem wszystko się zatrzymało. Perry wszedł na stół, by popatrzeć, jak Roar przygniata Shade'a do podłogi.

– Gdzie ona jest? – syknął Roar, przyciskając ostrze noża do gardła handlarza.

– Poszła do Rogów. Tylko tyle wiem! – Shade patrzył na Roara przerażonym wzrokiem. – Powiedz mu, Scirze! Mówię prawdę! Nie okłamałbym cię.

W kantynie zrobiło się cicho i uwaga wszystkich skupiła się na nagłym zamieszaniu. Perry'emu kręciło się w głowie, kiedy schodził ze stołu. Ściągnął Roara z Shade'a, czując purpurową barwę jego emocji.

– Wyjdz! – Perry popchnął Roara w stronę drzwi. Powietrze. Obaj potrzebowali oddechu, zanim rozprawią się z handlarzem. Nie chciał dziś rozlewu krwi.

– Sable ją znalazł. – Roar miał rozbiegany wzrok, kiedy Perry

wyprowadzał go z kantyny. – Na pewno. Ten łajdak wyszedł ją i siłą zaciągnął do siebie. Muszę się tam udać. Muszę...

– Idziemy, Roar.

Wychodząc z budynku, napotykali pytające spojrzenia Fal. Perry skupił się na drzwiach, wyobrażając sobie zimne nocne powietrze, które go za nimi uderzy.

Roar zatrzymał się i obrócił tak gwałtownie, że Perry niemal na niego wpadł.

– Perry... patrz!

Podążył za jego wzrokiem i zobaczył Arię. Bear dotykał jej ramienia krótkimi szybkimi ukłuciami, znacząc je tuszem. Aria była mokra od potu, a włosy kleiły się jej do szyi. Uniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Coś było nie tak.

W okamgnieniu Perry znalazł się przy niej. Na jego widok Bear zląkł się i odsunął drucik. Z ramienia Arii kapąła krew. Zbyt wiele krwi. Dużo za dużo. Część Znaczenia została już ukończona i kręte linie tatuażu Audów oplatały połowę jej ręki. Skóra wokół wzoru była czerwona i spuchnięta.

– Co to? – zapytał Perry.

– Ma cienką skórę – powiedział Bear defensywnym tonem. – Robię to tak, jak umiem.

Aria była biała jak kreda i ledwie mogła wysiedzieć.

– Wytrzymam – wyszeptała. Nie chciała na niego spojrzeć. Patrzyła tylko w ogień nieobecny wzrokiem.

Perry zerknął do pojemnika z tuszem, wyczuwając coś dziwnego. Podniósł małą miedzianą miseczkę do nosa i wciągnął w płuca zapach substancji. Pod wonią tuszu wyczuł stęchły odór.

Cykuta.

Przez moment nie był w stanie połączyć wszystkich informacji. W końcu to do niego dotarło.

Trucizna.

Tusz był zatruty.

Miedziana miska zadźwięczała o palenisko, zanim Perry zdołał sobie uświadomić, że nią rzucił. Tusz pochłapał gzyms kominka, ściany, podłogę.

– Coś ty zrobił? – wrzasnął Perry. Bębny ucichły. Wszystko ucichło. Oczy Beara błędziły od drucika do ramienia Arii.

– To znaczy?

Gdy Aria zaczęła się chwiać, Perry rzucił się na kolana i pochwycił

ją, zanim spadła z ławki. Jej skóra paliła go w dłonie, a ona była w jego rękach ocieźzała i bezwładna. To się nie działo naprawdę. Nie wiedział, co zrobić. Nie potrafił podjąć decyzji. Jego ciało wypełniały strach i mdłości, dlatego nie był w stanie zrobić ani kroku.

Wziął Arię na ręce i zaniósł do swojego domu. Wszedł do sypialni Vale'a i położył dziewczynę na łóżku. Następnie ściągnął pasek i nóż, który ze szczękiem upadł na podłogę. Zawiązał pas nad bicipsem Arii i mocno go zacisnął. Musiał zatrzymać truciznę, zanim dostanie się do serca.

– Ario? – Odezwał się, ujmując jej twarz w dłonie. Jej źrenice były tak rozszerzone, że ledwie widział szary kolor tęczówek.

– Nie widzę cię, Perry – wymamrotała.

– Jestem tuż przy tobie. – Ukląkł przy łóżku i ujął jej dłoń. Jeśli będzie ją mocno trzymał, Arii nic się nie stanie. Nie może. – Wszystko będzie w porządku.

W pokoju pojawił się Roar i postawił lampę na nocnym stoliku.

– Molly już do nas idzie. Poszła po swoje rzeczy.

Perry wpatrywał się w ramię Arii. Żyłki wokół jej Znaczenia były grube, splecione i miały ciemny fioletowy kolor. Z każdą sekundą twarz dziewczyny robiła się coraz bledsza. Perry pogładził ją po czole drżącą dłonią, myśląc o jednostce medycznej u Marrona. Tu nie miał niczego. Nigdy wcześniej nie czuł, że prowadzi prymitywne życie – aż do tej chwili.

– Perry... – jęknęła Aria, oddychając ciężko.

Uścisnął jej dłoń.

– Jestem tu. Nigdzie się nie wybieram. Jestem...

Jej powieki zamknęły się, a Perry się poczuł, jakby został wciągnięty głęboko pod wodę, w lodowaty mrok, skąd nie ma powrotu. Bez tlenu w płucach.

– Wciąż oddycha – odezwał się stojący za nim Roar. – Słyszę ją. Jest nieprzytomna.

Molly przyniosła słoje pełne śnieżnobiałej maści, którą stosowano na uczuleniowe wysypki.

– To nie wystarczy – powiedział Perry stanowczym tonem. – Trucizna jest wewnątrz jej skóry.

– Wiem – powiedziała Molly spokojnie. – Jeszcze nie obejrzałam rany.

– Co zrobić? Mam jej odciąć tę skórę? – Żołądek Perry'ego skurczył się na sam dźwięk tych słów.

– Ja to zrobię – odezwał się Roar, kładąc dłoń na swoim nożu.

Perry spojrział na przyjaciela. Też zbladł ze strachu. Perry nie mógł uwierzyć, że rozmawiają o pocięciu ramienia Aarii.

– To na nic – odezwała się Molly. – Trucizna jest już w jej krwiobiegu. – Na nocnym stoliku postawiła kolejny słoik. W wodzie zwinnie poruszały się ruchliwe pijawki. – Powinny pomóc, o ile wyssa zatrutą krew.

Perry zdusił w sobie kolejną falę mdłości. Pasek wokół jej ramienia. Pijawki. Czy nie mógł zapewnić jej czegoś lepszego?

– Spróbujmy.

Molly sięgnęła po wijącą się pijawkę i umieściła ją nad tatuażem Aarii. Kiedy stworzenie przyssało się do skóry dziewczyny, Roar głośno wypuścił powietrze, ale Perry nadal nie mógł złapać oddechu. Molly wzięła kolejną pijawkę ze słoika, a potem następną i następną. Każda sekunda wydawała się trwać wieczność. W końcu na ramieniu Aarii znalazło się sześć stworzonek. Na jej idealnej skórze, którą gładził palcami jeszcze kilka godzin temu.

Perry splótł palce Aarii ze swoimi. Aria odwzajemniła uścisk, lecz jej dłoń szybko się rozluźniła. Nawet półprzytomna dawała mu znaki, że będzie walczyć.

Perry obserwował, jak pijawki stają się ciemnofioletowe i pęcznieją od krwi. Sposób Molly chyba przynosił rezultaty. Potem nie mógł już patrzeć. Położył głowę na łóżku, czując, jak od ciągłego klęczenia bolą go kolana. Słyszał, jak za ścianą Bear zarzekał się, że jest niewinny. Potem dobiegł go głos Cindera, który rozpaczliwie błagał Roara, by go przepuścił. Cisza. Molly poruszająca się blisko niego, która nakrywa Aarię kocem i na chwilę kładzie dłoń na jego głowie. Potem znów cisza.

W końcu Perry podniósł głowę. Choć Aria nadal się nie poruszyła, czuł, że powraca. Wstał niepewnie, chwiejąc się na zdrętwiałych nogach. Nagły przypływ ulgi sprawił, że przez chwilę nie widział wyraźnie. Było to jednak przelotne uczucie.

Perry spojrział na Roara, który w dłoni trzymał nóż za ostrze.

– Idź – powiedział Roar, podając mu go. – Ja z nią zostanę.

Perry wziął nóż i poszedł do kantyny.

12 Aria

Aria frakcjonowała do przepastnej kopuły. Była słaba i kręciło jej się w głowie. Na setki metrów ciągnęły się przed nią sterylne białe rzędy. Wyrastały z nich owoce i warzywa w idealnych kolorowych aranżacjach.

Serce waliło jej z całych sił. Znajdowała się w SR 6, jednym z sektorów rolniczych Reverie. Była tu już wcześniej, kiedy próbowała dowiedzieć się czegoś o mamie. Soren zaatakował ją niewiele dalej od miejsca, w którym była teraz.

To tu umarła Paisley.

Aria popatrzyła w górę. Wysoko ponad nią z rur nawadniających z sykiem wydostawał się czarny dym, który opadał w dół i kłębił się wokół niej. Starła się dobiec do komory ciśnień, jej nogi odmawiały jednak posłuszeństwa.

Ciszę przerwał głos:

– Nie możesz się stąd wydostać, pamiętasz?

Soren. Nie widziała go, ale rozpoznała jego drwiący ton.

– Gdzie jesteś? – Dym gryzł ją w oczy i zaczęła się krztusić. Nie widziała jednak nikogo.

– Gdzie jesteś, Ario?

– Nie możesz mnie tu skrzywdzić, Soren.

– Masz na myśli Sfery? Myślisz, że tam właśnie jesteś? Mylisz się. Mogę cię skrzywdzić.

Aria zaczęła się kręcić w głowie, aż z trudem utrzymywała równowagę. Kolana ugięły się pod nią i dziewczyna upadła na ziemię, chwytając się za głowę. Dlaczego tak w niej huczało? Co było nie w porządku?

Czuła na ramieniu rosnące ciśnienie. Spojrzała na dół. Z jej skóry wydobywał się dym i rozpraszał w powietrzu. Paliło się pod jej skórą. Jej krew płonęła. Aria poderwała się i zaczęła trzeć skórę, ale unieruchomiły ją niewidzialne dłonie.

– Wystarczy, Molly! Ściągnij je z niej.

To głos Roara. Ale gdzie się znajduje?

Zawisło nad nią muskularne ciało Sorena.

– Tym razem mi się nie wymkniesz.

Szarpała się, próbując wyswobodzić ręce. Musiała się mu

przeciwstawić, ale nie mogła się uwolnić.

– Nie boję się ciebie!

– Jesteś tego pewna? – rzucił się na nią i chwycił w talii.

– Ario, to ja! Wszystko w porządku. To ja!

Głos Roara. Twarz Sorena. Ramiona Sorena owinięte wokół jej ciała.

Aria próbowała wyzwolić się z jego uścisku. Nie wiedziała, czego się bać. Nie miała pojęcia, co jest prawdziwe i dlaczego ma wrażenie, że krew gotuje się w jej żyłach. Upadła plecami na grządki, kopiąc i walcząc, aż przed oczami zrobiło się jej ciemno.

===LUIgTCVLIA5tAm9PdkBxSHtbP1AiTTIYdh1yBWQIaxFoAzFxFns
acx8xUj1Q

13 PEREGRINE

Gdy Perry wszedł do kantyny, zastał Wylana stojącego na stole przed niewielkim zbiorowiskiem. Było późno i tylko kilka rozproszonych lamp tliło się w spowitej półmrokiem sali. Przeważająca część plemienia udała się do swoich domów na spoczynek.

– Jest w gorącej wodzie kąpany. Zawsze był – powiedział Wylan. – Przecież to Osadniczka. Próbował to przed nami ukryć. Mówi, że wyruszy na północ w poszukiwaniu Wielkiego Błękitu, ale w to też nie wierzę. Nie zdziwiłbym się, gdyby nie miał już zamiaru wrócić!

– Wróciłem – odezwał się Perry. Był w pełni skoncentrowany, a jego zmysły wyostrzone jak nóż w jego dłoni.

Wylan odwrócił się tak gwałtownie, że spadł ze stołu. Ludzie zgromadzeni wokół wstrzymali oddech, a ich spojrzenia skupiły się na ostrzu noża, który Perry miał w dłoni.

Bear uniósł dłonie.

– O niczym nie miałem pojęcia, Perry. To nie ja. Nigdy bym nie...

– Wiem. – Emocje Beara były dowodem jego niewinności. Był tak samo zszokowany jak on sam. Perry wziął głęboki wdech, a jego pole widzenia obrębiły niebieskie kontury. – Kto to zrobił? – Przyglądał się otaczającym go twarzom w poszukiwaniu winnego.

Nikt się nie odezwał.

– Myślicie, że milczenie was obroni? – Minał Rowana i Starego Willa, z każdym krokiem wciągając w płuca więcej powietrza.

Węszył.

Sprawdzał.

Szukał.

– Macie pojęcie, jak wyraźna jest dla mnie wasza wina?

W końcu wyczuł zjełczały zapach strachu. Uczepił się go jak liny i dążył po niej do celu. Ludzie cofnęli się w przerażeniu, potykając się o ławy i stoły. Wszyscy z wyjątkiem Graya, który stał nieruchomy jak drzewo. Perry mógł skupić wzrok tylko na nim. Na farmerze, którego twarz była napięta z przerażenia.

– Przecież to Kret! Nie jest jedną z nas! Nie ma prawa dostać Znaczeń!

Perry z całą siłą rzucił się na Graya. Upadli na podłogę, potracając

ludzi wokół. Ktoś kopnął Perry'ego w rękę i nóż wypadł mu z dłoni. Poczul czyjeś ręce na ramionach, ale nie były w stanie go odciągnąć. Był uosobieniem woli i zamiaru. Był czystą, skoncentrowaną siłą, a cały jego strach miał tylko jedno ujście – przez pięści.

Pierwszy...

Drugi...

Dopiero po trzecim ciosie Reef i Bear dali radę go odciągnąć. Przeklinając i szarpiąc się, zdołał jeszcze raz im się wyrwać. Słyszał dźwięk łamanych kości, ale to mu nie wystarczyło. Gray nadal żył. Nadal ruszał się na podłodze.

Bear podniósł Perry'ego i odrzucił do tyłu.

– Przestań! On ma synów!

Perry gruchnął na stół. Reef pojawił się przed nim i blokując go przedramieniem, przycisnął do stołu.

– Popatrz na mnie, Perry!

Perry zmusił się, by spojrzeć w oczy Reefa.

– Pozwól mu odejść na ziemie niczyje – powiedział Reef. – Puść go.

Perry popatrzył na dwóch chłopców stojących w tłumie. Wczoraj na polach śmiali się i strzelali z łuku razem z Brooke. Teraz tulili się do siebie ze łzami w oczach.

Reef odsunął się, zwalniając uścisk.

Gray leżał na boku kilka kroków od niego. Z nosa ciekła mu ciemna krew, która tworzyła kałuże na drewnianej podłodze.

– Podnieść go – powiedział Perry. Hyde i Maruder podźwignęły Graya z podłogi i przytrzymały prosto. Gray nie mógł stać o własnych siłach.

– Dlaczego? – zapytał Perry. – Dlaczego to zrobiłeś?

– Ona nie zasługuje na Znaczenia. Nie jest nawet jedną z nas. Ja jestem.

– Już nie – odparł Perry. – Straciłeś ten przywilej. Masz zniknąć z moich ziem do jutra rana.

Kiedy Hyde i Maruder ruszyli ku wyjściu, ciągnąc za sobą Graya, Perry spuścił głowę i wypluł ciepłą krew, która zebrała mu się w ustach po otrzymanym w walce ciosie. Kątem oka zauważył, jak gdzieś w oddali miga mu podarty, brzęczący płaszcz Shade'a. Plotkującemu handlarzowi poszczęściło się tego wieczoru.

– Jesteś kłamcą, Peregrine.

Perry podniósł wzrok i za gorzkim tonem głosu podążył w tłum, odnajdując twarz kryjącego się tam Wylana.

– Podejdiesz tu i to powtórzysz? – zapytał Perry.

– A jeśli to zrobię, to mnie też pobijesz? – Wylan pokręcił głową. – Jesteś gorszy niż Vale – powiedział pod nosem, po czym wyszedł.

Twig popchnął Wylana po drodze. Tani chwyt był tym bardziej zaskakujący, że pochodził od kogoś tak honorowego jak Twig. Wzrok Perry'ego powędrował na przeciwległy koniec sali. Hayden, który stał nieopodal, gotów był do ataku, a Gren trzymał nóż w dłoni. Reef rozglądał się po zebranych jak wojownik mierzący się z wrogiem.

Plemię nie było wrogiem. To byli jego ludzie. Patrząc po twarzach zgromadzonych, Perry wyczuwał litość, strach i wściekłość.

W końcu odezwał się Reef.

– Już po wszystkim, idźcie do swoich domów.

Perry wiedział jednak, że Reef się myli.

14 Aria

Arię obudził piekący ból ramienia. Zamrugła w ciemności. Język przykleił się jej do podniebienia, a w głowie czuła tak silne łupanie, że aż bała się poruszyć. Leżała na łóżku w pokoju Vale'a. Światło eteru sączyło się delikatnie przez wąską szczelinę pomiędzy okiennicami, niebieskie i chłodne jak poświata księżycy w pełni.

Spojrzała niżej, powoli poruszając głowę. Jej biceps był dokładnie owinięty pasem tkaniny. Wiedziała, że znajdujące się na nim ciemne plamy to krew. Dotknęła opatrunku dygoczącą dłonią. Miała wrażenie, że jest poparzona. Nie tylko na skórze, ale i głęboko w żyłach.

Przypomniała sobie ceremonię. Beara, który nakłuwał jej ramię drucikiem, i okropne pieczenie, które rozprzestrzeniło się po całym jej mięśniu, cichnące dźwięki i stopniowo przechylającą się salę kantyny.

Została otruta.

Zacisnęła powieki. Cała sytuacja wydała jej się tak nieprawdopodobnie średniowieczna, że gdyby mogła, roześmiałyby się w głos. Z kolejną myślą poczuła ścierające się w niej strach i gniew. Drgawki, które wstrząsały jej ręką, teraz owładnęły resztą ciała, tym silniejsze, im głębiej docierało do niej to, co się wydarzyło. Nie mogła pojąć, dlaczego jest jej tak zimno, skoro w jej żyłach płonie krew. Przewróciła się na bok i zwinęła w kłębek, napinając wszystkie mięśnie, by opanować dreszcze.

Kto jej to zrobił? Brooke? Wylan? A może Molly? Czy to możliwe, by winna była jedyna osoba, której zaczęła ufać? Aria przypomniała sobie noc, kiedy wraz z Roarem śpiewali w kantynie. Tylu ludzi się wtedy do niej uśmiechało. Czy uśmiechali się też wówczas, gdy jej podawano truciznę?

Oblizła spierzchnięte usta. Gorzkie – czy poczuła smak trucizny? Utkwiła wzrok w figurce sokoła stojącej na nocnej szafce, którą luna eteru obrysowała niebieską poświatą. Aria wpatrywała się w nią, aż w końcu zmorzył ją sen.

Kiedy znów się obudziła, zauważyła przy łóżku zapaloną świecę. Przymrużyła powieki, bo jasny płomień raził ją w oczy. Perry rozmawiał z kimś w sąsiednim pokoju. Jego głos był ochryply i zniecierpliwiony. Puls Arii od razu przyspieszył.

– Wiedziałem, że coś jest nie w porządku – powiedział. – Było mi tam niedobrze. Nie wiedziałem jednak, że to z jej powodu.

Po głosie Reefa można było poznać, że nie jest zaskoczony.

– Jesteś jej bezgranicznie oddany.

Aria usłyszała skrzypienie podłogi i ciche przekleństwo.

– Tak myślałem – kontynuował Reef. – Miałem nadzieję, że się mylę.

Aria wpatrywała się w drzwi, z trudem próbując zrozumieć. Perry był jej bezgranicznie oddany?

– Wydaje ci się, że to ostatni raz, kiedy jej odczucia będą miały na ciebie wpływ? – zapytał Reef. – Bo jeśli tak, to się mylisz. Jesteś bezgranicznie oddany dziewczynie, której nikt tu nie chce. Nie jestem w stanie pomyśleć, co gorszego mogłoby się stać. Ona miesza ci w głowie...

– Nieprawda!

– Prawda, Perry! Nie może tu zostać. Musisz to w końcu dostrzec.

A po tym, co zrobiłeś, mogę się założyć, że Fale jej nie zaakceptują.

Właśnie postawiłeś ją ponad jednym z nich.

– Nie to zrobiłem. Nie będę tolerował mordercy, bez względu na to, kim jest.

– Zgoda – powiedział Reef. – Ale ludzie będą widzieć to, co chcą zobaczyć. Zemszczą się na niej, albo gorzej – zemszczą się na tobie. I nie chcę nawet słyszeć, że ruszasz na północ. Fale potrzebują cię *tutaj*.

Czekała na sprzeciw Perry'ego, ale nic nie usłyszała.

Chwilę później otworzyły się drzwi i Perry wszedł do środka, przyciskając palce do oczu. Kiedy zobaczył, że Aria nie śpi, zamarł w bezruchu. Potem zamknął drzwi i podszedł do jej łóżka. Ujął ją za rękę, a jego zielone oczy wypełniły się łzami.

– Ario... przepraszam. Tak bardzo cię przepraszam. Nie mam słów, by wyrazić, jak bardzo mi przykro.

Pokręciła głową.

– To nie twoja wina. – Nie miała siły, by dużo mówić. Po jednej stronie jego szczęki widniał czerwony siniak, a dolna warga była spuchnięta. – Oberwałeś.

– To nic poważnego. Bez znaczenia.

Nieprawda. Cierpiał z jej powodu. To miało ogromne znaczenie.

– Która jest godzina? – Nie miała pojęcia, ile czasu minęło. Dzień. Tydzień. Za każdym razem gdy się budziła, w pokoju było ciemno. Noc. Tylko tyle wiedziała.

– Prawie świta.

– Spałeś? – zapytała.

Perry uniósł brew.

– Czy spałem? Nie... nawet nie próbowałem.

Była zbyt zmęczona. Za bardzo wycieńczona, by powiedzieć to, co chciała. Wtedy zdała sobie sprawę, że wystarczy tylko jedno słowo.

Poklepała łóżko.

– Ty.

Położył się, przysuwając ją do siebie. Aria ułożyła się przy nim, przykładając ucho do jego piersi. Słuchała bicia jego serca – dobrego, silnego dźwięku – a ciepło jego ciała stapiało się z jej ciepłem. Wcześniej otaczała ją mgła. Miała halucynacje i szukała tego, co prawdziwe.

Znalazła to w nim. On był prawdziwy.

– Teraz jesteśmy razem – wyszeptał, opierając się o jej czoło. – Tak jak powinno być.

Aria zamknęła oczy i próbowała się uspokoić. Perry był jej oddany. Może też to poczuje.

– Śpij, Perry.

– Dobrze. Mając cię przy sobie, zasnę.

15
PEREGRINE

– Zbudź się, Perry!

Perry gwałtownie otworzył oczy. Był w pokoju Vale’a. Nigdy w życiu nie spędził tam nocy. Aria spała głębokim snem wtulona w jego tors. Przygarnął ją mocniej, czując zapach potu i krwi, które przywiodły na myśl wspomnienia minionej nocy.

W progu stał Roar.

– Lepiej wyjdź na zewnątrz. I to zaraz.

Starając się nie obudzić Arii, Perry wymknął się z łóżka i wyszedł z Roarem przed dom.

W centrum wioski zebrało się całe plemię – tłum składający się z setek osób. Ludzie płakali i krzyczeli do siebie obelżywe słowa. Na dachu kantyny Hyde i Hayden czekali gotowi, by wystrzelić. Przy boku Perry’ego, z nożem w dłoni, pojawił się Reef, a tuż za nimi Twig.

– Co się dzieje? – zapytał Cinder.

Perry nie wiedział. Nie rozumiał do chwili, gdy przed zgromadzonych wyszedł Gray.

Jego twarz była tak spuchnięta, że trudno było go rozpoznać. Przez ramię miał przewieszoną ciężką torbę.

– Dokonałeś złego wyboru – powiedział tylko, po czym opuścił wioskę. W ślad za nim podążyli jego dwaj synowie ocierający łzy z zapłakanych buzi.

Wtedy na czoło tłumowi wyszedł Wylan – również z torbą na ramieniu.

– Zabiłeś Vale’a za to, że zadawał się z Osadnikami. Czymś się od niego różnisz?

Perry pokręcił głową.

– Talona i Clary nie ma z nami przez to, czego dopuścił się Vale. Zdradził nasze plemię. Ja nigdy tego nie zrobię.

– A co niby wydarzyło się wczoraj? Mógłbym przysiąc, że to twoje pięści obity twarz Graya. Jesteś głupcem, Peregrine. A my jeszcze większymi, skoro sądziliśmy, że możesz nam przewodzić.

Splunął w stronę Perry’ego i oddalił się. Chwiejnym, niepewnym krokiem za bramę wioski wyszła jego matka. Perry chciał ją zatrzymać. Ponieważ utykała, nie miała dużych szans na ziemiach niczyich.

Z tłumy wyłonił się kuzyn Wylana. Silny, czternastoletni Aud,

którego Perry darzył sympatią, a za nim jego ojciec i reszta rodziny.

Odchodzili jeden za drugim. Dziesięć, dwadzieścia osób, a potem więcej. Tytu, że Perry zaczął już sobie wyobrażać, że zostanie sam na środku wioski. Ta myśl przyniosła mu chwilową ulgę, która niemal natychmiast zniknęła. Przewodniczyć Falom – to było jego przeznaczenie.

Kiedy w końcu ludzie przestali opuszczać wioskę, Perry rozejrzał się po pozostałych, odczekując chwilę dla pewności, że to, co zobaczył, nie było przywidzeniem. Tłum wydawał się rzadszy, jakby przeczesany.

Przynajmniej jedna czwarta plemienia odeszła.

Perry przyglądał się twarzom tych, którzy zostali. Pośród nich dostrzegł Molly, Beara i Brooke. Rowana i Starego Willa. Szukał odpowiednich słów, żałując, że nie ma oratorskich umiejętności Vale'a, ale bez skutku. Wyszedłby na mięczaka, gdyby teraz podziękował im za ich lojalność, choć rzeczywiście był za nią bardzo wdzięczny. Nie miał też zamiaru przeproszać za to, co zrobił. To była jego ziemia, a on obiecał bronić wszystkich jej mieszkańców: Osadników, Wykluczonych i wszystkich pozostałych.

Kiedy plemię – a właściwie to, co z niego zostało – wróciło do normalnej pracy, Perry udał się z Bearem i Reefem do kantyny. Usiedli przy stole najbliżej drzwi i zrobili listę imion tych, którzy się rozpierzchli, spisując ich obowiązki i zadania wobec plemienia. Bear notował powoli – w jego masywnych dłoniach pióro wyglądało jak wędrująca po kartce papieru słomka. Każde imię wydawało się jak nowa zdrada.

Perry nie wiedział, co zrobił nie tak. Czy chodziło o to, że rzucił się za Starym Willem podczas burzy? O to, że pobił Graya? Czy o jego plan, by wraz z Arią szukać na północy Wielkiego Błękitu? Wszystko wydawało się usprawiedliwione. Słuszne. Nie mógł zrozumieć, w czym ich zawiódł.

Kiedy skończyli podsumowanie, siedzieli przez chwilę w ciszy. Bear spisał imiona sześćdziesięciu dwóch osób, ale ta liczba nie dawała pełnego obrazu sytuacji. Perry podejrzewał, że wielu z nich było Naznaczonych, a nawet ci, którzy nie posiadali żadnego Zmysłu, byli w pełni sprawnymi wojownikami. Młodzi, starzy i słabi rzadko odchodzili z wyboru.

Reef westchnął, krzyżując ramiona na piersi.

– Odstrzeliliśmy dysydydentów. Piekielnie się cieszę, że się ich pozbyliśmy. Na dłuższą metę będziemy dzięki temu silniejsi.

Bear odłożył pióro i przeczesał dłonią brodę.

– A ja się właśnie martwię o tę krótszą.

Perry spojrzał na niego. Co mógł na to powiedzieć? Bear miał rację.

– Będziemy bardziej podatni na ataki, kiedy wieść się rozniesie.

Shade pewnie już rozpuszcza pogłoski po wszystkich, których spotka na swojej drodze.

– Powinniśmy podwoić nocną wartę – powiedział Reef.

Perry pokiwał głową.

– Tak zróbcie. – Spojrzał w drugą stronę kantyny. W ciągu tylko dwóch dni Fale doświadczyły niespodzianej eterowej burzy, zamachu na życie Arii i rebelii. Czy następna będzie grabież? Wiedział, że na pewno nastąpi. Z podwojoną wartą czy bez, byli zbyt bezbronni. Nie zdziwiłoby go, gdyby Wylan powrócił, żeby zawalczyć o wioskę.

Kiedy Perry wracał do domu, centralny plac wydał mu się zbyt cichy i pusty.

Był zaniepokojony stanem Arii i bardzo chciał ją zobaczyć. Czy była na tyle zdrowa, aby ruszyć na północ? Słowa Reefa wypowiedziane poprzedniego wieczoru dudniły mu w uszach. *Fale potrzebują cię tutaj.* Jak mógłby ich zostawić? Jak mógłby z nimi zostać, skoro odpowiedź na ich problemy czekała poza wioską?

Kiedy wszedł do domu, przed drzwiami do sypialni Vale'a zastał Twiga i Grena krzyczących na siebie. Na widok Perry'ego zamilkli.

– Perry... – odezwał się Twig. Na jego twarzy malowało się poczucie winy. – Szukaliśmy wszędzie...

Perry odepchnął ich i wszedł do sypialni. Zobaczył łóżko i zwinięty koc. Spojrzał na szafkę nocną, na której nie było figurki sokoła. Nie dostrzegł też torby Arii. Dziewczyny nie było.

– Roar też zniknął – powiedział Twig. Razem z Grenem przyglądali się Perry'emu z progu.

Między mężczyzn wcisnął się Cinder, a jego czapka upadła na podłogę.

– Widziałem ich, gdy odchodzili. Powiedzieli, że zajmą się Liv i Wielkim Błękitem.

Perry stał jak wryty, próbując pogodzić się z prawdą, w jego uszach szumiała krew.

Aria go opuściła.

Mógł ruszyć ich śladem. Mieli nad nim tylko kilka godzin przewagi. Gdyby zaczął biec, mógłby ich dogonić. Nie potrafił jednak zmusić się do choćby jednego kroku.

Reef przepchnął się do środka. Rozejrzał się po pokoju i siarczyście zaklął.

– Przepraszam, Perry.

Niespodziewane i szczere słowa wyrwały Perry'ego z transu. Do

głosu doszedł ból, który przegonił odrętwienie. Perry odepchnął Reefa. Odepchnął go wraz z wszystkimi innymi uczuciami, które zakopał głęboko w sobie. Aż znów nic nie czuł.

– Upuściłeś to – powiedział do Cindera, podnosząc czapkę, po czym przeszedł przez środek wioski, zmierzając w nieznanym kierunku.

16 ARIA

– Masz, napij się trochę.

Aria pokręciła głową, odsuwając dłonią bukłak z wodą. Wzięła głęboki wdech, zaciskając wargi i czekając, by wrażenie, że zaraz zwymiotuje, minęło. Ziemia przed jej oczami poruszała się jak fale i Aria nie przestała mrugać, dopóki się nie zatrzymała. Nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że czuje się jeszcze gorzej niż parę godzin temu. Kiedy w jej żyłach nadal płynęła trucizna, ciało buntowało się przed każdym kolejnym krokiem.

– Wkrótce ci przejdzie – powiedział Roar. – Trucizna się ulotni.

– On mnie znienawidzi.

– Nieprawda.

Aria wyprostowała się, trzymając ręce blisko przy ciele. Stali na wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na całą Dolinę Fal. Aria marzyła, by zobaczyć Perry'ego, który zmierza w jej stronę.

Tego poranka obudziły ją krzyki dobiegające z centrum wioski. Fale dzieliły się na grupy. Ludzie opuszczali plemię i krzyczeli na Perry'ego. Wykrzykiwali obelgi pod jej adresem. Wymknęła się z sypialni Vale'a, przerażona, że Perry straci wszystko, jeśli ona natychmiast nie zniknie. Roar był już spakowany i gotowy do drogi. Liv przebywała u Rogów, więc i on opuszczał wioskę. Wyjść, nie zwracając na siebie uwagi, nie było trudno. Kiedy dziesiątki ludzi opuszczały wioskę, ona i Roar po prostu poszli w przeciwną stronę.

Żałowała, że nie pożegnała się z Perrym, ale знаła go. Nie pozwoliliby jej odejść samej, a zapłaciłby za tę decyzję utratą plemienia. Nie mogła na to pozwolić.

– Musimy iść dalej, Roar. – Jeśli nie będą posuwać się naprzód, może zmienić zdanie.

Całe popołudnie szła w otępieniu, trzęsły się jej nogi, a skóra pod bandażem piekła. Tak będzie najlepiej, powtarzała sobie w kółko. Perry to zrozumie.

Wieczorem znaleźli schronienie pod dębem. Padający deszcz otoczył ich szemrzącym kocem. Roar podał jej coś do zjedzenia, ale Aria nie mogła niczego przełknąć. Jak zauważyła, on też nie.

Przysunął się bliżej.

– Pozwól, że spojrzę.

Aria zagryzła wargi, kiedy Roar ściągał jej opatrunek. Skóra na ramieniu była opuchnięta i czerwona, oblepiona zakrzepłą krwią i brudna od rozmazanego tuszu. Znajdowało się na niej najbrzydsze Znaczenie, jakie w życiu widziała.

– Kto to zrobił? – zapytała. Jej głos trząsał się od gniewu.

– Mężczyzna imieniem Gray. Nie należy do Naznaczonych. Zawsze nam zazdrościł.

W głowie Arii pojawiła się twarz. Gray to krępy rolnik, którego widziała w lesie podczas burzy, kiedy znalazła Rivera.

– Kret dostawał Znaczenia, a on nie mógł tego znieść – powiedziała Aria. – Nie mógł na to pozwolić.

Roar pokiwał głową, pocierając ręką kark.

– Chyba o to właśnie chodziło.

Aria dotknęła pokrytej strupami skóry ramienia.

– Pół Znaczenia dla dziewczyny, która tylko w połowie jest Wykluczona. – Miała zamiar powiedzieć to lekko, ale głos jej zadrżał.

Przez chwilę Roar przyglądał się jej w ciemności.

– Zagoi się. Wtedy dokończymy.

– Nie – odpowiedziała, spuszcżając rękaw. – Nie byłam nawet pewna, czy w ogóle tego chcę. – Nie miała pojęcia, gdzie jest jej miejsce. Tutaj czy w Reverie? Jesienią Hess wygnał ją stamtąd, a teraz wykorzystywał. Wczoraj plemię próbowało ją zabić. Nigdzie nie pasowała.

Przysunęła się bliżej ognia i owinęła kocem ramiona. Przez cały dzień było jej zimno i miała dreszcze. Czas leczy rany, powtarzała w myślach. Trucizna ulotni się z jej ciała, a skóra zagoi. Teraz musiała się skupić na swoim celu. Udać się na północ i odnaleźć Wielki Błękit. Dla Perry'ego. Dla Talona. Dla siebie.

Choć była bardzo zmęczona, nie potrafiła przestać myśleć o tym, jak bezpiecznie czuła się jeszcze tego ranka w ramionach Perry'ego. Czy spał dziś na dachu? Czy myślał o niej? Po godzinie Aria usiadła, odpuszczając sobie próby zaśnięcia. Choć Roar miał zamknięte oczy, Aria wiedziała, że także nie śpi. Miał zbyt napiętą twarz.

– O co chodzi, Roar?

Przyjaciel spojrział na nią, parę razy mrugając zmęczonymi oczami.

– Jest dla mnie jak brat... Wiem, jak się teraz czuje.

Aria westchnęła, kiedy nagle dotarło do niej, że uciekając, zrobiła Perry'emu to samo co Liv Roarowi.

– To zupełnie co innego, prawda? Perry będzie wiedział, że odeszłam, żeby go chronić. Widziałeś, ilu ludzi opuściło plemię z mojego powodu. Nic takiego nie miałyby miejsca, gdybym nie pojawiła się w wiosce. Musiałam odejść.

Roar pokiwał głową.

– Mimo to i tak go to zaboli.

Aria ucisnęła oczy wnętrzami dłoni, próbując powstrzymać łzy. Roar mówił prawdę. W kwestii cierpienia racja nie ma znaczenia. Opuściła dłonie.

– Postąpiłam słusznie – powiedziała, żałując, że nie potrafi tego wmówić samej sobie.

– To prawda – zgodził się Roar. – Perry jest tam potrzebny. Nie może teraz zostawić Fal. I plemię też nie może sobie na to pozwolić. – Westchnął, podpierając ręką głowę. – A ty jesteś tu ze mną bezpieczniejsza. Nie mógłbym znów patrzeć, jak ocierasz się o śmierć.

Kiedy Roar obudził ją rano na kolejny dzień marszu, deszcz akurat przestał padać. Choć burze eterowe na pewien czas ich ulaskawiły, Aria znów zauważyła grube pasma eteru biegnące za kotarą szarych chmur. Niebieskie światło, które się przez nie przebijało, robiło wrażenie, jakby wszystko znajdowało się pod wodą.

– Będziemy mieć to na oku – powiedział Roar, spoglądając w górę. Szli przez otwartą przestrzeń. Gdyby rozpętała się burza, będą musieli szybko znaleźć schronienie.

Poza obolałym ramieniem Aria nie miała już innych dolegliwości. Niedługo mieli opuścić terytorium Perry'ego i Aria musiała wzmoczyć czujność. Każdy krok przybliżał ją do Rimu i do osiągnięcia celu.

Późnym popołudniem stała na zboczu, pod którym rozciągała się dolina, i patrzyła na wzgórza na horyzoncie. Minionej jesieni gdzieś pośród nich rozbili z Perrym obóz. Miała na stopach buty z okładek. Straciła najlepszą przyjaciółkę. I choć wtedy jeszcze o tym nie wiedziała, straciła też matkę.

Aria sięgnęła do torby i wyciągnęła z niej figurkę sokoła. Wzięła ją w pośpiechu, kiedy wymykała się z domu Perry'ego, potrzebując czegoś namacalnego, co będzie jej o nim przypominać.

– Byłem przy tym, kiedy ją zrobił – powiedział Roar. Oparł się o drzewo i spojrzął w przekrwione oczy dziewczyny.

– Naprawdę?

Roar pokiwał głową.

– Talon i Liv też. Postanowiliśmy zrobić kolekcję dla Talona i każdy

z nas strugał mu coś innego. Liv skaleczyła się w palce ledwie pięć minut po tym, jak dostała do ręki kozik. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – Jest bardzo porywcza. Zero gracji i finezji w posługiwaniu się ostrzem. Ja i ona poddaliśmy się po kilku minutach, ale Perry nie rezygnował ze względu na Talona.

Aria pogładziła palcem gładką powierzchnię rzeźby. Każde z nich w którymś momencie trzymało figurkę, która teraz znajdowała się w jej dłoni. Ale czy kiedyś wszyscy będą jeszcze razem?

Kolejną godzinę spędziła na przysłuchiwaniu się dźwiękom lasu i przyglądaniu figurce w swojej dłoni, biorąc pierwszą wartę, gdy Roar poszedł spać. Gdzieś w oddali krążyły wilki, hordy włóczęgów i kanibali. Wyłapywała rytm i szelest zwierzęcych kroków, wsłuchując się aż do chwili, gdy nabrała pewności, że są bezpieczni. Później odłożyła sokoła i wyciągnęła Wizjer.

Nie kontaktowała się z Hessem od trzech dni. Spojrzała na śpiącego Roara, po czym nałożyła urządzenie. Wizjer przylgnął do jej skóry, gdy biotechniczne tworzywo zostało aktywowane, a przed jej oczami ukazał się ekran startowy.

Wybrała ikonę Hessa i poczuła znajome szarpnięcie, gdy zaczęła frakcjonować, przyzwyczajając się do jednoczesnego przebywania i tu, i tam. Znalazła się w kawiarni w Sferze Weneckiej. Po Canal Grande płynęły gondole, a na czystej srebrzystej wodzie unosiły się płatki róż. Był piękny, słoneczny dzień, złocisty i ciepły. Z oddali dobiegały delikatne dźwięki kwartetu smyczkowego.

Hess pojawił się po drugiej stronie stolika. Tym razem zmienił strój i pokazał się w kremowym garniturze w drobne paski oraz w czerwonym krawacie. Opalił się też, ale efekt wywarł na niej dziwne wrażenie. O dziwo, wydawało jej się, że Hess jakby się postarzał, a przynajmniej bliższy był wyglądu kogoś, kto w rzeczywistości ma sporo ponad sto lat. Na dodatek jego skóra była pomarańczowa, tak niepodobna do brązowej opalenizny Perry'ego.

Hess skrzywił się na widok jej ubrania. Zanim zdążyła wydusić z siebie słowo, poczuła szarpnięcie, jakby jej całe ciało mrugnęło. Spojrzała na siebie. Jedwabna suknia w kobaltowym kolorze oplatała jej ciało niczym druga skóra.

– Teraz lepiej – powiedział Hess z uśmiechem.

Tak się zezłościła, że serce zaczęło jej dudnić w piersi. Po chwili pojawił się przy nich kelner z tacą, na której znajdowały się dwie kawy. Ciemnooki, przystojny chłopak mógłby być bratem Roara. Uśmiechnął się

i postawił filiżanki na stoliku. Aria poczuła ciepłą bryzę, niosącą zapach orientalnej wody kolońskiej. Wszystko wydawało się tak zwyczajne i urokliwe. Jeszcze rok temu Paisley kopałaby ją pod stołem na widok uśmiechu kelnera. Caleb spojrzalby na nie znad swojego szkicownika i przewrócił oczami. Nagle poczuła złość na to, jak trudne stało się jej życie.

– Dobrze się miewasz, Ario? – zapytał Hess, sącząc kawę.

Czy wiedział, że próbowano ją otruć? Czy mógł się tego dowiedzieć z jej Wizjera? Z chemii jej ciała?

– Mam się doskonale – odpowiedziała. – A pan?

– Świetnie – odparł, odpowiadając sarkazmem na sarkazm. – Jesteś już w drodze. Podróżujesz sama?

– A co to pana obchodzi?

Hess przymrużył oczy.

– Wykryliśmy burzę niedaleko ciebie.

– Ja też ją wykryłam – powiedziała Aria, uśmiechając się znacząco.

– Wyobrażam sobie.

– Nie, nie wyobraża pan sobie. Muszę wiedzieć, czy coś się dzieje z Reverie. Uderzyła w was burza? Czy są jakieś zniszczenia?

Hess mrugnął do niej.

– Mądra z ciebie dziewczyna. Jak myślisz?

– To, co myślę, nie ma znaczenia. Muszę wiedzieć, nie myśleć.

Potrzebuję dowodów, że Talonowi nic się nie stało. Chcę zobaczyć moich przyjaciół. I chcę wiedzieć, co się stanie, kiedy podam panu lokalizację Wielkiego Błękitu. Przeniesie pan cały Pod? Jak ma pan zamiar to zrobić?

– Aria nachyliła się nad stołem. – Wiem, co robię, a pan?

Hess bębnił palcami o marmurowy blat stołu.

– Jesteś fascynująca. Pasujesz do życia między Dzikusami.

Nagle Sfera całkowicie zamilkła. Aria spojrzała na kanał. Gondola zatrzymała się na wodzie nieruchomej jak szkło. Stado gołębi wisiało nad nimi, zastygłe w locie. Ludzie wokół nich zaczęli się rozglądać, spanikowani. Po chwili Sfera wyrwała się ze statyczności i dźwięk oraz ruch powróciły.

– Co to było? – zapytała Aria władcym tonem. – Odpowiadaj, Hess, albo nie będziemy dalej rozmawiać.

Hess upił kolejny łyk kawy i nadal wpatrywał się w ruch na Canal Grande, jakby nic się nie wydarzyło.

– Wydaje ci się, że możesz frakcjonować bez mojego pozwolenia? – Znów spojrział na nią. – Skończymy, kiedy ja tak powiem.

Aria chwyciła swoją kawę i rzuciła w niego. Ciemny płyn oblał mu twarz i jasny garnitur. Hess gwałtownie odchylił się w tył, dysząc z zaskoczenia i złości, mimo że nie stała mu się krzywda. Nic w Sferach nie mogło spowodować prawdziwego bólu, Hess poczuł najwyżej ciepło. Ale Aria go zaskoczyła i wreszcie skupiła na sobie jego uwagę.

– Nadal mam zostać? – zapytała.

Zniknął, zanim skończyła mówić. Choć wiedziała, że nie ma to sensu, próbowała wyłączyć Wizjer. Była gotowa całkowicie wrócić do rzeczywistości.

BRAK AUTORYZACJI – głosił napis, który wyświetlił się na jej monitorze.

I co teraz? Kelner zerkał na nią przez okienko kawiarenki, z błyskiem zainteresowania w oczach. Aria odwróciła się w stronę kanału. Na bogato zdobionym cementowym moście całowała się jakaś para. Aria próbowała sobie wyobrazić, że to ona stoi przyciśnięta do balustrady i że to Perry odgarnia jej włosy i szepce do ucha. Perry nie znosił Sfer. Nie mogła wytworzyć sobie w głowie takiego obrazka.

W górnym rogu ekranu pojawił się licznik czasu. Trzydzieści minut. Aria wiedziała, że musi być gotowa. Hess coś szykował.

Chwilę później przeniosła się do innej Sfery. Znalazła się na drewnianym pomoście. Pod nią delikatnie szumiało morze, a mewy krzyczały nad głową, marnie parodiując prawdziwe odgłosy. Na końcu pomostu siedział chłopiec. Choć był twarzą zwrócony do morza, Aria doskonale wiedziała, kim jest.

Talon.

Poczuła ucisk w żołądku. Chciała mieć pewność, że bratanek Perry'ego ma się dobrze, nie była jednak pewna, czy chce go poznać. Nie chciała się troszczyć o kolejną osobę i przejmować nią. I co niby miała mu powiedzieć? Talon nigdy nawet o niej nie słyszał. Aria znów spojrzała na siebie. Przynajmniej była teraz ubrana w swój zwykły czarny strój.

Licznik pokazywał dwadzieścia osiem minut. Od dwóch minut stała w miejscu. Aria pokręciła głową, niezadowolona z siebie, i podeszła do chłopca.

– Talon?

Chłopiec zerwał się na równe nogi i odwrócił do niej. Oczy miał wielkie z przerażenia. Choć nigdy go nie spotkała, wiedziała, jak wygląda. Wiele miesięcy temu, kiedy Perry spotkał się z chłopcem w Sferach, widziała wszystko na wielkim monitorze. Jego uroda była uderzająca. Miał kręcone brązowe włosy i poważne zielone oczy. Ich kolor był

ciemniejszy i bardziej nasycony niż kolor oczu Perry'ego.

– Kim jesteś? – zapytał.

– Przyjaciółką twojego wujka.

Wpatrywał się w nią podejrzliwie.

– Dlaczego cię nie znam?

– Poznaliśmy się już po tym, jak sprowadzono cię do Reverie. Jestem Aria. Byłam z Perrym, kiedy minionej jesieni spotkał się z tobą w Sferach... pomagałam mu z zewnątrz.

Talon zatknął swoją wędkę w szczelinę pomiędzy deskami pomostu.

– Jesteś Osadniczką?

– Tak... ale jestem też Wykluczona. Pół na pół.

– Aha. A gdzie teraz jesteś? Na zewnątrz czy w Reverie?

– Na zewnątrz. Właściwie to... siedzę teraz koło Roara.

Oczy Talona rozbłyły.

– Roar jest z tobą?

– Teraz śpi, ale kiedy się obudzi, powiem mu, że go pozdrawiasz. –

Na pomoście znajdowała się jeszcze jedna wędka. Talon korzystał z obu. Należy przecież do Fal, pomyślała.

– Mogę się do ciebie przyłączyć?

Nie miał zadowolonej miny, ale mimo to zgodził się.

Aria wzięła drugą wędkę i usiadła koło Talona. Nie mogła uwierzyć, że po kilku dniach spędzonych w rybackiej wiosce teraz łowiła w Sferach. Przyglądała się kijowi w swoich dłoniach, zdając sobie sprawę, że nie wie, jak go zarzucić. Chodziła kiedyś na ryby w innych Sferach. W Sferze Kosmicznych Połowów strzelało się haczykami do ryb, które dryfowały w kosmosie. Teraz łowiła w starym stylu.

– O tak – powiedział Talon, na chwilę biorąc wędkę z jej dłoni.

Zarzucił ją powoli, żeby dokładnie widziała, co robi.

– Dzięki – odparła. Talon wzruszył ramionami, nawet na nią nie spoglądając, i zaczął machać nogami luźno spuszczone z pomostu. W lewo i w prawo, lewo – prawo, lewo – prawo. „Bezruch mnie męczy”, powiedział kiedyś Perry. Najwyraźniej było to u nich rodzinne.

– W domu częściej stosujemy sieci – powiedział Talon po pewnym czasie.

– Naprawdę? – rzuciła, by pociągnąć rozmowę. Zostały jej dwadzieścia trzy minuty. – Wolisz łowić ryby czy polować?

Spojrzał na nią, jakby miała nierówno pod sufitem.

– Uwielbiam i jedno, i drugie.

– Mogłam się domyślić. Na moje oko jesteś dobry w obu tych

dziedzinach. – Wyglądał na postawniejszego i zdrowszego, niż kiedy widziała go jesienią.

Talon podrapał się w nos.

– Łapię te ryby i łapię, ale w Sferach nie można ich przyrządzić. Próbowałem parę razy. Nazbierałem drewna, ale nic z tego. W Sferach ogień nie istnieje. To znaczy istnieje, ale to taki udawany ogień.

Aria przygryzła wargę, potakując. Wiedziała o tym aż nazbyt dobrze.

– Trzeba się udać do Sfery Kuchennej, ale one są szalone. A nawet gdybym ugotował coś i zjadł, po wyjściu ze Sfer i tak nie będę syty. Kiedy nie ma po co ich łowić, nie ma już takiej zabawy.

Aria uśmiechnęła się. Kiedy mówił, jego nogi przestawały się bujać, a między brwiami pojawiała się zmarszczka.

– Na pewno są jednak miejsca, gdzie możesz współzawodniczyć – zasugerowała.

– O co?

– O miejsce na podium. Mógłbyś zostać zwycięzcą.

– Czy pierwsze miejsce oznacza, że będę mógł ugotować to, co złapię?

– Raczej nie – roześmiała się Aria.

– I tak spróbuję. – Spoglądał na morze, znów bujając nogami, aż w końcu oznajmił:

– Chcę wrócić do domu. Chcę zobaczyć wujka.

Aria poczuła, jak ściska ją w gardle. Nie zapytał o ojca. Ciekawe, czy Talon domyślił się, co zaszło między Vale'em i Perrym, pomyślała. Nie był to dobry moment, by o to pytać. Nagle dotarło do niej, że Talon nie miał już obojga rodziców. Był sierotą tak jak ona.

– Jesteś nieszczęśliwy w Reverie? – zapytała.

– Nie – odpowiedział. – Chcę po prostu wrócić do domu. Teraz czuję się lepiej. Lekarze mnie wyleczyli.

– To dobrze. – Przypomniała sobie, jak Perry opowiadał, że Talon był bardzo chory, kiedy przebywał na zewnątrz. – Wydostanę cię stąd i zaprowadzę do Fal. Obiecuję.

Talon podrapał się po kolanie, nie odpowiadając.

– Łowisz z przyjaciółmi?

– Clara czasem ze mną przychodziła. To siostra Brooke. Znasz Brooke?

Aria stłumiła śmiech.

– Tak, znam ją. Dlaczego Clara przestała z tobą łowić?

– Znudziła się. Uważa, że Sfery są teraz zbyt powolne. Nikt nie lubi

łowić w taki sposób.

– Mnie się podoba. Może kiedyś to powtórzymy?

– Dobrze – odparł, spoglądając na nią spod powiek i uśmiechając się nieśmiało.

Przez resztę wspólnie spędzonego czasu Talon opowiadał jej o rybach, które tu schwytał. Jakiej przynęty używał. O jakiej porze dnia i przy jakiej pogodzie brały najlepiej.

Przechylał głowę w bok, kiedy mówił ciszej. Jego nogi nie przestawały się bujać. Kilka razy kiedy się do niej uśmiechał, musiała popatrzeć na morze i odetchnąć. Tak bardzo przypominał swojego wujka. Przytuliła go, kiedy licznik zbliżył się do zera, obiecując, że niedługo znów go odwiedzi.

Aria przeniosła się do kolejnej Sfery – tym razem do biura. Hess siedział za eleganckim szarym biurkiem. Za nim znajdowała się ściana ze szkła. Widziała za nią Panop Reverie – miejsce, które jak dotąd było jej domem – i jego pnące się w górę poziomy. Czowała, że musi się zbliżyć do przywołującej ją scenerii. Wiele razy odkąd została stąd wyrzucona, spotykała się z Hessem w Sferach, ale nie widziała Kapsuły Podu aż do teraz.

Hess odezwał się, zanim zdążyła zrobić choćby krok.

– Miła wizyta – powiedział. – Jak sama widziałaś, chłopak nie cierpi. I miejmy nadzieję, że tak pozostanie.

17
PEREGRINE

– Przysięgnij, Vale – powiedział Perry, trzymając nóż przy gardle brata. Jego głos brzmiał szorstko jak głos ojca, a ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie mógł utrzymać ostrza w jednym miejscu. Vale leżał przyparty do ziemi na pustym polu.

– Tobie? Chyba sobie kpisz. Nie masz pojęcia, co robisz, Perry. Przyznaj to.

– Wiem, co robię!

Vale zaczął się śmiać.

– To dlaczego cię zostawili? Dlaczego ona cię zostawiła?

– Zamknij się! – Perry docisnął ostrze do gardła brata, ale Vale tylko głośniej się roześmiał.

Nagle Vale zniknął i pojawiła się Aria. Piękna. Tak piękna, gdy leżała pod nim na łóżku. Śmiała się, czując na gardle jego nóż. Perry nie mógł odsunąć ostrza. Trzęsło się w jego dłoniach, kiedy dociskał je do jej gładkiej skóry. Dla niej nie miało to znaczenia. Dalej się śmiała.

Perry wyrwał się z koszmaru i gwałtownie usiadł na posłaniu na swojej antresoli. Zaklął głośno, nie potrafiąc się powstrzymać. Po plecach spływały mu krople potu i brakowało mu tchu.

– Spokojnie. Spokojnie, Perry – odezwał się Reef. Przycupnął na drabinie, marszcząc brwi ze zmartwienia.

Dom był ciemny i nieznośnie cichy. Perry nie słyszał zwyczajowego chrapania Szóstki. Wszystkich obudził.

– W porządku, Perry? – zapytał Reef.

Perry odwrócił się, chowając twarz. Dwa dni. Nie było jej od dwóch dni. Sięgnął po koszulę i naciągnął ją na plecy.

– Tak – odpowiedział.

Przed domem na Perry’ego czekał Bear.

– Jest gorzej niż zwykle, Perry. Bez wątplenia. Moi ludzie muszą jednak wypocząć. Wymagać, by cały dzień pracowali na polach, a potem pełnili nocną wartę, to zbyt wiele. Niektórzy z nas potrzebują snu.

Perry napiął mięśnie. Ostatnio spał jeszcze mniej i wszyscy o tym wiedzieli.

– Nie możemy dopuścić do tego, by ktoś na nas napadł. Potrzebujemy ludzi na warcie.

– A ja potrzebuję, by czyścili rowy melioracyjne. Potrzebuję, by kładli dachówki i siali na polach. Nie potrzebuję natomiast, by chrapali, kiedy powinni pracować.

– Musisz sobie radzić z tym, co mamy. Tak jak wszyscy.

– Poradzę sobie, ale nie uda nam się zrobić więcej niż połowę tego co zwykle.

– Więc rób połowę! Nie odpuszczę żadnej warty.

Bear znieruchomiał, tak jak kilka innych osób na placu. Perry nie potrafił zrozumieć, jak to możliwe, że tego nie pojmują. Rozpierzchła się niemal jedna czwarta plemienia. Oczywiście, że nie byli w stanie zrobić wszystkiego. Perry miał nadzieję, że zgromadzą racje żywieniowe wystarczające na podróż Fal do Wielkiego Błękitu, ale po zniszczeniach wywołanych niespodziewaną burzą i stracie ludzi mógł liczyć tylko na to, że uda mu się ich wykarmić. Byli przepracowani, niedożywieni i potrzebowali planu.

Perry myślał o tym przez cały dzień, kiedy oczyszczał rowy dla Beara i sprawdzał obwarowania. Reef pracował z nim ramię w ramię. Kiedy nie było go przy nim, któryś z członków Szóstki zajmował jego miejsce. Nie chcieli zostawić go samego. Nawet Cinder zdawał się przyjmować tę taktykę, dołączając do Perry'ego, gdy tylko wódz oddalił się na choćby pięć minut samotności.

Nie wiedział, czego się spodziewać. Początkowy szok minął i teraz widział sytuację jasno i wyraźnie. Roar i Aria odeszli. Ruszyli do Rogów, by odnaleźć Liv i Wielki Błękit. Niedługo wrócą. To wszystko. Tak musiało się stać. Perry nie mógł sobie pozwolić na inne myśli.

Tego wieczoru kolację podano później – grupa Wylana zabrała trzy koguty – a kantyna była dziwnie pusta i cicha. Perry nie miał ochoty na posiłek, ale jadł, wiedząc, że plemię go obserwuje. Musiał im pokazać, że choć wszystko się zmieniło, życie trwa dalej.

Reef szedł za Perrym krok w krok, gdy ten opuścił kantynę i skierował się do zachodniego punktu obserwacyjnego. Perry wyczuł, że Reef zbiera się w sobie, żeby mu coś powiedzieć. Zaciskając dłonie w pięści, czekał, aż usłyszy, że potrzebuje snu, cierpliwości albo jednego i drugiego.

– Okropna kolacja – odezwał się w końcu Reef.

Perry wypuścił powietrze z płuc i rozluźnił dłonie.

– Też jadłem lepsze.

– Czujesz to? – odezwał się Reef, spoglądając na niebo.

Perry pokiwał głową. Szczypanie w głębi nosa ostrzegało go, że

kolejna burza jest bliżej, niż myśli.

– Ostatnio niemal bez przerwy – odparł Perry.

Eter płynął wściekle pozwijany, nadając niebu błękitną, chłodną poświatę. Teraz istniała niewielka różnica pomiędzy porami dnia. Dni były zasnuwane chmurami i niebieskimi smugami eteru. Noce stawały się przez nie jaśniejsze. Ich granice zacierały się, tworząc jeden niekończący się dzień. Nieskończoną noc.

Perry spojrzał na Reefa.

– Muszę nadać pewną wiadomość.

– Do kogo? – zapytał Reef, unosząc brew.

– Do Marrona. – Perry nie chciał po raz kolejny prosić go o pomoc, bo dopiero co zrobił to kilka miesięcy temu, kiedy wraz z Arią i Roarem szukali schronienia, niemniej położenie Fal było zbyt trudne. Potrzebował jedzenia i ludzi. Musiał poprosić o przysługę, zanim jego plemię zacznie umierać z głodu albo przegra walkę o własną wioskę.

– To dobry pomysł – zgodził się Reef. – Poślę Grena z samego rana.

Nawet kiedy Reef pojawił się, by im pomóc, Twig i Gren pozostali na stanowiskach, wciśnięci pomiędzy skały na skarpie. Ich czwórka siedziała razem w nieskrępowanym milczeniu, otoczona delikatną mgłą.

Niedługo potem pojawili się Hyde i Hayden, a za nimi Maruder. Wszyscy trzej mieli tego wieczoru wolne. Perry dostrzegł, że Hyde ziewnął przy kolacji przynajmniej pięć razy. Zajęli pozycję na skarpie, podczas gdy mgła przeradzała się w deszcz. Nadal nikt się nie odezwał ani nie odszedł.

– Cicha noc – w końcu powiedział Twig. – To znaczy, my jesteśmy cisi, nie deszcz. – Jego głos był szorstki i zachrypnięty po tak długim milczeniu.

– Zjadłeś żabę, Twig? – zapytał Hayden.

– Może razem z dzisiejszą zupą – dorzucił Gren.

– Żaby smakują lepiej niż te flaki – mruknął Hyde.

Twig odchrząknął, oczyszczając gardło.

– Kiedyś nawet prawie zjadłem żabę – powiedział.

– Sam wyglądasz jak żaba, Twig. Masz żabie oczy.

– Pokaż nam, jak daleko skaczesz.

– Zamknijcie się i pozwólcie mu wykumkać tę opowieść.

Sama historia nie była niczym wyjątkowym. Jako dziecko Twig prawie pocałował żabę, bo założył się o to ze swoim bratem, ale żaba wyslizgnęła mu się z rąk i wpadła do ust. To nie była dla Twiga korzystna historia. Miał dwadzieścia trzy lata, a jeszcze nie całował się

z dziewczyną, i Szóstka dobrze o tym wiedziała, tak jak niemal o wszystkich innych rzeczach, które ich dotyczyły. Potem nastąpiła masakra – wszyscy dogryzali Twigowi, mówiąc, że może boi się, że po żabie całowanie dziewczyn sprawi mu zawód i że w pełni wspierają jego poszukiwania księcia z bajki.

Perry słuchał, uśmiechając się na co lepsze żarty. Czuł się teraz bardziej sobą niż przez ostatnie dwa dni. W końcu znów zrobiło się cicho, z wyjątkiem kilku rytmicznych pochrapywań. Perry rozejrzał się wokół. Deszcz przestał padać. Ktoś spał. Pozostali oddychali swobodnie, skupiając się na mroku. Nikt nie odezwał się słowem, ale Perry słyszał wszystkich wyraźnie. Rozumiał, dlaczego nie odstępowali go na krok i siedzieli z nim nawet dzisiaj, kiedy nie musieli.

Nie odeszliby, nawet gdyby mieli wybór. Zostaliby przy nim.

18 ARIA

– Mieliśmy dziś lepsze tempo. – Aria wykręciła włosy i przysunęła się do ognia. Wiosna nadeszła szybko, oznajmiając swoją obecność kilkoma dniami deszczu. Aria i Roar opuścili plemię trzy dni temu i dziewczyna nareszcie czuła się w pełni sił.

– Myślisz, że pokonaliśmy duży odcinek?

Roar spojrzał na nią przez ramię, unosząc brew. Aria zdała sobie sprawę, że nie patrzyła na niego, ale przez niego.

– Wiesz, co jest gorsze od milczącej Aarii? Gadka szmatka Aarii.

Aria wzięła do ręki patyk i rzuciła go w ogień.

– Próbuję oszczędzić ci żalów.

Przez ostatnie dni podróżowali w całkowitej ciszy, mimo że Roar kilka razy starał się wciągnąć ją do rozmowy. Chciał ustalić, co robią, kiedy dotrą do plemienia Rogów. Jak odkryją informacje o Wielkim Błękanie? Jak wynegocjują powrót Liv? Aria nie chciała jednak o niczym rozmawiać. Koncentrowała się na tym, by iść do przodu. Na tym, żeby nie przestawać, kiedy czuła chęć, by zawrócić. Gdyby zaczęła mówić, mogłaby nie przestać.

Martwiła się o Talona. Tęskniła za Perrym. Nie mogła nic na to poradzić, tylko iść w stronę Rogów ile sił w nogach. Teraz, w poczuciu winy za swoje przeciągające się milczenie, próbowała – to prawda, dość nieudolnie – wynagrodzić to Roarowi.

– Mnie oszczędzasz? – Roar zmarszczył brew.

– Tak, tobie. Mam teraz do powiedzenia same głupoty. Jestem wyczerpana, ale ledwie potrafię wysiedzieć spokojnie. I czuję, że powinniśmy iść dalej.

– Możemy iść nocą – powiedział.

– Nie. Musimy odpocząć. Widzisz? Mówię bez sensu.

Roar przyglądał się jej przez chwilę, po czym z zamyśloną miną spojrzał na gałęzie drzew.

– Opowiadałem ci kiedyś o tym, jak Perry po raz pierwszy spróbował błyskacza?

– Nie – odpowiedziała. Zimą poznała wiele historii o Perrym, Liv i Roarze, tej jednak nie słyszała.

– Byliśmy we trójkę na plaży. A wiesz przecież, jak działa błyskacz.

Jak potrafi tobą zakreć. W każdym razie Perry'ego nieco poniosło. Postanowił rozebrać się do naga i pójść popływać. A tak na marginesie, był środek dnia.

– Nie wierzę – powiedziała Aria z uśmiechem.

– A jednak. Podczas gdy radośnie pluskał się w wodzie, Liv zabrała mu ubrania, postanawiając, że najwyższa pora, by wszystkie dziewczyny z plemienia przeszły się na plażę.

– Ona jest gorsza od ciebie – roześmiała się Aria.

– Masz na myśli „lepsza”.

– Aż się boję zobaczyć was razem. I co zrobił Perry?

– Popłynął wzdłuż wybrzeża i zobaczyliśmy go dopiero następnego ranka. – Roar podrapał się po brodzie. – Powiedział, że niepostrzeżenie wrócił do wioski nocą, ubrany w wodorosty.

– To znaczy, że zrobił sobie spódnickę? – Aria nie mogła przestać chichotać. – Ile bym dała, żeby to zobaczyć.

– A ja się cieszę, że tego nie widziałem.

– Jak to możliwe, że nigdy wcześniej o tym nie słyszałam.

– Trzymałem tę opowieść na specjalną okazję.

Aria uśmiechnęła się.

– Dzięki, Roar. – Na kilka chwil zapomniała o swoich zmartwieniach, ale wróciły one nazbyt szybko.

Aria ostrożnie podwinęła rękaw. Skóra wokół Znaczenia nadal była czerwona i podrapana, ale opuchlizna zelzała. W niektórych miejscach atrament sprawiał wrażenie, jakby rozlał się pod skórą. Wyglądało to fatalnie.

Aria wyciągnęła dłoń i oparła ją na przedramieniu Roara. Z jakiegoś powodu tak było jej łatwiej. Może wymagało to mniej odwagi, żeby po prostu myśleć o swoich problemach, zamiast mówić o nich głośno.

– *A co, jeśli to był znak? Jeśli nie powinnam być Wykluczoną?*

Zaskoczył ją, biorąc ją za rękę i splatając swoje palce z jej palcami.

– Za późno. Już nią jesteś. Pasujesz wszędzie, tylko jeszcze tego nie widzisz.

Aria wpatrywała się w ich dłonie. Nigdy wcześniej tego nie robili.

Roar rzucił jej rozbawione spojrzenie.

– To po prostu dziwne, że cały czas trzymasz rękę na moim przedramieniu – oznajmił w odpowiedzi na jej myśli.

– *Zgoda, ale tak jesteśmy sobie bliżsi. Nie sądzisz? Nie mam na myśli, że zbliżamy się do siebie. A może tak myślę. Czasem trudno się do tego przyzwyczaić.*

Roar uśmiechnął się rozbrajająco.

– Aria, to nie to, co myślisz. Gdybym chciał się do ciebie zbliżyć, to możesz mi wierzyć, dobrze byś o tym wiedziała.

Aria przewróciła oczami.

Następnym razem, kiedy powiesz coś takiego, powinieneś rzucić mi czerwoną różę, a potem zniknąć za jednym machnięciem peleryną.

Roar spojrzał w dal, jakby próbował to sobie wyobrazić.

– Zastanowię się.

Znów popadli w milczenie i Aria pomyślała, że taka łączność z nim daje jej wiele pocieszenia.

– To niezły pomysł – dorzucił Roar.

Jego uśmiech dodawał jej otuchy.

– *Dzień, w którym po raz ostatni widziałam się z mamą, był okropny* – przyznała po chwili. – *Pokłóciliśmy się. Powiedziałam coś, czego nie powinnam była mówić, i żałuję tego każdego dnia. To się chyba nie zmieni. W każdym razie nie chciałam, żeby z Perrym było podobnie. Wydawało mi się, że prościej będzie po prostu odejść.*

– I zgaduję, że się myliłaś?

Pokiwała głową.

– *Nigdy nie jest łatwo odejść.*

Roar przez chwilę przyglądał się jej wnikliwie. W jego oczach pojawił się przeblysk uśmiechu.

– To nie żadne bzdury. To nasze życie. To czysta prawda. – Roar na chwilę uścisnął jej dłoń. – Proszę cię, nigdy mi tego nie oszczędzaj.

Kiedy Roar zasnął, Aria znów wygrzebała Wizjer z torby. Nadszedł czas, by po raz drugi skontaktować się z Hessem. Całymi dniami wracała do wspomnienia Talona, który macha zwieszonymi z pomostu nogami. Jednak na myśl o groźbie Hessa jej żołądek momentalnie się skręcił. Wybrała ikonę Hessa i zaczęła frakcjonować. Kiedy zobaczyła, gdzie się przeniosła, zupełnie znieruchomiała.

Znalazła się w gmachu paryskiej opery.

Stojąc na środku wielkiej sceny, w zupełnej ciszy, chłonęła znajomy przepych monumentalnej sali. Rzędy złotych balkonów pełne obitych szkarłatnym aksamitem siedzeń. Powędrowała wzrokiem wyżej, w stronę kolorowych fresków na sklepieniu kopuły oświetlonej kryształowym żyrandolem. Przychodziła tu, odkąd była dzieckiem. W żadnej innej Sferze nie czuła się bardziej jak w domu.

Z orkiestronu przeniosła wzrok na siedzenie dokładnie naprzeciw niej.

Puste.

Aria zamknęła oczy. To było miejsce Luminy. Mogła wyobrazić sobie mamę na tamtym miejscu, w prostej czarnej sukience, z włosami upiętymi w ciasny kok i z delikatnym uśmiechem. Aria nie знаła uśmiechu, który dodawałby jej więcej otuchy. Uśmiechu, który mówił jej, że wszystko będzie w porządku i że mama w nią wierzy. Teraz to czuła. Spokój. Pewność. Wszystko się jakoś ułoży. Trzymała się tego uczucia, próbując zamknąć je w swoim sercu. Gdy znów otworzyła oczy, to uczucie zaczęło się ulatniać, pozostawiając pytania, które miała gdzieś z tyłu głowy.

Jak mogłaś mnie zostawić, mamo? Kim jest mój ojciec? Czy on coś dla ciebie znaczył?

Nigdy nie pozna odpowiedzi. Będzie czuła tylko ból, który nigdy jej nie opuści.

Najpierw zgasły światła sceny, a po chwili światła na widowni. Nagle pogrążyła się w całkowitej ciemności, aż na chwilę straciła równowagę. Choć dudniło jej w uszach, była gotowa wychwycić choćby najmniejszy dźwięk.

– Co to ma znaczyć, Hess? – powiedziała poirytowana. – Nic nie widzę.

Ciemność przecięło oślepiające ją światło pojedynczego jupitera. Aria uniosła dłoń, by osłonić oczy, czekając, aż dopasują się do jasności. Ledwie widziała pusty orkiestron i kilka rzędów przed nią. Wysoko nad nią połyskiwały tysiące kryształów ogromnego żyrandola.

– Nawet jak na pana to trochę zbyt teatralne, Hess. Zaśpiewa mi pan *Upiora w operze*? – Ni z tego, ni z owego zaśpiewała kilka wersów *All I Ask of You*. Miała zamiar zanucić tylko początek, ale tekst pieśni szybko nią zawładnął. Nagle znów pomyślała o Perrym i o śpiewaniu.

Tęskniła za chwilą, gdy akustyka sali wzmacniała siłę jej głosu i kontrolę nad nim. Ta scena nigdy nie była tylko deskami, na których można było stanąć. Była żywa – jak ramiona, które są jej ostoją i unoszą ją wyżej. Kiedy skończyła, musiała ukryć emocje za uśmiechem.

– Żadnych braw? Trudno pana zadowolić.

Jego milczenie trwało zbyt długo. Wyobraziła sobie mały stolik z marmurowym blatem i delikatne filiżanki z kawą, których teraz brakowało. Nagle ciszę przełamał arogancki głos.

– Dobrze znów cię zobaczyć. Minęło trochę czasu, Ario.

Soren.

Przed sobą, mniej więcej w czwartym rzędzie, zauważyła pogrążoną

w cieniu postać, której kontur odcinał się na tle ciemności. Aria stanęła na palcach i oddychała spokojnie, podczas gdy przed jej oczami migwały obrazy. Soren, który ściga ją pośród wściekłych płomieni. Soren, który przygniata ją swoim ciężarem i miażdży jej gardło rękami.

Teraz są w Sferach, powiedziała do siebie. Lepsze niż rzeczywistość. Żadnego bólu. Żadnego niebezpieczeństwa. Tu nie mógł zrobić jej krzywdy.

– Gdzie jest twój ojciec? – zapytała.

– Jest zajęty – odpowiedział Soren.

– Więc wysłał ciebie?

– Nie.

– Złamałeś zabezpieczenia.

– Złamanie czegokolwiek wymaga siły. Ja ledwie je tknąłem. Twojej mamie podobałaby się ta analogia. To tu miałyście zwyczaj się spotykać, prawda? Pomyślałem, że się ucieszysz, przychodząc tu ponownie.

Rozbawiony ton jego głosu wywołał jej wściekłość.

– Czego chcesz, Soren?

– Wielu rzeczy. Na razie chciałbym cię zobaczyć.

Zobaczyć ją? Wątpiła w to. Zemsta wydawała się bardziej prawdopodobna. Pewnie winił ją za to, co stało się w SR 6. Nie miała zamiaru czekać, by się o tym przekonać, spróbowała więc przez frakcjonowanie wydostać się ze Sfery.

– To ci się nie uda – powiedział Soren w tym samym momencie, kiedy na ekranie jej Wizjera pojawił się komunikat o podobnym przekazie.

– Ale podziwiam, że w ogóle próbowałaś. A tak przy okazji, ładna piosenka. Bardzo wzruszająca. Zawsze byłaś niesamowita, Ario.

Naprawdę. Zaśpiewaj coś jeszcze. Podoba mi się też historia w *Upiorze*. Można ją przeżyć w Sferze Horrorów.

– Nie będę dla ciebie śpiewać – powiedziała. – Włącz światła.

– Ten upiór ma zdeformowaną twarz, prawda? – ciągnął Soren, ignorując ją. – Czy on przypadkiem nie nosi maski, żeby ukryć, jak bardzo jest szpetny?

Był jeszcze jeden sposób, by wydostać się ze Sfer. Aria skupiła się na rzeczywistości i chwyciła za krawędzie Wizjera. Znała ból, jaki powoduje zerwanie urządzenia. Szokujący ból, który szczypał w oczodołach i przeszywał paląco jej kręgosłup. Chciała się stamtąd wydostać, nie mogła jednak zmobilizować się do tego, by zedrzeć z siebie nakładkę.

Głos Sorena z powrotem przywołał ją do Sfer.

– A tak przy okazji, twoja suknia z Wenecji była szalowa. Bardzo

seksowna. A wylanie kawy? Mistrzowskie posunięcie. Ojciec dopiero się zdziwił.

– Obserwowałaś mnie? Jesteś obrzydliwy.

– Z ust mi to wyjęłaś – prychnął.

Będzie się nią bawił tak długo, jak mu na to pozwoli. Aria zrobiła kilka kroków w bok, schodząc z miejsca oświetlanego przez jupiter. Znów ogarnęła ją ciemność, tym razem przynosząc ulgę. Nareszcie. Teraz byli kwita.

– Co robisz? Gdzie idziesz? – Głos Sorena przybrał wysoki, spanikowany ton, tylko ją zachęcając.

– Zostań tam, gdzie jesteś. Już do ciebie idę. – Nie miała takiego zamiaru. Aria nie widziała dalej niż poza czubek swojego nosa, chciała jednak, by choć przez chwilę chłopak wypatrywał jej w niepokojącej ciemności.

– Co? Zatrzymaj się! Stój tam, gdzie jesteś!

Usłyszała odgłosy kroków, po czym w sali znów zabłysły światła, pokazując jej przepych.

Soren wyszedł na korytarz między rzędami. Stał tam, zwrócony do niej plecami. Jego oddech był nierówny, a napięcie ramion widoczne było przez opinającą je czarną koszulkę. Zawsze był porządnie umięśniony.

– Soren? – Minęła sekunda. Dwie. – Czemu się do mnie nie odwrócisz?

Chwycił za oparcie znajdującego się przy nim fotela, jakby potrzebował się na czymś wesprzeć.

– Wiem, że ojciec ci powiedział. Nie zachowuj się tak, jakbyś nie wiedziała, co się stało z moją szczęką.

Przypomniała sobie i w końcu zrozumiała.

– Powiedział mi, że wymaga rekonstrukcji.

– Rekonstrukcja – powtórzył, nadal patrząc w inną stronę. – Ładne słowo na określenie pięciu punktów złamania i poparzeń na mojej twarzy.

Aria patrzyła na Sorena, próbując zwalczyć w sobie chęć, by do niego podejść. Ostatecznie, przeklinając się za to, że jest zbyt ciekawska, zeszła po schodach. Serce biło jej jak szalone, kiedy przechodziła koło orkiestronu i szła korytarzem w głąb sali. Stawiała krok za krokiem aż do chwili, gdy stanęła obok niego.

Soren wpatrywał się w Arię brązowymi oczami, pełnymi niepohamowanej wściekłości. Jego usta były zaciśnięte w ponurą linię. Wstrzymywał oddech tak jak i ona.

Wyglądał tak samo. Opalony. Postawny. O surowej urodzie i nazbyt

wydatnych rysach. Przechylił głowę w protekcjonalnym geście. Aria nie mogła się powstrzymać, by nie porównać go do Perry'ego, który nigdy nie zdawał się patrzeć na ludzi z góry, mimo swojego pokaźnego wzrostu.

Soren nie zmienił się, z jednym wyraźnym wyjątkiem. Jego szczęka była nieco przekrzywiona, a opaloną skórę przecinała blizna ciągnąca się od kącika ust aż do nasady szczęki.

To przez Perry'ego nosi tę bliznę. Tylko dzięki niemu Soren nie udusił jej tamtej nocy. Nie żyłaby, gdyby Soren nie nabawił się tej blizny, choć wiedziała, że nie był wtedy przy zdrowych zmysłach. Opanował go Syndrom Degeneracji Limbicznej – choroba mózgu, która osłabiała podstawowe instynkty przetrwania. Ta sama choroba, którą badała jej matka.

– Nie wygląda tak źle – powiedziała. Wiedziała, jak to jest w Reverie. Nikt nie miał tam blizn. Nikt nie miał nawet zadrapań. Nie mogła uwierzyć w to, co mówi. Naprawdę pocieszała Sorena?

Jego jabłko Adama podskoczyło, kiedy przełknął ślinę.

– Nie wygląda tak źle? Kiedy zrobiłaś się taka zabawna, Ario?

– Chyba niedawno. Na zewnątrz wszyscy mają blizny. Jest jeden gość, który ma głęboką szramę przez cały policzek. Jak zamek błyskawiczny tkwiący w jego skórze. A twoja... prawie jej nie widać.

– Jak to się stało? – zapytał Soren, mrużąc oczy.

– Reef jest Scirem. Wykluczonym, który... zresztą, nieważne. Nie wiem tego na pewno, ale wydaje mi się, że ktoś próbował odciąć mu nos.

Ton jej głosu lekko uniósł się na końcu, jakby zadawała pytanie. Starła się sprawiać wrażenie niewzruszonej, ale brutalność zewnętrznego świata wydawała się jeszcze wyraźniejsza w tak eleganckim miejscu. Aria przyjrzała się jego bliźnie z bliska.

– Ojciec nie mógłby sprawić, by w Sferach nie było jej widać? Czy to nie kwestia prostego programowania?

– Sam mogę to zrobić. Mój ojciec nie musi mi wyświadczać żadnych przysług! – Jego głos niemal przerodził się w krzyk. – Zresztą, po co mi to? – Wzruszył ramionami. – Nie ukryję jej w prawdziwym świecie.

Wszyscy wiedzą, że tak wyglądam. Wiedzą, i to się już nie zmieni.

Nagle Aria zdała sobie sprawę, że Soren wcale nie jest już taki jak dawniej. Jego zwyczajowe aroganckie spojrzenie wydawało się teraz pozą, którą zbyt mocno stara się utrzymać. Przypomniała sobie też, że Bane i Echo – jego najbliżsi kumple – zginęli tej samej nocy co Paisley.

– Nie wolno mi mówić o tym, co się stało tamtej nocy – powiedział.

– Ojciec twierdzi, że to zagroziłoby bezpieczeństwu Podu. – Pokręcił

głową, a po jego twarzy przemknął wyraz bólu. – Obwinia mnie za to, co się stało. Nie potrafi zrozumieć. – Soren spuścił wzrok na dłonie, które nadal zaciskały się na oparciu fotela. – Ale ty rozumiesz. Wiesz, że nie zrobiłem tego celowo, prawda?

Aria skrzyżowała ramiona. Choć bardzo chciała winić go za to, co jej zrobił, nie potrafiła. Dowiedziała się o chorobie z plików matki. Po setkach lat spędzonych w Sferach i w bezpiecznym schronieniu Kapsuł Podu niektórzy ludzie, tak jak Soren, stracili zdolność radzenia sobie z prawdziwym bólem i stresem. Jego zachowanie w SR 6 wywołane było przez SDL. Rozumiała to, nie mogła jednak odpuścić mu tak łatwo.

– Mam wrażenie, że to zakamuflowane przeprosiny – powiedziała.

Soren pokiwał głową.

– Może – odpowiedział, pociągając nosem. – Właściwie to tak.

– Przeprosiny przyjęte. Ale już nigdy więcej mnie nie dotykaj.

Soren szybko spojrzał w górę. W oczach miał ulgę i bezbronność.

– Zgoda.

Wyprostował się i przeczesał dłonią włosy. Delikatność, którą przed chwilą dostrzegła Aria, zniknęła i zastąpił ją drwiący uśmiezek.

– Wiesz, że nie wszyscy mają SDL? Jestem częścią grupy wariatów. Ja to mam szczęście, co? Zresztą, to bez znaczenia. Biorę leki i za kilka tygodni będę gotowy?

– Jakie leki? I na co będziesz gotowy.

– Eksperymentalne środki, żeby znów mi nie odbiło. I profilaktyka przeciw chorobom z zewnątrz. Dają je strażnikom, którzy pracują przy zewnętrznych naprawach, na wypadek gdyby pękły im kombinezony. Kiedy tylko taki dostanę, wychodzę na zewnątrz. Mam tego dość.

Aria jęknęła z wrażenia.

– Jak to „na zewnątrz”? Nie masz pojęcia, jakie to niebezpieczne. To nie Sfera Safari.

– Reverie się rozpada – przerwał jej nagle. – Prędzej czy później wszyscy się tam znajdziemy.

– O czym ty mówisz? Co się dzieje z Reverie?

– Obiecuj, że mi pomożesz, kiedy będę na zewnątrz, a powiem ci.

Aria pokręciła głową.

– Nie ma mowy.

– Mógłbym ci pokazać Caleba i Rune. Nawet tego małego Dzikusa, o którego zawsze pytasz. – Nagle się wyprostował. – Muszę spadać. Na razie.

– Czeka! Co jest nie tak z Reverie?

Uśmiechnął się szeroko, unosząc brodę.

– Wróc tu, jeśli chcesz się dowiedzieć – powiedział
i wyfrakcjonował.

Aria wpatrywała się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał
Soren, i w pustą przestrzeń operowej sali. Na ekranie jej Wizjera
zaświeciła się nowa ikona tuż przy ikonie Hessa.

Była to biała maska *Upiora w operze*.

19
PEREGRINE

– Minął tydzień – powiedział Reef. – Zamierzasz kiedyś o tym porozmawiać?

Perry oparł łokcie na stole. Reszta plemienia opuściła kantinę po kolacji, pozostawiając ich samych. Dobiegała do nich muzyka świerszczy, a z ukosa do pomieszczenia wdzierały się snopy chłodnego eterowego światła, rozjaśniając ciemne pomieszczenie.

Perry raz po raz przejeżdżał palcem przez płomień stojącej na stole świecy, igrając z ogniem. Kiedy robił to zbyt wolno, bolało. Sztuczka polegała na tym, by robić to szybko. Nie przestawać.

– Nie, nie zamierzam – odpowiedział, nie spuszczać oczu z płomienia.

Przez ostatnich kilka dni wypatroszył i oczyścił z łusek tyle ryb, że palce przesiąkły mu zapachem morza. Siedział wraz z nocną wartą tak długo, aż przestawał wyraźnie widzieć. Naprawił płot, drabinę, dach. Nie mógł żądać od Fal, by pracowały dzień i noc, jeśli sam tego nie robił.

Reef skrzyżował ramiona.

– Plemię zwróciłoby się przeciw tobie, gdybyś wyruszył razem z nią. Tak samo gdyby tu została. Była bystra. Przewidziała to. To nie mogła być dla niej łatwa decyzja, ale postąpiła słusznie.

Perry podniósł wzrok. Reef patrzył wprost na niego. W świetle świecy blizna na jego policzku wydawała się głębsza, przez co jego twarz nabrała okrutnego wyrazu.

– Co ty robisz, Reef?

– Próbuję upuścić z ciebie jad. Masz go w sobie, tak jak ona tamtej nocy. Nie możesz tak żyć, Perry.

– Mogę. Pewnie, że mogę. Nie obchodzi mnie, co chciała osiągnąć, dlaczego to zrobiła i czy to słuszne, czy nie, rozumiesz?

– Rozumiem – przytaknął Reef.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. – Co komu daje próżne gadanie? To i tak niczego nie zmieni.

– W porządku – powiedział Reef.

Perry oparł się na krześle. Napił się i skrzywił. Woda w studni nie poprawiła się jeszcze po ostatniej burzy i nadal smakowała jak popiół. Eter miał wpływ na wszystko. Niszczył ich jedzenie i palił drewno na opał,

zanim zdążyło się znaleźć w kominkach plemienia. Przenikał nawet do wody.

Jedyne, co Perry mógł zrobić, to wysłać wiadomość do Marrona. Teraz nic mu już nie pozostało. Nie było sposobu, by wydostać Talona z Reverie. Mógł jedynie czekać na powrót Roara i Arii i próbować uchronić plemię od śmierci głodowej, ale to mu nie wystarczało.

Perry potarł dłonią tył głowy i westchnął.

– Powiedzieć ci coś?

– Jasne.

– Czuję się jak starzec, Reef. Czuję się jak ty.

– Nie jest łatwo, co staruszku? – odparł Reef z uśmiechem.

– Mogłoby być łatwiej. – Perry spojrzał na swój łuk oparty o ścianę.

Kiedy używał go po raz ostatni? Jego ramię w pełni już się wygoiło i teraz miał na to czas. Mógłby zdobyć trochę pożywienia. Zwykle mu się to udawało.

– Chcesz pójść na polowanie? – zapytał, czując niespodziewany przypływ energii. Nagle polowanie wydało mu się świetnym pomysłem.

– Teraz? – odparł Reef zaskoczony. Było późno. Dochodziła północ.

– Myślałem, że jesteś zmęczony.

– Już nie. – Perry ściągnął z szyi łańcuch Wodza Krwi i wrzucił go do torby. Spodziewał się, że Reef zacznie się sprzeciwiać, i wiedział, co na to odpowiedzieć. Nie będzie stawiał głośnych kroków i wcale nie jest za jasno, by poruszać się niezauważenie. Ale Reef wstał tylko i pogodnie się uśmiechnął.

– Chodźmy zapolować.

Wypełnili swoje kołczany i wybiegli z wioski. Odmeldowali się Haydenowi, Hyde'owi i Twigowi, którzy czuwali na wschodnim posterunku, po czym zwolnili i normalnym krokiem zboczyli ze szlaku w gęsty las. Gdy przeszli ponad sto kroków, zaczęli tropić.

Z dala od wioski Perry poczuł, jak jego ciało rozluźnia się w poczuciu ulgi. Robił głębokie wdechy, czując, jak eter kłuje go i szczypie. Spojrzawszy na niebo, dostrzegł to samo jaśniejące pasmo, które przez ostatni tydzień straszło ich burzą. Z jego powodu las skąpany był w chłodnej poświacie. Perry poczuł woń nadmorskiej bryzy, która niosła ze sobą zapach zwierzyny, ale maskowała jego własny. Szedł cicho, wyszukując zapachów, wpatrując się w las, czując więcej energii niż przez całe ostatnie tygodnie.

Wiatr przycichł i Perry zauważył, jak cicha i spokojna jest noc i jak głośne wydają się jego kroki. Spojrzał w górę, spodziewając się burzy, ale

prądy eteru pozostawały niezmiennie. Reef podszedł do niego, kręcąc głową.

– Nic nie czuję. Wiewiórki. Lis, ale to bardzo stary trop. Nic wartego zachodu. O co chodzi, Perry?

– Nie wiem. – Wiatr znów się wzmógł, poruszając gałęziami z delikatnym szelestem. W chłodnej woni nocy wyłapał zapachy ludzi. Poczul przeszywający strach, który rozszedł się po całym jego ciele.

– Reef...

– Też to czuję – odezwał się Reef, klnąc pod nosem.

Pobiegli co sił w nogach do wschodniego posterunku. Ze skał będą mieli lepszy widok. Twig, z obłędem w oczach, dobiegł do nich, zanim dotarli na miejsce.

– Szukałem was. Hyde ostrzega już wioskę.

– Słyszysz ich? – zapytał Perry.

Twig pokiwał głową.

– Słyszę konie w pełnym galopie. Tętent jest cichszy.

Perry zrzucił łuk.

– Zrobimy tu zaporę i spróbujemy spowolnić atak.

Szybko nadciągająca grupa w środku nocy mogła oznaczać tylko jedno – napad. Perry musiał działać tak, by zyskać dla plemienia trochę czasu.

– Stańcie bliżej – powiedział do Haydena i Reefa. – Ja zostanę tu. Będę miał większy zasięg. – Wiedział, że jest najmocniejszym łucznikiem w ich grupie, a jego oczy najlepiej widzą po zmroku.

Rozbiegli się, znajdując schronienie pomiędzy drzewami i skałami. Perry miał wrażenie, że uderzenia jego serca to ciosy pięścią. Porośnięta trawą łąka poniżej była spokojna i cicha jak spowita w świetle księżyca tafla jeziora.

Czy Wylan powracał z większym oddziałem, by przejąć wioskę? Czy plemiona Róż i Nocy atakowały ją niezliczoną hordą? Niespodziewanie Perry pomyślał o Arii na łóżku w sypialni Vale'a, a potem o Talonie porwanym przez poduszkowiec. Żadnego z nich nie uchronił przed złem. Tym razem nie mógł zawieść Fal.

Jego myśli rozpierzchły się, kiedy poczuł, jak drży pod nim ziemia. Naciągnął strzałę, poczuwszy, że z chwilą gdy wyciągnął łuk, instykt przejmuje nad nim kontrolę. Chwilę później spomiędzy drzew wyłonili się pierwsi jeźdźcy. Perry wycelował w mężczyznę pośrodku szarży i zwolnił cięciwę. Strzała trafiła prosto w pierś jeźdźca. Perry naciągnął kolejną strzałę, jeszcze zanim tamten spadł z konia. Wycelował i strzelił. Kolejny

mężczyzna padł na ziemię.

Bojowe okrzyki atakujących rozdzierające ciszę nocy sprawiały, że Perry'emu zjeżyły się włosy na karku. Zobaczył około trzydziestu konnych i teraz słyszał w końcu świst przemykających koło niego strzał. Ignorując je, skoncentrował się na mierzeniu w najbliższych jeźdźców. Wypuszczał strzałę za strzałą, aż opróżnił swój kołczan i kołczan Reefa, tylko raz pudłując przez – jak był przekonany – zepsutą lotkę.

Opuścił łuk i spojrział na Haydena, który mierząc wzrokiem równinę, szukał kolejnego celu. Nikt się jednak nie zjawił oprócz koni galopujących bez jeźdźców.

To nie był koniec. W kilka sekund później z lasu wyłoniło się morze pieszych wojowników.

– Próbujcie ich powstrzymać tak długo, jak dacie radę – zawołał Perry do Haydena i Twiga, po czym pędem ruszył z Reefem w stronę wioski. Biegli ile sił, każdym krokiem wzbijając tumany kurzu, wciąż mobilizując się do przyspieszania. W końcu ich oczom ukazała się wioska, w której ludzie wspinali się na dachy i zasuwali bramy pomiędzy domostwami.

Perry wbiegł na centralny plac. Na dachu kantyny stała Brooke z łukiem w dłoni.

– Łucznicy na górę! – krzyczała. – Łucznicy na dach!

Ludzie pompowali wodę ze studni i rozlewali ją do wiader, przygotowując się na wypadek pożaru. Zgromadzili zwierzęta wewnątrz murów. Wszyscy poruszali się i zachowywali tak, jak wcześniej ćwiczyli.

Perry wspiał się na dach kantyny. W bladej szarówce nadciągającego świtu dostrzegł na horyzoncie rój mężczyzn wdzierających się w górę zbocza. Byli nieco ponad pół kilometra od wioski, zwarta zgraja dwustu osób. Fortyfikacja Fal była wzmocniona, ale kiedy Perry dostrzegł wściekłą hordę zbliżającą się w stronę wioski, nie był pewien, czy będą w stanie ją odeprzeć.

Dosięła ich pierwsza fala strzał, łamiąc dachówki z gwałtownym trzaskiem. Przy jego boku pojawił się Twig z pełnym kołczanem i tarczą do ochrony. Perry chwycił łuk i przyjął pozycję, by bronić swojego domu. Robił to już wiele razy, ale nigdy jako przywódca plemienia. Ta świadomość owładnęła nim niczym nagły napad szaleństwa, spowalniając czas i sprawiając, że każdy jego ruch stawał się kompletny, skuteczny, pewny.

Rozproszony ogień rozjaśniał nadciągający świt. Tuż przy nim przeleciała zapalona strzała, lądując na skrzyniach przy kantynie. Perry

wycelował w łuczników, którzy próbowali podpalić wioskę. Jego strzały wraz ze strzałami Brooke oraz pozostałych łuczników Fal przecięły szarżujący tłum. Niektórzy z napastników wpadli w wilcze doły pułapki, ale nadal zbliżali się do wioski w zbyt dużej liczbie. Podzielili się na mniejsze bandy i rozprzestrzenili, by otoczyć wioskę z wszystkich stron.

Ludzie wspinali się na bramę i próbowali rozrąbać ją siekierami. Perry wypuścił ostatnią strzałę, przeszywając na wylot jednego z napastników. To za mało. Za późno. Usłyszał trzask rozpadających się wrót, które otwały najeźdźcom drogę do środka. Włamano się do ich domu, który teraz płonął. Ze stajni, tak jak ze skrzyń przy kantynie, unosił się dym.

Perry zszedł z dachu i zeskakując z drabiny, wyciągnął nóż, który wbił w brzuch przebiegającemu obok mężczyźnie. Dobiegał go krzyk znajomych głosów. Słyszał je niewyraźnie, nie myśląc o niczym innym, tylko o tym, by znaleźć kolejnego człowieka, którego mógłby pokonać, wykorzystawszy moment jego zawahania, jeden fałszywy krok.

Od czasu do czasu przed oczami migał mu Reef, a jego warkocze wirowały tak szybko, że rozmazane robiły się niemal niewidzialne. Widział Grena i Beara. Rowana, który nie chciał się uczyć, jak walczyć. Molly, która całe życie poświęciła leczeniu ran.

Kątem oka Perry zauważył czarną czapkę. Cinder. Mężczyzna z warkoczami podobnymi do Reefowych chwycił go za ramiona i podniósł do góry. Perry obserwował, jak Cinder skulił się bezsilny, choć zupełnie taki nie był. Nikt z tu obecnych nie miał w sobie podobnej potęgi, ale Cinder zachowywał się biernie i nie próbował się bronić. Willow rzuciła się w tę stronę i wbiła nóż w nogę mężczyzny. Wzięła Cindera za rękę i pociągnęła za sobą, by schronić się w najbliższym domu.

Napastnik z metalowymi ćwiekami wokół oczu zauważył Perry'ego i rzucił się w jego stronę z uniesionym toporem. Perry miał tylko nóż, którym nie mógł walczyć przeciw toporowi. Kiedy dzieliło ich tylko kilka kroków, napastnik dostał strzałą w głowę, co niemal poderwało go z ziemi. Rozległ się odgłos niczym trzask łamiącej się dachówki. Ciało mężczyzny i siekiera głucho uderzyły o ziemię. Perry zobaczył na dachu Hyde'a. Jego cięciwa drżała z napięcia.

Perry odwrócił się zwinnie i powrócił do walki, gdy nagle usłyszał, jak ktoś wzywa do odwrotu. Napastnicy od razu zareagowali na komendę i tłum w wiosce zaczął rzednąć.

W pełnym oszołomieniu Perry patrzył, jak intruzi wycofują się za bramy wioski, którą napadli niespełna godzinę temu. Niektórzy nieśli ze

sobą worki z żywnością lub innymi dobrami. Z dachów Hyde i Hayden celowali do nich, próbując zmusić, by porzucili zdobycze i uciekali.

Kiedy zniknął ostatni z nich, Perry rozejrzał się po centralnym placu. Należało ugasić pożary. Skrzynki przy kantynie martwiły go najbardziej. Zlecił to Reefowi, a następnie wysłał Twiga, by śledził napastników i upewnił się, że nie planują kolejnego podejścia. Potem znów rozejrzał się wokół. Wszędzie leżały ciała.

Perry szukał między nimi rannych i wezwał Molly, by opatrzyła tych, których obrażenia były najcięższe. Naliczył dwudziestu dziewięciu zabitych. Wszyscy należeli do wrogiej hordy. Nikt z jego ludzi nie zginął. Szesnaście osób odniosło rany, dziesięciu rannych należało do Fal. Bear miał ciętą ranę na ramieniu, ale nie zagrażała ona jego życiu. Rowan potrzebował szycia rany na głowie. Więcej osób odniosło drobne obrażenia – były to złamania, zmiażdżone palce, stłuczenia, oparzenia, ale nic śmiertelnie groźnego.

Wiedząc, że wszyscy przeżyli, Perry przeszedł przez wyłamane wrota poza teren wioski, gdzie na kolana powaliła go fala ulgi. Zagłębiając ręce w ziemi, poczuł, jak jego ciało pulsuje jej rytmem, i ogarnął go spokój.

Kiedy wstał, jego uwagę przykuł słup jasności na wschodzie i zachodzie. Były to uderzające z nieba eterowe leje. Przez chwilę wpatrywał się w odległe burze, próbując oswoić się z tym, że jego ziemia płonie. Obronił wioskę przed ludzkim atakiem, ale eter był wrogiem zbyt mocarnym, by z nim zwyciężyć. Perry nie mógł pozwolić, by go to przytłoczyło. Dziś wygrał i nic nie mogło mu odebrać tego zwycięstwa.

Powrócił do centrum wioski, by zająć się ofiarami. Najpierw wraz z innymi pozbawił ciała wszelkich wartościowych rzeczy. Plemieniu przydadzą się paski, buty i broń. Następnie ludzie ładowali ciała na wóz i wywozili je polną drogą prowadzącą z wioski. Na plaży uformowali z drewna stos pogrzebowy. Kiedy był gotowy, Perry rzucił w niego pochodnię, wypowiadając słowa, które miały uwolnić dusze zmarłych w eter. Zrobił to ku własnemu zaskoczeniu. Ani teraz, po zakończonej walce, ani w jej trakcie ręka choćby na chwilę mu się nie zawahała, a głos nie zadrzał. Było późne popołudnie, kiedy drogą między wydmami ruszył z powrotem do wioski. Nogi trzęsły mu się ze zmęczenia. Perry zwolnił kroku, a Reef dopasował się do jego tempa. Pozwolili pozostałym ich wyprzedzić.

Koszula Perry'ego była brudna od krwi, a jego pięści pulsowały z bólu i był prawie pewien, że znów złamał sobie nos, ale Reefowi udało

się wyjść z tego starcia bez zadrapania. Perry nie wiedział, jak on to zrobił. Widział, że Reef walczy tak samo zaciekle jak on sam, a może nawet bardziej.

– Co robiłeś dziś rano? – zapytał.

– Spałem do późna, a ty? – odparł Reef z uśmiechem.

– Czytałem książkę.

Reef pokręcił głową.

– Nie wierzę ci. Kiedy czytasz, wyglądasz gorzej. – Na chwilę zamilkł, a z jego twarzy znikł dobry nastrój. – Dziś nam się upiekło. Większość tych ludzi nie miała pojęcia, jak walczyć.

Reef miał rację. Najeźdźcy byli zdesperowani i działali chaotycznie. Falom nie poszczęści się tak po raz drugi.

– Masz jakieś przypuszczenia, skąd pochodzili? – zapytał Perry.

– Z południa. Sami stracili wioskę kilka tygodni temu. Maruder wydobyl to z jednego z rannych, zanim porzucił go gdzieś poza naszym terytorium. Szukali schronienia. Przypuszczam, że usłyszeli pogłoski o tym, jak nas teraz mało, i postanowili spróbować. Nie będą ostatni. – Reef lekko przechylił głowę, spoglądając na Perry'ego. – Wiesz, że pewnie byś tu ze mną nie szedł, gdybyś miał na sobie łańcuch? Byłbyś ich głównym celem. Kiedy załatwisz wodza, reszta to łatwizna.

Perry zatrzymał się i dotknął szyi, czując brak otaczającego ją ciężaru. Wtedy zauważył, że Reef niesie jego torbę.

– Jest tutaj – powiedział, podając ją Perry'emu. – To takie dziwne, Peregrine. Czasem wiesz, że coś się wydarzy, zanim ktokolwiek zacznie przypuszczać.

– Chyba nie – odparł Perry, biorąc torbę z rąk przyjaciela. – Gdybym umiał przewidzieć przyszłość, uniknąłbym wielu rzeczy. – Wyciągnął łańcuch i przez chwilę trzymał go w dłoniach, czując przez niego łączność z bratem i ojcem.

– Nazywają cię bohaterem – powiedział Reef. – Słyszałem to już kilka razy.

Naprawdę? Perry nałożył łańcuch przez głowę.

– Kiedyś musiało to nastąpić – zażartował, choć nie uważał, by to, co zrobił dziś, różniło się od próby uratowania Starego Willa.

Zastali plemię zgromadzone w centrum wioski. Ludzie otoczyli go kołem. Na środek wioski wylano wiadra wody, a mimo to błoto pod jego stopami nadal nosiło ślady popiołu i krwi. Reef, który stał tuż przy nim, chrząknął cicho w reakcji na intensywny zapach, który wisiał w powietrzu. Czysty strach był ciężki do zniesienia.

Perry wiedział, że plemię potrzebuje zapewnień. Ludzie pragną, by powiedzieć im, że teraz są już bezpieczni, że najgorsze za nimi, ale nie mógł tego zrobić. Napadnie ich kolejne plemię. Nadciągnie następna eterowa burza. Nie mógł ich okłamać i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Zresztą kiepsko sobie radził z przemowami. Jeśli miał coś prawdziwego i ważnego do powiedzenia, wołał powiedzieć to komuś w oczy.

– Nadal jesteśmy w stanie nadrobić pracę dzisiejszego dnia – powiedział, odchrząknawszy.

Ludzie niepewnie spoglądali na siebie nawzajem, po czym po chwili rozeszli się, by naprawić główną bramę i dachy oraz zająć się wszelkimi pozostałymi usterkami.

– Dobra robota – szepnął mu Reef.

Perry pokiwał głową. Praca pomoże wszystkim odzyskać równowagę i uspokoi ich lepiej niż jakakolwiek przemowa.

Nadeszła pora na wykonanie własnego zadania. Rozpoczął od zachodniej granicy terytorium i ruszył na wschód. W stajniach, na polach, na przystani napotykał członków Fal, spoglądał im w oczy i mówił, że jest dumny z tego, jak sobie dziś poradzili.

Późną nocą, kiedy w wiosce zapadła cisza, Perry wdrapał się na dach swojego domu. Zacisnął palce wokół grubego łańcucha na szyi i ścisnął go, aż chłodny metal zagrzał się w jego dłoni. Po raz pierwszy w życiu czuł się jak Wódz Krwi.

20 ARIA

– Gotowy? – Aria zapytała Roara.

Rozbili obóz nad Wężową Rzeką, która miała wytyczyć im drogę do terytorium Rogów. Na ostrych, wyścielonych żwirem brzegach rzeki leżały rozrzucone gałęzie, a tafla wody była gładka niczym lustro odbijające serpentyny eteru na niebie. Sprawnie brnęli naprzód przez całe popołudnie, wyprzedzając eterową burzę. Piski lejów z oddali dobiegły uszu Arii, jeżąc jej włosy na karku.

Roar oparł się o swoją torbę i skrzyżował ręce na piersi.

– Byłem gotowy od dnia, kiedy obudziłem się rano, a Liv nie było przy mnie. A ty?

Przez cały miniony tydzień wspinali się po Skarpie Strażników, lodowatej przełęczy otoczonej wysokimi szczytami, które wyglądały jak wyszczerbiony metal. Dzięki wyostrzonemu słuchowi uniknęli spotkań z innymi ludźmi i wilkami, nie byli jednak w stanie uchronić się przed nieustającym wiatrem, który smagał przełęcz, przez co czuli się, jakby ugrzęźli pośród niekończącej się zimy. Usta Arii stały się suche i popękane. Stopy miała pokryte pęcherzami, ręce zdrętwiały z zima, ale jutro, dwa tygodnie po wyruszeniu z wioski, w końcu dotrą do Rimu.

– Tak. Jestem gotowa – odpowiedziała, okazując w głosie większą pewność siebie, niż naprawdę czuła. Dopiero teraz zaczynała odczuwać, jak ogromne było powierzone jej zadanie. Jakim sposobem miała wyciągnąć tajne informacje od Sable’a – Scira, który gardził Osadnikami? Wodza Krwi, który nikomu nie powierzył strzeżonego pilnie sekretu?

Wyobraziła sobie Talona, który macha nogami, siedząc na pomoście. Jeśli zawiedzie, to jak wydostanie go z Reverie? Czy Pod upadnie? Aria pokręciła głową, odpychając na bok zmartwienia. Nie mogła sobie pozwolić na takie myślenie.

– Nadal uważasz, że Sable będzie chciał negocjować? – zapytała. Planowali powiedzieć mu, że przychodzą z polecenia Perry’ego, nowego Wodza Krwi Fal, który chce unieważnić zaślubiny zaaranżowane przez Vale’a rok wcześniej. Spróbują także kupić od niego informacje o położeniu Wielkiego Błękitu.

– Fale przyjęły już połowę posagu. Perry może się zrewanżować tylko ziemią, ale ponieważ eter się nasila, ziemie nie wystarczą. Czy warto

przyjąć terytoria tylko po to, by patrzeć, jak płoną? – Wzruszył ramionami. – Może się nie udać, ale chyba warto spróbować. Z tego, co wiem, Sable jest chciwy. Spróbujemy to wykorzystać.

Plan B zakładał, że powęszą na jego terenach, żeby samodzielnie ustalić, gdzie jest Wielki Błękit, a potem zabiorą Liv i uciekną.

Kiedy zamilkli, Aria sięgnęła do torby po figurkę sokoła. Przebiegła palcami po ciemnym drewnie, przypominając sobie uśmiech Perry’ego, kiedy mówił: „Mój wygląda jak żółw”.

– Jeśli on robi jej krzywdę albo do czegoś zmusza...

Podniosła wzrok. Roar wpatrywał się w ognisko. Zerknął na nią i na chwilę jego oczy zabłysły, po czym znów popatrzył na ogień. Aria ciałniej owinęła się kurtką. Na przystojnej twarzy jej przyjaciela tańczyły cienie, które rzucało ognisko.

– Zapomnij, że to powiedziałem.

– Roar... wszystko będzie w porządku – powiedziała, choć miała świadomość, że nie przyniesie mu to żadnej ulgi. Krępował go ból niewiedzy. Przypomniła sobie, jak to było, kiedy szukała mamy. Nadzieja, obawa przed złudzeniami, a potem już tylko strach. Mogła się od tego uwolnić, jedynie poznawszy prawdę. On przynajmniej miał czekać tylko do jutra.

Znów długo milczeli, a potem Roar powiedział:

– Musisz uważać przy Sable’u, Ario. Jeśli wyczuje twój strach, będzie drażył tak długo, aż się dowie, co jest jego powodem.

– Mogę udawać, że się nie denerwuję, ale emocji nie oszukam. Tego nie da się włączyć lub wyłączyć.

– Dlatego powinnaś trzymać się od niego z daleka, jeśli tylko będzie to możliwe. Znajdziemy też sposób, by dyskretnie rozejrzeć się za Wielkim Błękitem.

Aria przysunęła stopy bliżej ognia, czując, jak ciepło przenika jej palce.

– Czyli mam zachować dystans względem osoby, do której chcę się zbliżyć?

– Ech, ci Scirzy – powiedział Roar, jakby to wszystko wyjaśniało. W pewnym sensie tak właśnie było.

Po kilku godzinach niespokojnego snu Aria przebudziła się bladym świtem i wyciągnęła Wizjer z torby. W ostatnim tygodniu dwa razy rozmawiała z Hessem, ale ich spotkania były krótkie. Hess chciał informacji i najwyraźniej opowieści o marznących rękach i stopach się nie kwalifikowały. Kiedy tylko zaczynała zadawać pytania, nagle kończył

rozmowę i ją zostawiał. Teraz postanowiła jednak, że ma dość poruszania się po omacku.

Roar spał, nałożyła więc Wizjer i wywołała Upiora.

Sekundę po tym, jak wybrała ikonę z białą maską, zaczęła frakcjonować. Serce podskoczyło jej z radości, kiedy poznała znajomą Sferę. Była to jedna z jej ulubionych, stworzona na podstawie starodawnego malowidła przedstawiającego zgromadzenie nad brzegiem Sekwany. Ludzie ubrani w stroje z dziewiętnastego wieku przechadzali się i przesiadywali na kocach, ciesząc się słońcem i widokiem łódek unoszących się na spokojnej wodzie. Ptaki świergotały radośnie, a delikatny wietrzyk muskał gałęzie drzew.

– Wiedziałem, że długo beze mnie nie wytrzymasz.

– Soren? – Aria rozglądała się wokół po twarzach mężczyzn. Mieli na sobie kapelusze i fraki, a kobiety suknie z turniurami i kolorowe parasolki w dłoniach. Szukała najszerszych ramion. Ostrej brody.

– Jestem tu – powiedział – ale nie możesz mnie zobaczyć. Jesteśmy niewidzialni. Ludzie myślą, że nie żyjesz. Jeśli ktoś by cię tu zobaczył, nie mógłbym tego ukryć przed ojcem. Nawet ja mam ograniczenia.

Aria spojrzała na swoje dłonie. Nie widziała ani ich, ani żadnej innej części swojego ciała. Wpadła w panikę. Miała wrażenie, że jest tylko parą unoszących się w powietrzu oczu. W realnym świecie przebierała palcami, żeby pozbyć się tego uczucia.

Wtedy usłyszała głos, który znała całe swoje życie.

– Blokujesz mi światło, Pixie.

Podążyła za głosem, czując, jak serce kołacze jej w piersi. Caleb siedział na czerwonym kocu tylko kilka kroków od niej i rysował w swoim szkicowniku. Z ust wystawał mu koniuszek języka – nawyk, który ujawniał się, kiedy pochłaniało go tworzenie. Aria przyglądała się jego długim kończynom i rudawym włosom, kiedy kreślił coś na kartce. Tak bardzo przypominał Paisley. Dopiero teraz zdała sobie sprawę jak bardzo.

– Czy on mnie słyszy? – wyszeptała najciszej, jak tylko umiała.

– Nie – odpowiedział Soren. – Nie ma pojęcia, że tu jesteśmy. Ale mówiłaś, że chciałaś go zobaczyć.

Pragnęła więcej. Chciała spędzić z Calebem godziny, całe dni. Chciała mieć czas na to, by mu powiedzieć, jak jej przykro z powodu Paisley i jak bardzo tęskni za spędzaniem z nim każdego dnia. Caleb dzielił teraz swój czas z innymi. Pixie siedziała przy nim w milczeniu i przyglądała się, jak rysuje. Jej kruczoczarne włosy były krótsze, niż pamiętała. Aria zastanawiała się, co czuje Soren, widząc ich razem.

Niecały rok temu on i Pixie byli parą. Razem z nimi siedziała także Rune, w towarzystwie Jupitera, perkusisty Tilted Green Bottles. Całowali się namiętnie, nie widząc świata poza sobą.

Było w tym widoku – widoku ich wszystkich – coś odległego i rozpaczliwego.

– Gratulacje – powiedział Soren. – Teraz oficjalnie jesteś niczym.

Popatrzyła na pustą przestrzeń koło niej. Dziwnie się czuła, słysząc jego głos, a nie będąc w stanie go zobaczyć.

– Soren, to jest upiorne.

– Żyj tak przez osiem miesięcy, a dopiero się przekonasz.

– Naprawdę tak teraz spędzasz czas?

– Myślisz, że lubię tak się czaić? Mój ojciec zakazał mi tu wstępu. Sądziłaś, że tylko ciebie pozbyto się po tamtej nocy? – Prychnął, jakby żałował swoich ostatnich słów.

– W każdym razie... to bez znaczenia – westchnął. – Widziałaś, jak Jupiter i Rune się do siebie lepią? Wiedziałem, że tak będzie. Jup to spoko gość. I dobry pilot. Kiedyś nieźle się bawiliśmy, pilotując hoversy dragonwing. To było, zanim... no wiesz. A ja i Pixie byliśmy... właściwie to nie wiem, czym byliśmy. Ale Caleb? Co ty w nim widzisz?

Widziała w nim tysiące rzeczy. Tysiące wspomnień. Caleb używał słów takich jak „zuchwały” i „letargiczny”, żeby opisać kolory. Uwielbiał sushi, bo uważał, że jest piękne. Zasłaniał usta, kiedy się śmiał, ale nie kiedy ziewał. To z nim całowała się po raz pierwszy i była to katastrofa – bez dreszczy, jakie czuła, gdy całowała Perry’ego. Jeździli wtedy na diabelskim młynie w Sferze Rozrywki. Caleb miał otwarte oczy, co się jej nie podobało. Całowała jego dolną wargę, co jemu wydało się dziwne. Główny jednak problem, jak doszli do wniosku, był taki, że ich pocałunek nie miał głębszego znaczenia. „Formatu”, jak określił to Caleb.

Teraz, gdy patrzyła na niego, wszystko było znaczące. Czuła tylko smutek. Z jego powodu. Z powodu tego, jacy kiedyś byli. Nic już nie będzie takie samo.

Aria spojrzała na jego rysunek, ciekawa, co go tak absorbuje. Szkic przedstawiał z bocznej perspektywy przykucniętą, wychudzoną postać ze zgiętymi kolanami i przykurczonymi ramionami oraz opuszczoną głową. Rysunek sięgał aż po krawędzie strony, więc postać wyglądała jak uwięziona w klatce. Był posepny, niepokojący, zupełnie nie w stylu poprzednich prac Caleba.

Nagle w Sferze zapadła cisza. Aria podniosła wzrok. Drzewa znieruchomiały. Z rzeki nie dobiegały żadne dźwięki. Sfera zastygła

niczym obraz, na podstawie którego ją stworzono, z pominięciem nerwowo poruszających się ludzi. Caleb uniósł wzrok znad szkicownika. Pixie przymrużyła oczy i patrzyła na niebo i wodę, jakby nie dowierzała temu, co widzi. Rune i Jupiter oderwali się od siebie i wymienili zdezorientowane spojrzenia.

– Soren... – odezwała się Aria.

– Zazwyczaj to po chwili mija.

Miał rację. W ułamku sekundy dźwięk ptasich trel powrócił, a wietrzyk znów zaczął poruszać zielonymi liśćmi. Łódki ponownie zaczęły przemieszczać się po wodzie.

Sfera przebrnęła przez chwilę zawieszenia, ale nie wróciła do normalności. Caleb gwałtownie zatrasnął szkicownik i zatknął sobie ołówek za ucho. Mężczyzna stojący obok odchrząknął i poluźnił krawat, po czym wrócił do spacerowania po ścieżce. Powoli ludzie wznawiali prowadzone rozmowy, ale wydawały się one wymuszone, odrobinę zbyt entuzjastyczne.

Aria nigdy nie śniła, aż do czasu, kiedy została wyrzucona z Reverie. Teraz widziała, jak bardzo sny podobne są do Sfer. Dobrego snu warto było się trzymać aż do ostatniej chwili przed przebudzeniem. Caleb trzymał się go tak jak pozostali. Wszystko w tym miejscu było dla nich dobre, nie chcieli więc, by choćby najmniejsza rzecz sugerowała, że ich świat zbliża się ku końcowi.

– Jak możemy się stąd wydostać, Soren? Nie chcę patrzeć, jak...

Po chwili frakcjonowania – zanim zdążyła dokończyć zdanie – znaleźli się w sali operowej. Aria z ulgą zobaczyła swoje ciało.

Stali z Sorenem na scenie. Trzymał ręce skrzyżowane na piersi i unosił jedną brew.

– I co teraz sądzisz o swoim dawnym życiu? Inne, prawda?

– Łagodnie powiedziane. A ta usterka przed chwilą? Jak często to się zdarza?

– Kilka razy dziennie. Sprawdziłem to. Przyczyną są przerwy w dostawie energii. Jedna z kopuł, w której znajduje się generator, została uszkodzona minionej zimy, więc wszystko jest trochę... usterkowe.

Przez chwilę Aria stała w odrętwieniu. To samo przydarzyło się w Bliss – kapsule, w której zginęła jej matka.

– Czy można to naprawić?

– Próbują. Jak zawsze. Jednak przy nasilających się eterowych burzach ekipy nie są w stanie nadażyć z naprawami.

– To dlatego twój ojciec tak naciska, żebym odnalazła Wielki Błękit.

– Jest zdesperowany i ma powody. Musimy stąd uciekać. To tylko kwestia czasu. – Uśmiechnął się ponuro. – I tu zaczyna się twoja rola. Chciałaś zobaczyć przyjaciół, a ja powiedziałem ci, co się dzieje w Reverie. Teraz ty musisz obiecać, że mi pomożesz, kiedy znajdę się na zewnątrz.

– Naprawdę jesteś gotowy to wszystko zostawić? – zapytała, mierząc go wzrokiem.

– Jakie „wszystko”, Ario? – Utkwił wzrok w pustych siedzeniach na widowni. – Wiesz, co zostawiam? Ojca, który mnie ignoruje. Który nawet mi nie ufa. Przyjaciół, z którymi nie mogę się zobaczyć, i Pod, który nie wytrzyma kolejnej burzy. Wydaje ci się, że będę za tym tęsknił? Już i tak jestem wykluczony. – Wziął głęboki wdech i zamknął oczy, powoli wypuszczając powietrze, by odzyskać spokój. – Jesteśmy umówieni czy nie?

Nie przypominał już aroganckiego, dominującego Sorena, którego pamiętała. Tamta noc w SR 6 bezpowrotnie zmieniła ich oboje.

– Tam wcale nie będzie ci łatwiej.

– Czy to oznacza zgodę?

Aria skinęła głową.

– Ale tylko pod warunkiem, że do tego czasu będziesz miał oko na kogoś.

Soren znieruchomiał.

– Chodzi o Caleba? Nie ma problemu. Choć jest kompletnym...

– Nie jego miałam na myśli.

Soren mrugnął do niej.

– Chodzi ci o małego Dzikusa? Bratanka tego kretyna, którzy złamał mi szczękę?

– Zrobił to, bo mnie zaatakowałeś – szorstko odparła Aria. – Nie zapominaj o tym. I lepiej dobrze się zastanów, jeśli chcesz wyjść na zewnątrz w poszukiwaniu zemsty. Z Perrym nie masz szans.

Soren uniósł ręce do góry.

– Spokojnie, tygrysico. To było tylko pytanie. Czyli chcesz, żebym... bawił się w opiekunkę?

Pokręciła głową.

– Upewnij się po prostu, że jest bezpieczny bez względu na wszystko. I chcę się z nim zobaczyć.

– Kiedy?

– Teraz.

Soren ruszał szczęką to w jedną, to w drugą stronę, wpatrując się

w Arię.

– Dobra – odpowiedział w końcu. – Jestem ciekawy tego małego Dzikusa.

Dziesięć minut później siedziała na pomoście i patrzyła, jak Talon uczy Sorena zarzucać. Wysportowany, lubiący rywalizację Soren bardzo chciał się tego nauczyć, a Talon szybko to wyczuł. Gdy przyglądała się, jak chłopiec szczebiocze o przynętach, niespodziewanie poczuła falę optymizmu. Z nieznanego jej powodu tych dwóch wyrzutków świetnie się ze sobą dogadywało.

Kiedy opuszczała Sferę, wydając szereg komend, by wyłączyć Wizjer, Soren szamotał się z rybą na haczyku. Aria wrzuciła urządzenie z powrotem do torby i obudziła Roara.

Najwyższa pora spotkać się z Sable'em.

21 PEREGRINE

Tydzień po napadzie Perry obudził się w ciemności. Dom był spokojny i cichy, a ludzie Perry'ego leżeli w różnych miejscach pokoju niczym śpiące wzgórze. Przez szpary w okiennicach do pokoju sączyły się pierwsze promienie dnia.

Śnił o Arii. O chwili kiedy kilka miesięcy temu nakłoniła go, by dla niej zaśpiewał. Jego głos był szorstki i łamiący, kiedy śpiewał dla niej pieśń myśliwych. Słuchała go wtulona w jego ramiona.

Perry przycisnął palce do oczu i trzymał je tak długo, aż zobaczył iskry zamiast jej twarzy. Był takim głupcem.

Wstał i między śpiącą na podłodze Szóstką przeszedł pod antresolę i spojrzał na górę. Gren nadal nie wrócił ze swojej podróży do Marrona i Perry obawiał się, że Fale już głodują. Dostrzegł to po zmianie rysów na twarzy Willow. Słyszał to w ostrym tonie głosów Szóstki. W jego żołądku zadomowił się nieprzemijający ból, a wczoraj musiał zrobić w pasku kolejną dziurkę. Jeszcze tego nie czuł, ale bał się, że następna będzie słabość.

Perry nie mógł poświęcać więcej czasu na prace na polach, które niedługo mogą spłonąć. Wybili już większość dzikiej zwierzyny, upolowanie kolejnych zwierząt było bardzo trudne. Eterowe burze też tego nie ułatwiały. Znacznie częściej korzystali z darów morza, by każdego dnia mieć co włożyć do garnka. Nikt nie narzekał już na smak jedzenia. Głód sobie z tym poradził.

To, że znajdowali się blisko morza, zapewniało pewnego rodzaju przewagę, pożądaną przez wiele plemion. Codziennie otrzymywał raporty od zwiadowców o bandach, które węszyły przy granicach ich terytorium. Perry wiedział, że nie może już dłużej czekać na pomoc Marrona. Nie mógł czekać na kolejny napad czy burzę. Musiał działać.

Wspiął się po kilku szczeblach drabiny, aż wyraźnie zobaczył całą antresolę. Cinder leżał na materacu i cicho chrapał. W noc napadu uciekł tutaj, przerażony i zapłakany, i od tamtej pory nie dał się stąd wykurzyć. W dłoni zaciskał swoją czarną wełnianą czapkę.

Przypominał mu Talona, choć Perry nie był pewien dlaczego. Na oko Cinder wyglądał na pięć lat starszego od jego bratanka. Chłopcy mieli też zupełnie różne temperamenty. Perry spędził z Talonem niemal każdy dzień

jego życia aż do momentu porwania. Trzymał malca w ramionach i patrzył, jak pograża się we śnie, i dzień po dniu obserwował, na jakiego wrażliwego i mądrego chłopca wyrasta.

O Cinderze nie wiedział właściwie niczego. Chłopak ani pisał o swojej przeszłości czy niezwykłej mocy. A kiedy już mówił, był kąśliwy i porywczy. Choć trzymał wszystkich na dystans, Perry czuł się z nim związany. Może nie znał Cindera, ale go rozumiał.

Perry lekko go szturchnął.

– Obudź się. Musisz pójść ze mną.

Cinder od razu otworzył oczy i niezdarnie zszedł po drabinie, mocno przy tym tupiąc.

Obudził Reefa i Twiga. Obudził Hyde'a, Haydena, a nawet Marudera. Spojrzeli na siebie, po czym Reef powiedział:

– Ja pójdę. – Wstał i ruszył za Perrym.

Wszystko jedno, pomyślał Perry. I tak miał zamiar obudzić Reefa po drodze.

Od czasu napadu Szóstka jeszcze pilniej go strzegła. Perry postanowił się nie sprzeciwiać. Wziął łuk stojący przy frontowych drzwiach, zerkając na blizny, które sprawił mu Cinder. Jak wszyscy Perry był człowiekiem z krwi i kości. Ulegał oparzeniom i krwawił. Przeżył napad i eterową burzę, ale ile razy jeszcze uda mu się wymknąć śmierci? Był czas na ryzyko i czas na ostrożność. Zawsze trudno było mu między nimi wybierać, ale uczył się tego.

Niebieski, jarzący się eter płynął po niebie falami potężniejszymi niż podczas najsroźszej zimy. Nawet po wschodzie słońca, kiedy dzień trochę pojaśnieje, nadal pozostanie spowity niebieskim, chłodnym światłem.

Z Cinderem i Reefem przy boku Perry skierował się na północny szlak poza granicami wioski, prowadzący przez martwy las, gdzie zapach popiołu sprawił, że Reef zaczął kichać. Żaden z nich nie zapytał, dokąd Perry ich prowadzi, za co był im wdzięczny. Z każdym krokiem jego puls przyspieszał.

Zerknął na Cindera, którego podenerwowanie wytwarzało aurę tryskającej energią zieleni. Nie rozmawiali o tym, co zdarzyło się podczas napaści. Perry co dzień poświęcał kilka minut, by uczyć chłopca, jak posługiwać się łukiem. Cinder był okropny – nerwowy i niecierpliwy – ale się starał. Perry odniósł też wrażenie, że chłopiec przywiązał się do Willow, która ocaliła mu życie. Teraz siadywali razem w kantynie, a kilka dni temu na przystani Perry widział Willow ubraną w czapkę Cindera.

Polna droga, im dalej od wioski, robiła się coraz węższa. Ziemia była

tu nierówna i pełna kamieni, przez co nie nadawała się pod uprawę, była za to świetna do polowań. Kiedyś Perry spędzał tu dużo więcej czasu. Po godzinie szlak skręcił na zachód i doprowadził ich na nadmorski klif. Poniżej skały otaczały małą zatoczkę, a czarne głązy wszelkich rozmiarów sterczące na plaży wcinały się w wodę.

Perry spojrzał na Reefa i Cindera.

– Na dole znajduje się jaskinia, którą powinniście zobaczyć.

Reef odgarnął warkocze na plecy i spojrzał na Perry'ego wzrokiem, którego ten nie umiał rozszyfrować. Perry mógł próbować odszukać jego zapach, ale zdecydował się tego nie robić. Zszedł po skalistym zboczu, mijając skały, twarde piasek i kępy traw. Robił to setki razy z Roarem, Liv i Brooke. Wtedy takie zejście oznaczało wolność. Ucieczkę od niekończących się obowiązków w wiosce i od życia plemienia. Teraz zamiast odczuwać ochotę, by znaleźć się w kryjówce, Perry czuł, że zmierza w pułapkę.

Podenerwowany, zdał sobie sprawę, że porusza się zbyt szybko, i świadomie zwolnił, by zaczekać na Cindera i Reefa, którzy zrzucali małe lawiny kamieni, próbując dotrzymać mu kroku.

Kiedy w końcu stanęli na piasku, brakowało mu tchu, ale nie z powodu wspinaczki. Strome urwisko zakrzywiało się za ich plecami w kształt podkowy, przez co Perry od razu mógł poczuć przytłaczający ciężar skał. Fala rozbiła się o brzeg, ale Perry miał wrażenie, że rozbiła się w jego piersi. Nie wierzył w to, co robi, i co ma zamiar powiedzieć i pokazać.

– Tędy. – Poprowadził ich wąską szczeliną na powierzchni skały, tworzącą wejście do jaskini, i przecisnął się do środka, zanim zdołał zmienić zdanie. Musiał się nieco nachylić w wąskim przesmyku, po czym otworzyła się przed nim przepastna jama. Brał spokojne wdechy i wydechy, powtarzając sobie, że skały nad głową się nie zawałą. Nie przygniotą go niezmierzone ciężary.

W jaskini było zimno i mokro, a mimo to po plecach spływały mu krople potu. Jego nos wyczuł słonawy zapach, a w uszach rozbrzmiewała głucha cisza. Czuł ucisk w piersi – taki sam jak wtedy, gdy znajdował się pod wodą w dzień eterowej burzy. To bez znaczenia, że wcześniej był tu wiele razy – na początku zawsze czuł się tak samo.

W końcu zapanował nad oddechem i rozejrzał się wokół siebie.

Za jego plecami do jaskini przedzierało się światło dnia, które wystarczało, by zobaczyć, jak przepastna jest ta pieczara. Wyglądała jak wnętrze brzucha wielkiej góry. Spojrzał na stalagmit znajdujący się głębiej

– formację o kształcie meduzy, o opadających parzydełkach. Z tego miejsca formacja robiła wrażenie niewielkiej i wydawało się, że się znajduje nie dalej niż pięćdziesiąt metrów stąd. W rzeczywistości skała wielokrotnie go przewyższała i była sto metrów dalej. Wiedział o tym, bo kiedyś wystrzelili do niej strzałę. On i Brooke. Rok temu stał z nią w tym samym miejscu, podczas gdy Roar krzyczał głośno i śmiał się z odpowiadającego mu echa, a Liv oddaliła się od nich i w pojedynkę badała odległe zakamarki kryjówek.

Reef i Cinder w ciszy stali teraz przy Perrym, rozglądając się wokół szeroko otwartymi oczami, które błyszczały w przyćmionym świetle. Perry zastanawiał się, czy widzą to co on.

Perry odchrząknął. Nadszedł czas na wyjaśnienia. Na usprawiedliwienie czegoś, czego nie mógł znieść i do czego nie chciał się przyznać.

– Musimy mieć jakieś miejsce, jeśli stracimy wioskę. Nie będziemy się włóczyć po ziemiach niczyich w poszukiwaniu jedzenia i schronienia przed eterem. Tu zmieścimy się wszyscy... wokół znajdują się tunele, które prowadzą do innych jaskiń. Łatwo też będzie się nam obronić. Jaskinia nie spłonie. Możemy łowić w zatoce, a w środku znajduje się źródło pitnej wody.

Każde słowo wymawiał z wysiłkiem. Nie chciał musieć tego mówić. Nie chciał sprowadzać swoich ludzi pod ziemię, do tak ciemnego miejsca, by żyli niczym duchy morskich głębin.

Reef przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Uważasz, że do tego dojdzie?

Perry pokiwał głową.

– Znasz ziemie niczyje lepiej niż ja. Myślisz, że chcę na to narazić Rivera i Willow? – odpowiedział.

Perry spróbował to sobie wyobrazić. Trzysta osób pod otwartym, niebezpiecznym niebem, otoczonych przez ogniska i bandy Rozproszonych. Wyobraził sobie Krukorów – kanibali w czarnych pelerynach i maskach kruków – otaczających ich, jakby byli stadem, które pożra jednego po drugim. Perry nie mógł do tego dopuścić.

Cinder przestępował z nogi na nogę, przyglądając się im bez słowa.

– Musimy być przygotowani na najgorsze – ciągnął Perry. Jego głos echem niósł się po jaskini. Zastanawiał się, jak to będzie z setkami głosów.

Reef pokręcił głową.

– Nie wiem, jak to zrobisz. Przecież to *jaskinia!*

– Znajdę jakiś sposób.

– To nie jest dobre rozwiązanie, Perry.

– Wiem. – To była ostateczność. Przybycie tutaj równało się w jego oczach staniu na dziobie tonącego statku. Schronienie w jaskini nie było rozwiązaniem ich kłopotów. Rozwiązanie miało nadejść wraz z powrotem Arii i Roara. Dzięki temu zyskają jednak na czasie, zanim woda zupełnie ich zatopi.

– Kiedyś nosiłem łańcuch – powiedział Reef po długim milczeniu. – Był podobny do twojego.

Perry'ego zaskoczyło to wyznanie. Reef był kiedyś Wodzem Krwi? Nigdy o tym nie wspomniał, choć Perry powinien był się domyślić. Reef był tak zdeterminowany, by czegoś go nauczyć, by uchronić go przed porażką.

– To było wiele lat temu. Czasy były wtedy inne. Ale znam niektóre twoje problemy. Popieram cię, Peregrine. Wspierałbym cię nawet wtedy, gdybym nie złożył ci przysięgi. Plemię jednak będzie się sprzeciwiać twojemu pomysłowi.

Perry także o tym wiedział. To dlatego przywiódł tu Cindera.

– Daj nam parę minut – powiedział do Reefa.

– Poczekam na zewnątrz – odparł.

– Zrobiłem coś nie tak? – zapytał Cinder, kiedy Reef zniknął w szczelinie.

– Nie. Nie zrobiłeś.

Grymas zniknął z twarzy chłopca.

– Wiem, że nie chcesz mówić o sobie – powiedział Perry. – Rozumiem to, nawet nie wiesz jak dobrze. I nie zapytałbym cię, gdybym nie musiał. A teraz muszę. – Przeniósł ciężar ciała na drugą nogę, żałując, że musi naciskać na Cindera. – Muszę wiedzieć, co potrafisz zrobić z eterem. Czy możesz mi powiedzieć, czego się spodziewać? Czy możesz to jakoś kontrolować? Muszę wiedzieć, czy istnieje jakieś inne rozwiązanie, jakikolwiek sposób, by uniknąć naszego losu.

Cinder przez chwilę stał nieruchomo. Potem ściągnął czapkę i zatknął ją sobie za pas. Poszedł w głąb jaskini i po kilku krokach odwrócił się, by spojrzeć na Perry'ego. Żyły na jego szyi miały w sobie blask eteru, który wsiąkał w twarz chłopca niczym woda w suche koryto rzeki. Jego ręce się ożywiły, a oczy jaśniały w ciemności jak dwa niebieskie punkty.

Eter zakłuł Perry'ego w głębi nosa, a jego serce zabiło jak oszalałe. Wtedy – z takim samym natężeniem, z jakim wcześniej nabierał jaskrawości – eter w żyłach Cindera zbladł, a pieczenie ustało. Znow stał

przed nim chłopiec, którego znał.

Cinder naciągnął na głowę czapkę, odgarniając z oczu kosmyki jasnych włosów. Przez chwilę wpatrywał się w Perry'ego szeroko otwartymi oczami, aż w końcu powiedział:

– Tutaj jest trochę ciężiej. Nie mogę przywołać eteru tak łatwo jak wtedy, gdy jestem na zewnątrz, bezpośrednio pod niebem.

Perry przysunął się bliżej Cindera, chcąc zadać pytania, które nurtowały go od miesięcy.

– Jakie to uczucie?

– Zwykle jestem oziębiały i przemęczony, jak teraz. Ale kiedy go przywołuję, czuję siłę i lekkość. Czuję się jak ogień. Jakbym był częścią wszystkiego. – Podrapał się po brodzie. – Nie umiem długo wytrzymać w takim stanie. Zaraz muszę to odepchnąć. Ściągam tę siłę, a potem ją odpycham. Nie jestem w tym bardzo dobry. Tam, skąd pochodzę, w Rhapsody, były dzieciaki, które dużo lepiej dawały sobie z tym radę.

Serce Perry'ego waliło jak dzwon. Rhapsody to Kapsuła Podu znajdująca się wiele kilometrów od Reverie.

– Jesteś Osadnikiem?

Cinder pokręcił głową.

– Nie wiem. Nie pamiętam zbyt wiele sprzed czasów, gdy znalazłem się na zewnątrz. Ale chyba mogłem nim być. Kiedy spotkałem w lesie ciebie i Arię, nie odniosłem wrażenia, żebyś jej nienawidził. Dlatego za tobą poszedłem. Pomyślałem, że może mnie też zaakceptujesz.

– Słusznie – odparł Perry.

Cinder uśmiechnął się. Jego uśmiech był jak iskra w ciemności, która szybko zgasła.

Przez głowę Perry'ego przebiegały setki pytań o to, jak Cinder wydostał się z Rhapsody. O inne, podobne do niego dzieci. Musiał być jednak delikatny. Wiedział, że należy pozwolić Cinderowi, by sam mu o tym wszystkim opowiedział.

– Gdybym mógł ci pomóc z eterem, zrobiłbym to – bezpośrednio oznajmił Cinder. – Ale nie mogę... po prostu nie mogę.

– Dlatego że potem czujesz się słaby? – zapytał Perry, przypominając sobie, jak Cinder cierpiał po ich starciu z Krukami. Dzięki eterowi chłopiec unicestwił całą bandę kanibali. Ocalił życie Perry'emu, Arii i Roarowi, ale po wszystkim zrobił się zimny jak lód i był tak wyczerpany, że stracił przytomność.

Cinder wychylił się, by spojrzeć za plecy Perry'ego, jakby bał się, że nakryje ich Reef.

– Nie martw się – powiedział Perry. Ufał Reefowi, a zapach Cindera i tak pewnie wzbudził w nim już jakieś podejrzenia. Perry wiedział jednak, że Cinder czuje się bezpieczny tylko przy nim. – Reef jest na zewnątrz i będzie tam czekał. Jesteśmy tu tylko ty i ja.

Po tym zapewnieniu Cinder skinął głową i znów zaczął mówić.

– Za każdym razem gdy jest już po wszystkim, czuję się gorzej. To tak, jakby eter zabierał część mnie. Ledwo mogę oddychać, tak to boli. Pewnego dnia eter weźmie ze mnie wszystko. Wiem, że tak się stanie. – Ze złością otarł łzę z policzka. – To wszystko, co mam – powiedział. – To jedyna rzecz, jaką mogę zrobić, i bardzo się jej boję.

Perry powoli odetchnął, chłonąc wszystkie informacje. Za każdym razem gdy Cinder używał swojej mocy, igrał ze śmiercią. Perry nie miał prawa go o to prosić. Ryzykować własnym życiem to co innego. Nie mógł jednak wymagać tego od niewinnego chłopca. Ani teraz, ani nigdy.

– A kiedy nie używasz tej mocy, czujesz się dobrze?

Cinder spuścił wzrok i pokiwał głową.

– Więc tego nie rób. Nie wzywaj eteru. Z żadnego powodu.

– Więc nie jesteś na mnie zły? – zapytał Cinder, spoglądając na Perry'ego.

– Bo nie możesz ocalić dla mnie Fal? – Perry pokręcił głową. – Nie. Ani trochę. Ale w pewnej kwestii się mylisz. Eter nie jest jedyną rzeczą, którą masz. Jesteś teraz częścią naszego plemienia i nie różnisz się od pozostałych Fal. I masz mnie. Rozumiemy się?

– Rozumiemy – odparł Cinder, próbując powstrzymać się od uśmiechu. – Dzięki.

Perry lekko szturchnął go w ramię.

– Może kiedyś pożyczysz mi swoją czapkę. Jeśli Willow się zgodzi. Cinder przewrócił oczami.

– To było... to znaczy, ona nie....

Perry się roześmiał. Dokładnie wiedział, o co chodziło.

Wracając do wioski, napotkali biegnącego po nich Twiga.

– Gren wrócił – wydyszał z siebie. – Przyprowadził ze sobą Marrona. Marron przybył do wioski? To nie miało sensu. Wysłał Grena po zapasy. Nie spodziewał się, że przyjaciel dostarczy je osobiście.

Kiedy Perry wszedł do wioski, zobaczył grupę około trzydziestu brudnych, ogorzałych podróżnych. Molly i Willow rozdawały im wodę, a Gren stał przy nich ze zmartwioną miną.

– Dobrze, że wróciłeś – powiedział Perry, ściskając mu dłoń na powitanie.

– Spotkałem ich po drodze – oznajmił Gren – i przyprowadziłem. Wiedziałem, że tego byś chciał.

Rozglądając się w tłumie, Perry prawie przegapił Marrona, który wyglądał teraz jak ktoś zupełnie inny. Jego szyty na miarę płaszcz był zakurzony, a koszula pod spodem pomięta i poplamiona od potu. Blond włosy – zwykle idealnie przyczesane – sprawiały wrażenie matowych, brudnych od potu i pyłu. Jego twarz była opalona i straciła swój owalny kształt. Marron wyglądał na zmęczonego.

– Nie daliśmy rady – powiedział Marron. – Były ich tysiące. – Wziął haust powietrza, próbując opanować emocje. Nie byłem w stanie ich powstrzymać. Napastników było zbyt wielu.

Serce Perry'ego na chwilę przestało bić.

– Napadli was Krukorzy?

Marron pokręcił głową.

– Nie. To zjednoczone plemiona Róż i Nocy. Przejęli Delfy.

Perry przyglądał się nowo przybyłym – stojącym blisko siebie kobietom i mężczyznom. Połowę z nich stanowiły dzieci. *Połowę*. Były tak zmęczone, że ledwie trzymały się na nogach.

– A pozostali? – Marron miał przecież pod sobą setki ludzi.

– Niektórzy zostali zmuszeni do pozostania na miejscu. Inni dobrowolnie podjęli taką decyzję. Nie winię ich. Wyruszyłem z dwa razy większą grupą, ale wielu zawróciło. Nie jedliśmy...

Niebieskie oczy Marrona wypełniły się łzami. Z kieszeni wyciągnął idealnie złożoną chusteczkę, której materiał był tak samo podarty i brudny jak strój właściciela. Marron skrzywił się, jakby zaskoczył go jej stan, więc z powrotem włożył ją do kieszeni.

Jego obdarta grupa patrzyła na wszystko w milczeniu. Mieli martwe twarze, a ich uczucia były stłumione i oziębiałe. Perry zdał sobie sprawę, że to samo mogło się przydarzyć jego ludziom, gdyby stracili swoją wioskę i zostali wygnani na ziemie niczyje. Jego wątpliwości dotyczące jaskini zaczęły blednąć.

– Nie mamy gdzie się podziać – powiedział Marron.

– Nie musicie szukać innego schronienia. Możecie zostać z nami.

– Przyjmujemy ich? – zapytał Twig. – A jak ich wykarmimy?

– Damy radę – odrzekł Perry, choć nie był tego całkiem pewny.

Jedzenia ledwie wystarczało dla Fal. Co mógł jednak zrobić? Nigdy nie odmówiłby Marronowi.

– Pomóż im się zadomowić – nakazał Reefowi.

Marrona zabrał do swojego domu. Gdy tam dotarli, nastrój Marrona

zrobił się jeszcze bardziej ponury, aż w końcu na jego policzkach pojawiły się łzy. Perry usiadł z nim przy stole, równie poruszony. Marron korzystał z najwygodniejszych łóżek i najlepszego jedzenia tak często, jak tylko zapragnął. Otaczał go mur, którego dzień i noc pilnowali łucznicy. Teraz stracił wszystko.

Tego samego wieczoru przy kolacji – bardzo rozwodnionej zupie rybnej – Perry usiadł z Marronem przy stole i spojrzał na kantinę. Fale nie chciały mieć nic wspólnego z ludźmi Marrona. Siedzieli oddaleni od siebie i mierzyli się wzrokiem zza oddzielnych stołów. Perry nie rozpoznawał już swojego plemienia. Ludzie przychodzili i odchodzili, co tylko wprawiało Fale w niepokój.

– Dziękuję – cicho powiedział Marron. Wiedział, jakie obciążenie nakłada na Perry'ego.

– Nie ma potrzeby. Jutro zaprzęgnę was do roboty.

Marron pokiwał głową, a jego niebieskie oczy zabłysły przenikliwą ciekawością, którą Perry dobrze pamiętał.

– Oczywiście, co każesz.

22 ARIA

Aria mogła się spodziewać po Rogach wielu rzeczy, ale nie tego, co zobaczyła. Z zachwytem przyglądała się każdemu skrawkowi ich terenów, kiedy wiejską drogą zbliżali się z Roarem do głównej siedziby plemienia. Wyobrażała sobie Rim jako otoczoną murem wioskę, podobną do siedziby Fal, zobaczyła jednak coś zgoła innego.

Szli drogą, która prowadziła ich przez dolinę dużo większą niż Dolina Fal. Ziemie uprawne rozpościerały się na wszystkich zboczach sięgających po niebo gór o ośnieżonych szczytach. Tu i ówdzie zobaczyła srebrzyste blizny pozostawione przez eterową burzę. W kwestii pożywienia Sable musiał się mierzyć z podobnymi przeciwnościami. Ta świadomość dała jej poczucie przewrotnej satysfakcji.

W oddali zobaczyła miasto: skupisko wież różnej wysokości, osadzonych pod skalną ścianą. Wieże były połączone balkonami i mostami, co tworzyło chaotyczną sieć i nadawało Rimowi bezładny wygląd rafy koralowej. Nad wszystkim górowała budowla o ostrym dachu, wyglądającym jak grot włóczni. Obok miasta przepływała Wężowa Rzeka, tworząc naturalną fosę, nad jej brzegami wznosiły się drobniejsze domostwa.

Prądy eteru płynęły po przedpołudniowym niebie jasnymi, wartkimi strumieniami, co podkreślało surowy wizerunek osady. Burza, przed którą uciekali, dogoniła ich aż tutaj.

– Nie to samo co wioska Fal, prawda? – odezwała się Aria, unosząc brew.

– Nie całkiem – odparł Roar, kręcąc głową, ale ani na moment nie spuszczał wzroku z miasta.

Im bliżej byli bram, tym więcej osób z torbami w dłoniach lub pchających taczki mijali na trakcie. Aria zauważyła, że Naznaczeni nosili tu specjalne ubrania, które odsłaniały ich ramiona, ujawniając ich Zmysł. Dla mężczyzn były to kamizele, a dla kobiet koszule rozcięte na ramionach. Aria poczuła przypływ adrenaliny, kiedy przejechała dłonią po swojej bluzce, wyobrażając sobie niechlujny tatuaż pod spodem.

Roar trzymał się blisko niej, kiedy razem z innymi ludźmi wchodzili na brukowany most. Uszu Arii dobiegały urywane rozmowy.

– ... burza kilka dni temu...

- ... znajdź brata i każ mu iść do domu...
- ... gorsze zbiory niż rok temu...

Most doprowadził ich do wąskich uliczek, wyznaczonych przez wysokie na kilka pięter kamienne domy. Aria szła przodem główną ulicą miasta. Ulica była wąska i ciemna niczym tunel. Tłoczyli się na niej ludzie, a ich głosy odbijały się echem od kamiennych ścian. Rynsztoki pełne były ścieków, a do nosa dziewczyny dobiegał z nich wstrętny smród. Rim był wielki, ale już na pierwszy rzut oka Aria wiedziała, że nie jest tak nowoczesny jak gród Marrona.

Ulice pięły się i wiły w górę, by gwałtownie się zakończyć przy głównej wieży. Ciężkie drewniane wrota prowadziły do kamiennej komnaty oświetlonej pochodniami. Strażnicy w schludnych czarnych mundurach z czerwonymi rogami jelenia wyszytymi na piersi obserwowali ludzi wchodzących do środka.

Kiedy Aria i Roar podeszli do nich, postawny strażnik o gęstej czarnej brodzie zagroził im drogę.

- W jakiej sprawie? – zapytał.
- Przybyliśmy od plemienia Fal, by zobaczyć się z Sable'em – powiedziała.
- Zostańcie tutaj. – Zniknął w środku.

Aria miała wrażenie, że minęła godzina, zanim pojawił się kolejny strażnik, który zmierzył wzrokiem Roara.

– Naznaczony? – zapytał. Miał krótko przycięte włosy, które tak ciasno przylegały do skóry, że robiły wrażenie zgolonych, i niecierpliwy wzrok. Rogi na jego piersi wyszyte były srebrną nitką.

Roar pokiwał głową.

– Jestem Audem.

Strażnik przeniósł wzrok na Arię, a jego niecierpliwość zniknęła.

– A ty?

– Nienaznaczona – odpowiedziała. Częściowo była to prawda.

Dokładnie w połowie.

Strażnik lekko uniósł brwi i zmierzył ją wzrokiem, zatrzymując się na pasku.

– Piękne noże. – Jego ton był zalotny i zadziorny.

– Dziękuję – odparła Aria. – Są zawsze ostre.

Uśmiechnął się z rozbawieniem.

– Za mną.

Aria wymieniła spojrzenie z Roarem i oboje weszli do środka.

W końcu nadszedł ten moment. Teraz nie mogli się wycofać.

Przepastne wnętrze lekko cuchnęło pleśnią i zepsutym winem. Było zimno i wilgotno. Nawet przy otwartych drewnianych okiennicach i lampionach kamienny korytarz był ciemny i posępny. Szmer głosów, który dobiegał jej uszu, stawał się coraz głośniejszy.

Roar szedł tuż przy niej i mierzył wygłodniałym wzrokiem każdą postać i każde pomieszczenie, które mijali po drodze. Aria nie mogła nawet przypuszczać, jak się czuł. Po tylu miesiącach poszukiwań w końcu zobaczy Liv.

Przeszli przez szeroki próg i znaleźli się w sali równej rozmiarem kantynie w wiosce Fal, ozdobionej łukowatymi sklepieniami, które przypominały jej wnętrza gotyckich katedr. Trwał posiłek. Dziesiątki strażników siedziały przy stołach, niczym morze czerni i czerwieni. Sable trzymał swoich wojowników blisko siebie.

Fuks, pomyślała. Bała się, że Sable wyczuje jej emocje. Choć może w takim tłumie nie wyłapie strachu, który ją wypełniał.

Na przeciwnym końcu sali znajdowało się podwyższenie, na którym siedziało kilku mężczyzn i kilka kobiet. Żadne z nich nie miało na szyi łańcucha Wodza Krwi.

– Nie widzę go – powiedział strażnik. – Ale może ty go dostrzeżesz. Ma krótkie włosy. Niebieskie oczy. Jest mniej więcej mojego wzrostu. A właściwie dokładnie mojego wzrostu.

Jego żartobliwy ton sprawił, że Arię przeszedł dreszcz. Patrzyła na strażnika – na Sable’a – który stał tuż przy jej boku.

Był starszy, niż się spodziewała – po trzydziestce. Średniego wzrostu i średniej budowy, o wyrafinowanych, proporcjonalnych rysach, a mimo to niewyróżniających go. Gdyby nie jego chłodne jak stal spojrzenie, uznałaby go za przeciętnego. To oczy – pewne siebie, przebiegłe, zaciekawione – sprawiły, że zwyczajny mężczyzna nagle stawał się atrakcyjny.

Sable uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony ze swojego fortelu.

– Przychodzicie od Fal, ale nie zapamiętałem waszych imion.

– Aria i Roar – odpowiedziała Aria, najpierw odchrząknawszy.

– Gdzie jest Liv? – zapytał Roar.

Sable przeniósł na niego wzrok i przymrużył powieki.

– Olivia dużo o tobie opowiadała.

Mijały sekundy. Sala wrzała od rozmów. Serce Arii kołatało jak szalone. Śledziła, jak tors Sable’a powiększa się i kurczy z każdym wydechem i wdechem. Wiedziała, że wyczuwa on gniew Roara. Jego zazdrość. Rok zmartwień i troski o Liv.

– Cóż to będzie za spotkanie! – w końcu powiedział Sable. –
Chodźcie. Zaprowadzę was do niej.

Wyszli z sali i wrócili do mrocznych korytarzy. Aria próbowała zapamiętać tę trasę, ale korytarze były kręte i prowadziły to w górę, to w dół, po czym znów skręcały. Mijali drzwi i lampiony zawieszane na ścianach, ale nie widzieli żadnych okien czy wyróżniających elementów, które mogłyby wskazać drogę powrotną. Aria czuła się uwięziona jak w labiryncie, który kiedyś odwiedziła w Sferach. Przed jej oczami na ułamek sekundy pojawił się obraz lochu, sprawiając, że zjeżyły się jej włosy na karku. Gdzie Sable trzymał Liv?

– Jak sobie radzi młody Wódz Krwi Fal? – rzucił Sable przez ramię. Aria nie widziała jego miny, ale ton głosu miał lekki i niezobowiązujący. Przeczynała, że Sable wie, iż Perry stracił część plemienia. Pytanie wydawało się raczej sprawdzianem niż poszukiwaniem informacji.

– Radzi sobie – odparł Roar.

Sable roześmiał się w ciemności, gładko i ujmująco.

– Wyważona odpowiedź.

Zatrzymał się przed ciężkimi, drewnianymi drzwiami.

– Jesteśmy na miejscu.

Wyszli na duży, brukowany dziedziniec, po którym niesły się okrzyki wiwatującego tłumu. Zamek wokół – bo tak najlepiej Aria mogła określić pełną zakamarków twierdzę Sable’a – wznosił się na dziesiątki metrów jako taka sama chaotyczna mozaika balkonów i pasaży, którą widziała z daleka. Górowała nad nimi gładka, strzelista, szara ściana góry, dzieląc niebo z żywą siatką eteru.

Aria szła za Sable’em ku zgromadzonym na środku dziedzińca, czując, jak szybciej pulsuje w niej krew, świadoma kroków Roara tuż przy swoim boku. Ponad wiwatami słyszała brzęk stali. Widzowie rozstąpili się na widok Sable’a, pozwalając im przejść. Aria dostrzegła w oddali mignięcia blond włosów.

Wtedy ją zobaczyła.

Liv wymachiwała mieczem w walce przeciw żołnierzowi swojego wzrostu – mierzącemu niemal metr osiemdziesiąt. Jej włosy, ciemne i jasne blond pasma, sięgały do połowy pleców. Miała szeroko rozstawione oczy, wyraźną linię żuchwy i wysokie kości policzkowe. Nosila skórzane botki, wąskie spodnie i koszulkę bez rękawów, która ukazywała jej smukłe, wyrzeźbione ramiona.

Była silna. Jej twarz. Jej ciało. Cała ona.

Jej techniką walki była siła i zdecydowanie. Walczyła tak, jakby

z każdym ruchem nurkowała w morzu. „Są do siebie tacy podobni”, powiedział kiedyś Roar, opowiadając jej o Perrym i Liv. Aria widziała to teraz na własne oczy.

Liv sprawiała wrażenie, że czuje się swobodnie i w pełni kontroluje sytuację. W niczym nie przypominała uwięzionej dziewczyny, którą wyobrażał sobie Roar. Aria zerknęła na niego, zauważając, że jest blady jak kreda. Nigdy wcześniej nie widziała, by coś tak nim wstrząsnęło. Poczwała nagłą potrzebę, by się nim zaopiekować.

Liv zrobiła unik, by uchronić się przed wysokim zamachem przeciwnika, ale pchnięcie, które po nim nastąpiło, otarło jej policzek. Momentalnie odsunęła głowę. Choć większość poddałaby się na tym etapie, Liv szybko się pozbierała i zaskoczyła przeciwnika ciosem w brzuch. Kiedy się ugiął, z nieustępliwością przyłożyła mu łokciem w tył głowy, powalając mężczyznę na kolana, gdzie już pozostał, kaszląc i zataczając się od silnie zadanych mu pchnięć.

Liv z uśmiechem oparła stopę na jego łopatkach.

– Wstawaj, Loran. Niemożliwe, że tylko na tyle cię stać.

– Nie mogę. Złamałaś mi zebro. Jestem tego pewien. – Żołnierz podniósł głowę, spoglądając w ich stronę. – Powiedz jej coś, Sable. Ta dziewczyna nie ma litości. Tak się nie trenuje.

Sable roześmiał się tym samym uwodzicielskim śmiechem, który Aria słyszała w korytarzach.

– Mylisz się, Loran. Tylko tak się trenuje.

Liv odwróciła się, zauważając Sable'a, i jej uśmiech na chwilę się rozszerzył. Wtedy dostrzegła Roara. Mijały sekundy, a ona nie mogła się ruszyć. Nie odwróciła wzroku. Nie mrugnawszy nawet okiem, uniosła miecz i zatknęła go za plecami.

Gdy się do nich zbliżała, Aria nie mogła przestać gapić się na dziewczynę, o której tyle słyszała przez ostatnie miesiące. Dziewczynę, która miała we władaniu serce jej najlepszego przyjaciela. W której płynęła ta sama krew co w Perrym.

– Co tu robisz? – zapytała. Pchnięcie, które otarło jej policzek, zostawiło czerwony ślad, ale reszta jej twarzy straciła kolor. Była tak blada jak Roar.

– Mógłbym cię zapytać o to samo. – Słowa Roara były obojętne, ale jego głos kipiał od emocji, a żyły na jego szyi nabrzmiały. Ledwie nad sobą panował.

Sable patrzył to na jedno, to na drugie i się uśmiechał.

– Twoi przyjaciele przybyli na ślub.

Arii zamarzła krew w żyłach.

Sable dostrzegł jej zaskoczenie.

– Nie wiedziałaś? – zapytał, unosząc brew. – Wysłałem wiadomość waszemu plemieniu. Przybyliście w samą porę. Liv i ja staniemy się małżeństwem już za trzy dni.

Małżeństwem. Liv wychodziła za mąż. Aria nie wiedziała, co ją tak zaszokowało. Była to przecież część umowy zawartej pomiędzy Vale'em a Sable'em. Liv miała zostać żoną wodza w zamian za jedzenie. Coś tu jednak wydawało się nie w porządku i budziło jej podejrzenia.

Wtedy zobaczyła, jak blisko siebie stoją Liv i Sable. Oni stali *razem*.

Sable pogładził palcem ślad na policzku Liv. Jego dotyk był przeciągły – palce powędrowały wzdłuż jej szyi, tym samym jego gest stał się bardzo zmysłowy.

– Do tego czasu siniec przybierze odcień czystej purpury. – Sable objął Liv w pasie. – Ukaralbym Lorana, ale zrobiłaś to za mnie.

Liv ani na chwilę nie spuściła wzroku z Roara.

– Niepotrzebnie przybyliście – odezwała się. Sens jej słów był dla Arii jasny: to Roar niepotrzebnie przybył. Liv chce wyjść za mąż.

U Arii wystąpiła niekontrolowana wściekłość. Dziewczyna gryzła wewnątrz wargę, aż poczuła smak krwi. Roar zamienił się w kamień. Musiała go stąd zabrać.

– Czy moglibyśmy gdzieś odpocząć? To była długa podróż.

Liv zamrugła powiekami, po raz pierwszy odnotowując obecność Arii. Patrzyła to na Roara, to na nią, oddychając równomiernie.

– Kim jesteś?

– Wybacz moje maniery – odezwał się Sable. – Myślałem, że się znacie. Liv, poznaj Arię. – Gestem ręki przywołał jednego ze swoich ludzi.

– Pokaż im pokoje gościnne przy mojej komnacie – polecił, po czym uśmiechnął się od ucha do ucha. – Później w czwórkę zjemy kolację. Będziemy dziś świętować.

Pokój Arii był zimny i skromnie urządzony: proste łóżko i krzesło z oparciem z rogów jelenia. Jedyne światło dochodziło przez obskurne okno z fazowanego szkła, osadzone głęboko w grubej ścianie z kamienia.

Pokój Roara znajdował się przez ścianę, ale przyjaciel poszedł za nią. Aria zamknęła drzwi i objęła go mocno. Jego mięśnie były tak napięte, że aż drżał.

– Nie rozumiem. Liv pozwoliła mu się dotknąć.

– Wiem. Tak mi przykro – odpowiedziała, krzywiąc się na dźwięk smutku w jego głosie.

Nie wiedziała, co innego mogłaby powiedzieć. Pamiętała rozmowę, jaką odbyli niedługo po opuszczeniu Fal. Nadal czuła w sobie jad zatruwający jej ciało, a żołądek skręcał się na myśl, że zostawiła Perry'ego. Roar mówił wtedy o prawdzie. Dziś stracił prawdę, tak jak ona straciła ją miesiące temu, kiedy dowiedziała się, że w połowie jest Wykluczona. Jej życie opierało się na fundamencie, który nagle się rozpadł, a ona nadal nie odnalazła równowagi. Żadne jej słowa nie mogły mu teraz pomóc, obejmowała go więc tak długo, aż zdołał ustać samodzielnie.

Kiedy od siebie odstąpili, zmroziła ją złość w jego brązowych oczach. Aria pochwyciła jego dłoń. *Roar, tylko nie zrób nic Sable'owi. On tylko na to czeka. Nie daj mu powodu, by mógł cię skrzywdzić.*

Nie odpowiedział. Aria pierwszy raz żałowała, że nie może dosłyszeć jego myśli.

Pokręcił głową.

– Nie. Ty mu go nie daj. – Odsunął się i usiadł, opierając się plecami o drzwi.

Aria usiadła na łóżku i rozejrzała się po niewielkim pokoju. Nie wiedziała, co robić. Przez ostatnie dwa tygodnie tak tu się spieszyli, że niemal biegli. Teraz, gdy w końcu znaleźli się na miejscu, czuła się jak w pułapce.

Roar przyciągnął do siebie kolana i oparł głowę na dłoniach. Jego przedramiona były napięte, a palce mocno zaciśnięte. Za kilka godzin będą jeść posiłek z Liv i Sable'em. Jak by to było siedzieć przy stole naprzeciw Perry'ego i innej dziewczyny? Patrząc, jak gładzi jej policzek, tak jak Sable dotknął Liv? Nigdy nie było mowy o tym, by mogli opuścić Rim bez Liv. Przez myśl im nawet nie przeszło, że Liv mogłaby chcieć tu zostać.

Aria położyła swoją torbę na kolanach, czując mały wzniesienie pod podszewką. Wcześniej owinęła Wizjer w kawałek szmatki, razem z garścią sosnowych igieł, by zamaskować jego syntetyczny zapach, na wypadek gdyby Sable przeszukał jej rzeczy. Co chwila słyszała ciężkie kroki strażników na korytarzu, a drzwi nie miały zamka. Podczas ich pobytu tutaj kontaktowanie się z Hessem lub Sorenem będzie niemal niemożliwe.

Przeszukiwała torbę, aż znalazła figurkę sokoła. Poczowała nagle i silne ukłucie tęsknoty. Przypomniała sobie, jak Perry w noc ceremonii opierał się o drzwi sypialni Vale'a, trzymając kciuki zatknięte za paskiem. Wyobraziła sobie jego wąskie biodra i szerokie ramiona. Całą jego uwagę skupioną na niej. Za każdym razem gdy patrzył na nią, czuła, że widzi ją taką, jaka jest naprawdę.

Mając ten obraz w głowie, udawała, że może rozmawiać z Perrym przez figurkę sokoła, tak jak rozmawia z Roarem.

Jesteśmy na miejscu, Perry, ale nie jest dobrze. Twoja siostra... bardzo chciałam ją polubić, ale nie mogę. Przykro mi – nie mogę. Może źle zrobiłam, wyruszając bez ciebie. Może gdybyś tu był, namówiłbyś Liv, by nie wychodziła za Sable'a, i pomógłbyś nam odnaleźć Wielki Błękit. Obiecuję ci jednak, że znajdę jakiś sposób.

Tęsknię za tobą.

Tęsknię. Tęsknię. Tęsknię.

Przygotuj się, bo kiedy znów się spotkamy, już nigdy cię nie opuszczę.

23
PEREGRINE

– A niech mnie, Peregrine – powiedział Marron. Wyciągał szyję, przyglądając się z zachwytem przepastnej jamie. – Co za miejsce!

Perry przyprowadził go tam z samego rana, wyjaśniając po drodze sytuację Fal i podtrzymując Marrona za ramię, kiedy sprowadzał go po skarpie. Teraz koncentrował się jedynie na wyrównaniu oddechu, kiedy za Marronem zagłębiał się w grocie.

– Daleko jej do ideału – powiedział Perry, podnosząc wyżej pochodnię.

– Ideały należą do świata, który tylko mędrcy potrafią zrozumieć – powiedział Marron cicho.

– To chyba ty.

Marron spojrzał mu w oczy i uśmiechnął się ciepło.

– To raczej Sokrates. Ale ty również jesteś mądry, Perry. Nie byłem przygotowany na wypadek utraty Delf. Bardzo tego żałuję.

Zamilkli. Perry wiedział, że Marron myśli o domu i ludziach, których stracił. Wiele miesięcy wcześniej Perry przyglądał się, jak u niego na dachu Roar i Aria trenują walkę na noże. To tam pocałował ją po raz pierwszy.

Perry odchrząknął. Jego myśli odbiegały w stronę, w którą nie chciał się teraz zagłębiać.

– Chcę sprowadzić tu plemię, zanim zostaniemy wygnani. Powinniśmy opuścić wioskę na naszych warunkach.

– O tak – zgodził się Marron. – Od razu musimy rozpocząć przygotowania. Będziemy potrzebować świeżej wody, oświetlenia i wentylacji. Ogrzewania i miejsca na składowanie żywności. Dostęp tu jest słaby, ale możemy go poprawić. Mógłbym skonstruować blok, na którym spuścimy cięższe zapasy.

Lista potrzeb ciągnęła się dalej. Perry słuchał, w końcu rozpoznając w Marronie mężczyznę, którego znał od dawna: łagodnego, skrupulatnego, błyskotliwego. Zastanawiał się, jak kiedykolwiek mógł on uważać siebie za zbędny balast.

Kiedy wrócili do wioski, Perry zarządził spotkanie w kantynie, żeby przedstawić swoim ludziom plan przeprowadzki do jaskini. Tak jak się spodziewał, na tę wiadomość nogi się pod nimi ugięły.

– Nie sędę, byśmy byli w stanie tam przetrzymać, choćby krótko – powiedział Bear. Miał czerwoną twarz, a z czoła kapał mu pot. Perry nigdy wcześniej nie widział go tak rozzłoszczonego. – Radziliśmy sobie z eterem w czasie zimy – mówił dalej. – A ty spodziewasz się jedynie nadejścia najgorszego, jakbyś się poddał.

– Nie spodziewam się nadejścia najgorszego – odpowiedział mu Perry. – Najgorsze już nadeszło! Jeśli potrzebujesz dowodów, wystarczy, że spojrzysz w niebo albo na hektary ziemi, które spłonęły w ostatnim miesiącu. I teraz nie jest jak zimą. Nic nie poradzę. Prędzej czy później będziemy musieli się zmierzyć z kolejnym plemieniem albo z kolejną burzą, która nas pokona. Musimy wykonać pierwszy krok i nie czekać, aż to nastąpi. Musimy działać teraz, póki jeszcze możemy.

– Mówiłeś, że zaprowadzisz nas pod Wielki Błękit – powiedział Rowan.

– Kiedy się dowiem, gdzie jest, tak właśnie zrobię – odpowiedział Perry.

Rowan z poirytowaniem pokręcił głową.

– A co, jeśli zmuszą nas do opuszczenia jaskini?

– Wtedy wymyślę coś innego.

Po godzinie wysłuchiwania podobnych skarg Perry zakończył zebranie. Nakazał części ludzi Beara wyruszyć do jaskini i pomóc Marronowi. Patrzył, jak Bear wypada z wściekłością z zebrania, a kantyna pustoszeje. Nieco oszołomiony Perry przez centralny plac udał się do swojego domu, by w samotności zastanowić się nad swoją decyzją.

Podszedł do okna, gdzie leżały figurki Talona, i oparł się o parapet. Znajdowało się tam siedem figurek. Siedem ustawionych obok siebie i zwróconych w tę samą stronę ptaków. Tego stojącego pośrodku odwrócił w przeciwną stronę, tak że teraz patrzył na zewnątrz. Czy jako Wódz Krwi Perry jest odpowiedzialny za to, by postępować zgodnie z wolą większości? A może powinien robić to, co było dla nich najlepsze, przynajmniej w jego opinii? Wybrał to drugie i modlił się, by się okazało, że ma rację.

Resztę popołudnia spędził, pomagając w jaskini. Marron był zorganizowany, kompetentny i nie miał problemu z realizacją dużych projektów. Bear się nie pojawił, ale ludzie, których Perry wybrał do pracy tutaj, szybko polubili Marrona. Kiedy wracali do wioski, Perry powiedział mu o tym.

– Zrobili to, bo ty pierwszy okazałeś mi sympatię. Jesteś dla nich wzorem. Świecisz przykładem bez względu na to, co robisz, Peregrine.

Zmienili temat i zaczęli rozmawiać o ludziach, którzy służyli Marronowi w Delfach. Slate i Rose zostali pojmani. Gdyby Perry i Marron znaleźli sposób, by ich uwolnić i wraz z wieloma innymi przyprowadzić do Fal, zrobiliby to bez wahania. Rozmawiali, aż Perry zauważył, że Reef szybko biegnie do nich od strony wioski.

– Co się dzieje? – zapytał Perry.

Reef podrapał się po brodzie. Miał minę, jakby starał się nie uśmiechać.

– Poczekaj tylko, aż zobaczysz, co tam mamy – powiedział, wyrównując z nimi krok.

Kiedy tylko przekroczyli bramy wioski, Perry spojrzął na centralny plac. Dziewczyna o miedzianych włosach stała przy wschodniej bramie. W ostatnich promieniach dnia Perry zauważył kawalkadę wozów, która zaczynała się za jej plecami. Perry naliczył mniej więcej czterdziestu konnych i pieszych. Wyglądali jak wojownicy – silni i uzbrojeni.

– To druga transza zapłaty za Liv – poinformował go Reef.

Twig podbiegł do nich i głosem wysokim jak chichot powiedział:

– Perry, to wszystko jedzenie!

Perry spojrzął na wozy. Naliczył osiem wozów ciągniętych przez konie i stado złożone z ośmiu sztuk bydła. Słyszał kozy. Wraz z wiatrem wyczuł zapachy ziół, kurcząt, zbóż. Do ust naciekła mu ślinka i nagle poczuł palący głód, który tak długo uczył się zwalczać.

– Jestem Kirra – przedstawiła się rudowłosa dziewczyna. – Założę się, że cieszysz się z naszej wizyty. Sable przekazuje wiadomość. Z przyjemnością dopełnia umowy zawartej z Vale'em za rękę Olivii, choć nie musiał. Tych ostatnich słów wprawdzie nie wypowiedział, ale powinien.

Perry ledwie mógł się skupić na jej słowach. Serce biło mu jak oszalałe, bo docierało do niego, że wszystko, co widzi, należy do Fal.

Marron pojawił się przy jego boku, a oczy błyszczały mu z podekscytowania.

– Na niebiosa, Peregrine, jak to nam pomoże!

Bear i Molly podeszli do nich z Willow i Starym Willem. Pozostali wychodzili z kantyny i otaczali ich z każdej strony. Powietrze wypełniały euforyczne nastroje i żywe kolory, które pobłyskiwały na krawędziach jego pola widzenia. Uczucie ulgi – jego własnej i plemienia – było tak silne, że Perry'ego zaczęło ścisnąć w gardle z emocji.

Dziewczyna uniosła brew. W blasku zachodzącego słońca jej rude włosy powiewały na wietrze jak ogień.

– Jeśli teraz się rozpakujemy, będzie czas na wspólny posiłek.

Perry przeniósł wzrok na Znaczenia na ramieniu dziewczyny.

Zamrugnął raz i drugi, nie wierząc w to, co widzi. Scir. Była taka jak on. Teraz przyglądał się jej z ciekawością. Poza swoją siostrą nie znał nigdy innego Scira. Ich kombinację Zmysłów spotykało się najrzadziej. Był to jeden z powodów, dla których małżeństwo Liv musiało być aranżowane.

– Jak ci na imię? – zapytał.

– Kirra. Już mówiłam.

– Racja... przepraszam, nie dosłyszałem.

Miała pełną, okrągłą buzię, przez co wyglądała bardzo niewinnie, jednak kształt jej ciała tłumiał to wrażenie. Podobnie jak zalotny błysk w jej oczach. Wydawała się kilka lat starsza, a jej zapach był łagodny i lekko chłodny, przypominał woń jesiennych liści.

– Powiedziałaś, że moja siostra wyszła za Sable'a.

– Teraz pewnie już tak.

Perry odwrócił się plecami do wozów. Liv zawsze była jego. Ojciec od zawsze szykował Vale'a – jako najstarszego z rodzeństwa – na Wodza Krwi. Liv i Perry byli pozostawieni sami sobie. Perry nie mógł w to uwierzyć. Teraz jego siostra należała do kogoś innego. Liv, którą łatwo można było rozbawić, łatwo rozzłościć, która łatwo wybaczała. Liv, która we wszystko zawsze angażowała się całą sobą, była teraz mężatką.

Choć uważał, że Liv powinna spełnić swoją powinność wobec Fal przez małżeństwo z Sable'em, nigdy się nie spodziewał, że to naprawdę się wydarzy. Jego siostra zawsze była nieprzewidywalna, a jej małżeństwo było największą niespodzianką z wszystkich. Liv uciekła i przepadła bez wieści, by na koniec zrobić to, o co proszono ją na początku.

Poczuł ucisk w brzuchu, gdy pomyślał o Roarze. Jak zareagował, gdy się o tym dowiedział?

– A więc? – Kirra wyrwała go z zamyślenia. – Robi się późno.

Możemy spędzić tu noc?

Perry pogładził się dłonią po brodzie i skinął głową.

Stało się. Liv wyszła za męża. Nie można już tego zmienić.

24 ARIA

Tego samego wieczoru Arię i Roara zaprowadzono do wielkiej jadalni. W srebrnej zastawie na stole odbijało się światło świec. Na środku stała ogromna waza pełna jeżynowych pnączy, które rzucały na sufit pająkowaty cień. Po jednej stronie pomieszczenia znajdowały się drzwi prowadzące na balkon. Zasłony w rdzawym kolorze poruszały się od podmuchów wiatru, momentami odsłaniając kłębiący się na niebie eter.

– Gdzie jest Liv? – zapytał Roar, rozglądając się po pomieszczeniu, kiedy tylko weszli do środka.

Sable wstał od stołu. Miał teraz na sobie łańcuch Wodza Krwi, niezwykle, lśniący kołnierz wysadzany szafirami błyszczącymi na tle ciemnoszarej koszuli. Łańcuch go odmienił, podkreślił jego niebieskie oczy i pewny siebie uśmiech. Aria zastanawiała się, jak mogła uznać go wcześniej za zwykłego mężczyznę. Z łańcuchem na szyi zachowywał się swobodnie, jakby władza była czymś naturalnym. Zdała sobie sprawę, że nigdy nie pomyślała tak o Perrym.

– Liv nieco się spóźni – powiedział Sable. – Najwyraźniej lubi, kiedy na nią czekam.

– Może cię unika – odparł Roar.

Sable uśmiechnął się na ten komentarz.

– Cieszę się, że tu jesteś. To dobrze, że podczas naszych zaślubin Liv będzie miała w pobliżu przyjaciela z dzieciństwa.

– Powiedziała ci, że jesteśmy *przyjaciółmi*? – zapytał Roar, uśmiechając się szyderczo. Najwyraźniej nie mógł się powstrzymać.

Sable odpowiedział łagodnym tonem, ale jego wzrok był okrutny.

– Tak właśnie powiedziała. Tym dla niej jesteś.

Do jadalni wdarł się podmuch wiatru, unosząc róg obrusu i przewracając cynowy kielich, który z brzękiem spadł na kamienną podłogę. Sable i Roar ani drgnęli.

– Chyba niedługo zacznie się burza – powiedziała Aria, stając między nimi. Po chwili podeszła do balkonu. Była to oczywista próba zmiany tematu, ale przyniosła efekt. Sable wyszedł za nią na balkon.

Aria minęła kotary, a wiatr zaczął podrywać jej włosy z ramion. Podeszła do niskiego gzymsu okalającego balkon, obejmując się ramionami, by choć trochę ochronić się przed zimnem. Bezpośrednio kilka

pięter pod nimi płynęła rzeka. Światło eteru osrebrzało jej ciemną taflę.

Sable stanął tuż przy Arii.

– Z daleka wygląda zjawiskowo, prawda? – powiedział, patrząc na eter. Jego pasma skręcały się w szpule. Niedługo eter ciśnie w ziemię lejem. – Zupełnie co innego, kiedy stoi się bezpośrednio pod nim.

Znalazłaś się kiedyś w środku takiej burzy?

– Tak.

– Tak przypuszczałem. Wyczuwam twój strach, ale mogłem się mylić. Może dotyczy on czegoś innego. Boisz się wysokości, Ario? Ziemia jest daleko pod nami.

Arię przebiegł dreszcz, lecz kiedy się odezwała, jej głos tego nie zdradził.

– Wysokość mi nie przeszkadza.

– Nie dziwi mnie to – odparł Sable z uśmiechem. – Mówiłaś, że należysz do Fal, tak?

Zasypywał ją pytaniami. Wyczuwał jej nastrój i szukał słabego punktu.

– To oni mnie tu przysłali.

– Ale nie znałaś wcześniej Liv.

– Zgadza się.

Znów zaczął się jej w skupieniu przyglądać. Czuła, że intensywnie myśli, a jego zaciekawienie nią staje się coraz wyraźniejsze. Sable lekko się do niej nachylił, ale nie podszedł bliżej.

– Gdzie jest Sable? – Liv zapytała Roara.

Aria zauważyła ją przez przerwę pomiędzy kotarami. W porównaniu z dziewczyną, którą widziała wcześniej, Liv wyglądała teraz jak ktoś zupełnie inny. Miała na sobie drapowaną suknię w błyszczącym, pomarańczowym kolorze, który podkreślał jej śniadą cerę. W talii przepasana była zielonym, ozdobnym sznurem, a swoje bujne jasne włosy spięła nad ramionami.

– Co się z tobą działo? – zapytał Roar.

– Nie wiedziałam, jak zawiązać ten pasek – Liv odparła niefrasobliwie.

– Nie mówiłem o sukience.

– Wiem.

– Więc dlaczego...

– Przestań, Roar. – Liv odpowiedziała ostro. Podeszła do stołu i usiadła.

Roar podszedł bliżej i przykucnął u jej boku.

– Masz zamiar mnie ignorować? Będziesz się zachowywać, jakby nic nas nie łączyło? – Ściszył głos, ale Aria i tak słyszała każde jego słowo. Kamienny pokój był jak scena, która potęgowała wszystkie dźwięki, słyszalne nawet tam, gdzie stali razem z Sable'em. Była ciekawa, czy Sable też to słyszy.

– Olivio – powiedział Roar żarliwym, namiętym tonem. – Co ty tutaj robisz?

– Czekam na jedzenie – powiedziała, patrząc przed siebie. – I na Sable'a.

Roar zaklął i zerwał się na nogi, jakby został odepchnięty.

Sable roześmiał się delikatnie.

– Pozwolisz? – powiedział i wrócił do środka. Podeszedł do Liv i pocałował ją w usta.

– Jesteś przepiękna – szepnął, zanim się wyprostował.

– Zawstydzasz mnie – odparła Liv, czerwieniąc się.

– Dlaczego? – powiedział Sable, siadając obok niej. Patrzył na Roara rozbawionym wzrokiem. – Wątpię, by ktokolwiek z tu obecnych nie zgodził się ze mną.

Aria poczuła ucisk w żołądku. Roar wyglądał tak, jakby był gotów w każdej chwili rzucić się na Sable'a i rozszarpać go na kawałki. Czując, jak przyspiesza jej puls, patrzyła na strażników przy drzwiach. Obaj mężczyźni pochwycili jej wzrok. Mieli oko na wszystko.

Kiedy Roar usiadł koło niej, musnęła dłonią jego dłoń, szybko go ostrzegając. *Roar, zachowaj spokój. Nie daj się sprowokować.*

Sable i Liv zauważyli jej gest z przeciwnej strony stołu. W tym pomieszczeniu nie było miejsca na sekrety. Słyszano tu każdy szept. Wyczuwano każdą najmniejszą zmianę nastroju.

W zielonych oczach Liv pojawiła się ciemność. Czy była to zazdrość? Jak śmiała ją odczuwać? Wychodzi za Sable'a. Nie ma prawa być zaborcza wobec Roara.

Służący przynieśli półmiski pieczonej szynki i warzyw. W niezrozumiały dla siebie sposób Aria jednocześnie czuła głód i nudności. Wzięła do ręki kawałek chleba.

Przez kilka chwil jedli w niekomfortowej ciszy. Aria co chwila zerknęła na Roara, który nie spuszczał ręki z noża przy swoim pasie. Roar i Liv ani razu na siebie nie spojrzeli. Sable miał za to oko na wszystko.

– Czy Perry był zadowolony z zapasów, które wysłaliśmy? – w końcu zapytała Liv.

– Z drugiej części zapłaty? – odrzekł Roar zaskoczony.

– To się nazywa posag – odpowiedziała Liv oschle. – Wysłałeś go, prawda, Sable?

– Zgodnie z umową – odparł Sable. – Fale na pewno go już dostały. Musiał dotrzeć, kiedy twoi przyjaciele byli w drodze. Posłałem z nim czterdziestu moich najlepszych ludzi. Zostaną tam i pomogą twojemu bratu, jak tylko zdołają.

– Naprawdę? – Liv spojrzała na niego.

– Wiem, że się o niego martwisz – powiedział Sable i znów się uśmiechnął.

Aria czuła, jak z Roara uchodzi ostatnia nadzieja. Umowa została dopełniona. Liv należała teraz do Sable'a. Brakowało tylko ślubnej ceremonii, ale to była formalność.

– Czy Perry przesłał mi jakąś wiadomość? – zapytała Liv.

Roar pokręcił głową.

– Musieliśmy wyruszyć w pośpiechu, nie miał więc okazji. Ale nawet gdyby było inaczej, nie mam pewności, czy by to zrobił.

– Dlaczego? – zapytała Liv. – Stracił język w gębie?

– Obwinia się za to, co stało się z Vale'em.

Liv skrzywiła się niepoczyszona.

– Wiem, co zrobił Vale. Wiem, jaki był mój brat. Czy tak trudno napisać parę słów?

– Doskonale pytanie – odparł Roar. – Jak trudno napisać parę słów, Liv? Perry przez rok nie dostał od ciebie żadnej wiadomości. Może obawia się, że cię stracił? Może uważa, że już ci na nim nie zależy. Zależy ci, Liv?

Liv i Roar patrzyli na siebie, nie mrugając powiekami. Nie było wątpliwości, że nie rozmawiali już o Perrym. Aria miała wrażenie, jakby ona i Sable nagle przestali dla nich istnieć.

– Oczywiście, że nadal go kocham – powiedziała Liv. – To mój brat. Zrobiłabym dla niego wszystko.

– Wzruszające – odparł Roar, odpychając się od stołu. – Perry na pewno się ucieszy, kiedy mu o tym powiem. – Wyszedł bezszelestnym krokiem.

Sama w towarzystwie Liv i Sable'a Aria nagle poczuła się jak intruz. Wiatr zdmuchnął świece po ich stronie stołu. W przygaszonym świetle suknia Liv nabrała chłodnego odcienia czerwonej gliny. Wszystko wydawało się teraz szare i zimne.

– Sprowadzę tu twojego brata – powiedział Sable, sięgając po dłoń Liv. – Możemy do tego czasu wstrzymać ślub. Powiedz mi, czego chcesz, a zrobię to.

Liv posłała mu krótki, niepewny uśmiech.

– Przepraszam... straciłam apetyt – powiedziała i wyszła z jadalni.

Aria czekała, aż Sable ruszy za nią, ale on ani drgnął. Podniósł figę z talerza i zjadł ją, cały czas obserwując Arię.

– Wiem, po co Roar tu przybył – powiedział. – A jaki jest twój powód?

Jego słowa były spokojne, ale wzrokiem przeszywał ją na wylot. Aria zerknęła na drzwi, szacując odległość i instynktownie czując, że powinna uciekać.

Sable momentalnie złapał ją za nadgarstek. Wolną dłonią Aria chwyciła za nóż, który leżał na stole. Trzymała go ostrzem w dół, gotowa na zadanie ciosu prosto w szyję przeciwnika. Taki cios by go zabił. Przeciw komuś takiemu jak on miałyby tylko jedną szansę. Nie po to tu jednak przybyła. Musiała nakłonić go do mówienia.

Sable uśmiechnął się do niej i delikatnie pokręcił głową. Jego oczy w samym środku były przejrzyste jak szkło, otoczone ciemnoniebieską barwą.

– Nie potrzebujesz tego. Nie zrobię ci krzywdy, jeśli nie dasz mi powodu.

Jego dłoń powędrowała wyżej, podciągając jej rękaw. Powolnym, ale zdecydowanym ruchem pogładził kciukiem nieudane i niedokończone Znaczenie Arii. Dziewczyna poczuła, jak po plecach przebiega jej dreszcz w reakcji na jego chłodny dotyk.

– Jesteś zagadką, prawda? – Sable patrzył jej głęboko w oczy.

Aria wstrzymała oddech. Wszystkie dźwięki nagle zrobiły się wyraźniejsze. Trzepotanie kurtyn, szmer Wężowej Rzeki. Stukot nadciągających kroków w korytarzu. Czy był świadom jej zdolności? Czy wiedział o jej życiu w Reverie, Sferach i pozostałych sekretach?

Do sali wszedł strażnik o długich blond włosach.

– Burza nad Skarpą Strażników.

Sable nie zwracał na niego uwagi.

– Czego ode mnie chcesz? – powiedział niskim, groźnym głosem.

Nie potrafiła go okłamać. Po prostu nie mogła.

– Wielkiego Błękitu.

Sable rozluźnił uścisk i powoli wypuścił powietrze z płuc, po czym oparł się na krześle.

– A już mi się wydawało, że jesteś taka wyjątkowa – powiedział zwyczajnie. Następnie wstał z krzesła i wszedł.

Przez kolejnych kilka minut Aria nie była w stanie się ruszyć. Od

miesiący nie czuła obrzydzenia wywołanego ludzkim dotykiem. Ramię przeszył jej ból. Uścisk Sable'a był silniejszy, niż jej się wydawało. W końcu Aria odłożyła nóż na miejsce obok pustego talerza, czując, jak bolą ją palce.

I co teraz? Sable ją podejrzewa. Próbował wydusić z niej informacje, aż odkrył prawdę o tym, kim jest. Jej życie było w niebezpieczeństwie, tak jak jej misja. Wzięła głęboki oddech i wstała. Nie pozwoli sobie na klęskę.

Aria minęła strażników przy drzwiach i udała się do swojego pokoju. Widziała gwardzistów na posterunkach i korytarzach. Pomyślała, że trudno jej będzie przemykać niezauważenie, lecz nie jest to niemożliwe. Zastygła, kiedy usłyszała głos Sable'a. Wydawał się blisko, ale nie mogła mieć pewności. W krętych korytarzach głosy odbijały się w różne, niespodziewane strony. Czując, jak wali jej serce, słuchała, jak Wódz nakazuje ewakuację peryferii Rimu. Być może nadciągająca burza sprawi, że jeszcze dziś wieczorem wspomni o Wielkim Błękicie.

Później, powiedziała do siebie w duchu. Później Aria wymknie się i spróbuje czegoś dowiedzieć.

Nie zdziwiło jej, że w pokoju ktoś na nią czeka.

Spodziewała się Roara, ale zastała tam Liv.

25
PEREGRINE

Perry siedział przy stole na podwyższeniu, oniemiały z powodu ilości podanego jedzenia. Szyńka z rodzynkami złotymi jak słońce. Chleb z orzechami włoskimi i kozim serem. Marchewki z miodem i masłem. Truskawki, czereśnie. Półmisek z sześcioma rodzajami serów. Wino i błyskacz dla tych, którzy mieli ochotę. Kantinę wypełniały apetyczne aromaty. Jutro plemię powróci do żywnościowych racji, dziś jednak ucztowali.

Jadł, aż głodowe skurcze zamieniły się w ból przepełnionego żołądka. Każdy kęs przypominał mu o poświęceniu, jakie Liv uczyniła dla Fal. Kiedy skończył, oparł się wygodnie i patrzył na otaczających go ludzi. Marron smarował masłem kawałek chleba z taką samą precyzją, z jaką wykonywał wszystkie inne zadania. Bear zabrał się za górę jedzenia, która spadała mu z talerza, podczas gdy Molly bujała Rivera na kolanie. Hyde i Gren rywalizowali o uwagę Brooke. Twig ledwie dawał radę wtrącić słówko.

Zaledwie kilka godzin wcześniej był w tym samym miejscu i słuchał, jak jego plemię w złości obrzuca go obelgami.

Po drugiej stronie stołu Willow szturchała Cindera łokciem.

– Popatrz, nigdzie nie ma ani jednej ryby.

– Całe szczęście – odrzekł Cinder. – Już się bałem, że wyrosną mi skrzela.

Willow roześmiała się. Perry też się uśmiechnął, widząc, jak wystające spod czarnej czapki uszy Cindera robią się czerwone.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia Kirra jadła w otoczeniu swoich ludzi. Stanowili hałaśliwą bandę, która lubiła się popisywać. Każdy z nich zdawał się śmiać nader donośnie. Oczy Perry'ego wciąż wracały do Kirry. Umówił się z nią na późniejsze spotkanie, żeby poznać wieści z innych terytoriów. Pochodziła z Rogów, mogła więc coś wiedzieć o Wielkim Błękanie.

Kiedy skończyli jeść, towarzysze Kirry odsunęli kilka stołów, by zrobić trochę wolnego miejsca. Wtedy rozległy się dźwięki gitar i bębnow, które wygrywały radosne melodie. Ich pogodny nastrój szybko się udzielał. Fale z radością się dołączyły i po kilku chwilach w kantine zaczęły się śpiewy i tańce.

– Czy Cinder mówił ci o swoich urodzinach? – zapytała Willow.
– Willow... nie... – odezwał się Cinder, kręcąc głową. – Żartowałem.
– A ja nie – odparła dziewczynka. – Cinder nie wie, kiedy są jego urodziny, więc właściwie mógłby to być byle jaki dzień. A skoro mógłby to być byle jaki dzień, to dlaczego nie dziś? I tak już świętujemy.

Perry skrzyżował ramiona i próbował zachować powagę.

– Dzisiejszy dzień wydaje mi się idealny.

– Może mógłbyś coś powiedzieć? No wiesz, żeby to się stało oficjalnie.

– Oczywiście. – Spojrzał na Cindera. – Ile chcesz mieć lat?

– Nie wiem – odpowiedział chłopiec, szeroko otwierając oczy.

– Może trzynaście? – zasugerował Perry.

– W porządku. – Cinder wzruszył ramionami, ale jego twarz zrobiła się czerwona, a nastrój gorący z emocji. Znaczyło to dla niego więcej, niż dał po sobie poznać, czemu Perry nie mógł się dziwić. Cinder zasługiwał na to, by wiedzieć, ile ma lat. By znać dzień, dzięki któremu będzie mógł odliczać czas. Perry’emu było jedynie przykro, że wcześniej nie wpadł na ten pomysł.

– Jako Władca plemienia Fal ogłaszam ten dzień dniem twoich urodzin. Moje gratulacje.

Na buzi Cindera zajaśniał szeroki uśmiech.

– Dzięki.

– Teraz musisz zatańczyć – powiedziała Willow. Pociągnęła go za sobą mimo jego protestów i po chwili wmieszali się w tłum.

Perry usiadł wygodnie i drapiąc Pchlarza pod pyskiem, delektował się uczuciem lekkości, jaką miał w sercu. Kirra nie przyniosła im wyłącznie żywności. Przywróciła im wspomnienia o lepszych czasach. Tak powinno płynąć życie w kantine. Dziś widział Fale takie, jakie zawsze chciał widzieć.

Ludzie późno rozeszli się do swoich domostw. Nikt nie chciał, by ten wieczór szybko się skończył. Reef pociągnął Perry’ego na stronę, w zaciemniony zakątek centralnego placu. Wokół paliły się lampiony, którymi bujała morska bryza.

– Dwudziestu siedmiu mężczyzn i jednaście kobiet – powiedział. – Dziecięciu Vidów, pięciu Audów i Kirra, ale o niej już wiesz. Każdy z nich włada bronią, a przynajmniej tak sędzę.

Perry podejrzewał to samo.

– Martwisz się tym?

Reef pokręcił głową.

– Nie, ale i tak będę miał na nich oko dzisiaj w nocy.

Perry pokiwał głową. Kiedy się odwrócił, niemal wpadł na Molly. Powiedziała mu, że Marron się rozchorował. To tylko niegroźna niestrawność, ale tę noc będzie musiał przeleżeć. A skoro Reefa i Marrona miało zabraknąć, wychodziło na to, że spotka się z Kirrą sam na sam. Perry udał się do swojego domu, nie wiedząc, dlaczego się denerwuje.

Niedługo potem dziewczyna zapukała do jego drzwi i weszła do środka. Perry podniósł się z krzesła przy ognisku. Kirra przystanąła, rozglądając się po pustym pokoju. Wydawała się zaskoczona, że w domu nie ma nikogo prócz nich.

– Zwolniłam dziś moich ludzi z posługi. Przebyli długą drogę.

Perry podszedł do stołu i nalał jej i sobie po kubeczku błyskacza.

– Na pewno zasłużyli na odpoczynek.

Kirra wzięła swój kubek i usiadła po przeciwnej stronie stołu. Jej oczy uśmiechały się, gdy na niego patrzyła. Miała na sobie obcisłą koszulę w kolorze zboża, która teraz była rozpięta niżej niż podczas kolacji.

– Pojawiliśmy się w samą porę – powiedziała. – Twoje plemię głodowało.

– To prawda. – Perry nie mógł zaprzeczyć, że znajdowali się w ciężkiej sytuacji, ale nie podobało mu się, że wytyka mu to obca osoba.

– Kiedy masz zamiar wyruszyć z powrotem do Rimu? – zapytał. Po surowym akcencie i szorstkich słowach można było poznać, że Kirra pochodzi z południa. Tylko tyle chciał o niej wiedzieć. Potrzebował za to informacji, którymi mógłby się posłużyć. Chciał przekazać siostrze wiadomość. Jak się miewa? Musiał wiedzieć, że u Liv wszystko w porządku.

Kirra się roześmiała.

– Już chcesz, żebym sobie poszła? Co za cios – powiedziała, lekko wydymając wargi. – Sable chce, żebyśmy zostali. Mamy ci pomagać tak długo, jak zechcesz.

To go zaskoczyło. Napił się, dając sobie chwilę na opanowanie, podczas gdy błyskacz rozgrzewał mu gardło. Według pogłosek Sable był bezwzględny, a obecne czasy nie skłaniały do szczodrości. Czy Liv wymogła na nim taką pomoc? Perry nie zdziwiłby się, gdyby tak było. Liv także potrafiła być bezwzględna.

Perry odstawił kubek.

– Być może Sable tego chce, ale to nie on tu podejmuje decyzje.

– Oczywiście, że nie – odparła Kirra. – Nie widzę jednak problemu. Przynieśliśmy własne jedzenie, a ty masz mnóstwo miejsca, by nas

pomieścić. Sable jest teraz twoim bratem. Powinieneś uznać naszą pomoc za prezent.

„Prezent”? „Pomoc”? – Perry mocniej zacisnął dłoń na kubku.

– Sable nie jest moim bratem.

Kirra z rozbawieniem w oczach upiła łyk błyskacza.

– Rozumiem, że tak nie czujesz, skoro nigdy się nawet nie spotkaliście. Mimo to korzyść, jaką zyskujesz, powinna być dla ciebie oczywista. Mam najsilniejszych wojowników, a nasze konie nie złęką się burzy czy napadu. Możemy ci pomóc ochronić tę wioskę. Nie będziesz musiał szukać schronienia w jaskini.

A więc słyszała. Choć był to jego wybór i najlepsze wyjście dla Fal, poczuł wstyd. Kirra nachyliła się nad stołem i wzięła głęboki wdech, nie spuszczać z niego wzroku. Jej oczy miały kolor bursztynu. Taki sam kolor wyczuwał w jej nastroju. Kirra na pewno próbowała wyczuć jego emocje, tak jak on starał się wyczytać jej.

– Wiele o tobie słyszałam – powiedziała. – Mówi się, że włamałeś się do Podu Osadników i pokonałeś plemię Krukorów. Podobno masz podwójne Znaczenia. Jesteś Videm, ale widzisz w ciemności.

– Ludzkie gadanie. Czy w całej tej paplaninie ktoś wspomniał choć słowem o Wielkim Błękitcie? Czy mój brat Sable powiedział ci, gdzie go znaleźć?

– Krainę słońca i motyli? – zapytała, opierając się wygodnie. – Nie mów, że ty też jej szukasz. Nadzieja matką głupich.

– Nazywasz mnie głupim, Kirro?

Uśmiechnęła się. Po raz pierwszy zwrócił się do niej po imieniu. Dziewczyna była tego świadoma tak samo jak on.

– Głupcem, który nie stracił nadziei.

Perry uśmiechnął się znacząco.

– To najgorszy typ z możliwych.

Zaczynał się zastanawiać, czy wszystko, co powie Kirra, będzie go zaskakiwać.

– Uważasz, że Wielki Błękit nie istnieje? Nie masz ochoty dalej żyć?

– Przecież żyję – odparła. – Nie dam się opętać niebu.

Zapadła cisza, podczas której tylko na siebie patrzyli. Jej zapach iskrzył z podekscytowania. Nie odwróciła wzroku i Perry zdał sobie sprawę, że on też nie potrafi.

– Jesteś w szczególnej sytuacji – powiedziała ostatecznie. – Nie ma nic złego w tym, że przyjmiesz niewielką pomoc.

„Pomoc”. Znow to słowo. Miał dość. Nie będzie po raz kolejny tego

słuchał.

– Zastanowię się – powiedział, wstając. – Coś jeszcze?

Kirra zatrzepotała powiekami.

– A chcesz, by było coś jeszcze? – Nie mogła wyrazić się jaśniej.

Perry podszedł do drzwi i otworzył je, wpuszczając do środka nocne powietrze.

– Dobranoc, Kirro.

Wstała z miejsca i podeszła bliżej. Zatrzymała się tylko krok przed nim, spojrzała mu w oczy i wzięła głęboki wdech.

Perry poczuł ucisk w żołądku. W jej obecności jego puls przyspieszał, już od tygodni nie czuł czegoś podobnego. Kirra musiała to wyczuwać, a on nie mógł w żaden sposób tego ukryć.

– Śpij dobrze, Perry, Władco Fal – powiedziała i zniknęła w ciemności.

26
ARIA

– Co tu robisz, Liv? – zapytała Aria, wchodząc do swojego pokoju. Nie potrafiła ukryć złości w głosie.

Liv wstała z łóżka.

– Szukałam Roara. Nie było go w jego pokoju. – Drapowana sukienka była teraz cała zmięta i opadała jej z ramion. Dziewczyna rozpuściła też włosy, ale wyglądała na silniejszą i swobodniejszą niż podczas kolacji.

Aria skrzyżowała ramiona. Przy łóżku migotał lampion, oświetlając chłodny, ciasny pokój.

– Nie ma go tu. Chyba to widzisz.

– Przekaż mu tylko wiadomość ode mnie...

– Niczego mu od ciebie nie przekażę.

Liv uśmiechnęła się zuchwale.

– Kim ty właściwie jesteś?

– Przyjaciółką Roara i Perry'ego. – Aria zaczęła gryźć wewnętrzną stronę wargi, gdy tylko wypowiedziała te słowa. „Przyjaciółka” była takim słabym, nieodpowiednim wyrazem. Była kimś więcej – dla każdego z nich.

Na twarzy Liv zagościł uśmiech.

– No tak... jesteś przyjaciółką Perry'ego. Powinnam się była domyślić. Wyglądasz mi na kogoś, z kim mój brat chętnie by się *zaprzyjaźnił*.

– Chyba najwyższa pora, żebyś sobie poszła.

Liv roześmiała się, ani drgnąwszy.

– Czy to cię zaskakuje? Chyba nie myślisz, że jesteś jedyną dziewczyną, która się w nim zadurzyła.

Aria miała wrażenie, że jej twarz zaraz spłonie ze złości.

– Wiem, że jestem jedyną dziewczyną, której jest bezgranicznie oddany.

Liv znieruchomiała. Po chwili podeszła bliżej do Arii, cały czas piorunując ją wzrokiem. Świeża szrama wtopiła się w czerwień jej policzków.

– Zabiję cię, jeśli go skrzywdzisz – powiedziała spokojnym, wyzutym z emocji głosem. To nie była groźba, tylko informacja. Kolej

rzeczy.

– Wcześniej myślałam dokładnie to samo.

– Nie masz o niczym pojęcia – powiedziała Liv. – Powiedz Roarowi, że musi stąd odejść. Natychmiast. Przed ceremonią. Nie może tu zostać.

– Jak możesz zachowywać się tak, jakby był dla ciebie kimś zbędnym? – wycodziła Aria, myśląc o wszystkich wieczorach, które spędziła, rozmawiając z Roarem o Liv. Słuchając o tym, jaka jest wspaniała. Ta dziewczyna była koszmarna. Samolubna. Grubiańska. – To ty uciekłaś! To ty go zostawiłaś! Szukał cię przez cały rok!

Liv machnęła dłonią, wskazując na pokój.

– Wydaje ci się, że to był mój wybór? Że chcę tu być? Mój brat mnie *sprzedał*. Odebrał mi wszystkie marzenia. – Zerknęła na drzwi, po czym podeszła jeszcze bliżej Arii. – Chcesz wiedzieć, co robiłam przez ostatni rok? Każdego dnia ciężko pracowałam nad tym, by zapomnieć o Roarze. Wymazywałam z pamięci każdy uśmiech, każdy pocałunek, każde głupie słowo, którym mnie kiedykolwiek rozśmieszył. Pochowałam gdzieś te wszystkie uczucia. Zajął mi to rok, by przestać o nim myśleć. Rok, bym przestała za nim tęsknić i była w stanie przyjść tu i stanąć z Sable'em twarzą w twarz. Pojawiając się tu, Roar wszystko psuje. Nie jestem aż taka silna. Jak mogę o nim zapomnieć, kiedy stoi tuż przede mną? Jak mogę wyjść za Sable'a, kiedy myślę tylko o Roarze.

Liv oddychała gwałtownie, a oczy wezbrały jej łzami. Aria nie chciała jej współczuć. Nie, kiedy ona tak bardzo raniła Roara.

– On przyszedł tu, by cię odzyskać. Musi być jakiś sposób, abyś mogła wrócić do Fal.

– Wrócić? – Liv zapytała, śmiejąc się kpiąco. – Perry nie ma jak oddać mego posagu. A ja nie mogę dłużej przed tym uciekać. Wiem, jak tam jest. Wiem, że Fale potrzebują pomocy, a Sable może ją im dać. Będzie im nadal pomagał, jeśli się pobierzemy. Jak mogłabym coś takiego odrzucić? Jak mogłabym odejść, wiedząc, że przez to moja rodzina będzie głodować, a może nawet umrze?

Aria nie wiedziała, co odpowiedzieć. Westchnęła i usiadła na łóżku, czując nagłe wyczerpanie. Przez małe okno widziała pobłyskujący na niebie eter, który spowijał pokój niebieską luną.

Problem Liv wydawał się jej nieprzyjemnie znajomy. Aria była tak skupiona na odnalezieniu Wielkiego Błękitu dla Hessa i odzyskaniu Talona, że nie zdążyła się nawet zastanowić, co się stanie potem. Czy to, by ona i Perry byli razem, będzie kiedyś możliwe? Fale ją odrzuciły, a o Reverie nie mogło być nawet mowy. Wszystko i wszyscy sprzysięgli

się przeciw nim.

Aria odepchnęła te myśli, martwiąc się, że to w niczym nie pomoże. Spojrzała na Liv.

– A co z Sable'em? – Pomasowała nadgarstek, nadal czując na nim jego dłoń.

Liv wzruszyła ramionami.

– Nie jest taki okropny... Wiem... Nie w takich kategoriach powinno się myśleć o przyszłym mężu, ale jest lepiej, niż się spodziewałam. Myślałam, że go znienawidzę, a tak się nie stało.

Przygryzła dolną wargę, jakby się wahała, czy powiedzieć coś jeszcze. Wtedy usiadła obok Arii.

– Kiedy w końcu dotarłam tu poprzedniej wiosny, powiedział, że pozwoli mi odejść. Powiedział, że będę mogła pójść, gdzie zechcę, ale skoro już przybyłam, to równie dobrze możemy się lepiej poznać. Kiedy to powiedział, nie czułam się już w potrzasku. Przestałam być przedmiotem, który przechodzi z rąk do rąk.

Aria zastanawiała się, czy Sable celowo tak powiedział. Scirzy słynęli z tego, że potrafią manipulować ludźmi. Ale czy Liv nie powinna była go przejrzeć?

– Nie przymilam się do niego – ciągnęła Liv – i najwyraźniej to lubi. Chyba jestem dla niego wyzwaniem. – Bawiła się zielonym sznurkiem wokół talii. – I podobam się mu. Zdradza to jego zapach, kiedy wchodzę do pokoju... tego nie można udać.

Aria wpatrywała się w drzwi, nasłuchując cichnących na korytarzu kroków.

– Czy czujesz do niego to samo? – zapytała Aria, kiedy znów zrobiło się cicho.

– Nie, nie to samo. – Liv zawiązała końcówki swojego paska w skomplikowany supeł, namyślając się. – Denerwuję się, kiedy mnie całuje, chyba dlatego że to dla mnie coś zupełnie innego. – Spojrzała Arii w oczy. – Nigdy nie całowałam się z nikim innym poza Roarem, a tego...

Mocno zacisnęła powieki.

– Tak nie można. Nie mogę tak tu sobie siedzieć i wspominać, jak to jest całować Roara, kiedy wychodzę za kogoś innego, i to już za kilka dni. On musi stąd zniknąć. Jest mi z tym zbyt trudno i nie potrafię patrzeć, jak cierpi. – Pokręciła głową. – Nie mogę tego znieść, że przez niego czuję się taka słaba.

Aria oparła się o metalowe wezglowie łóżka, przypominając sobie swoją ostatnią noc z Perrym, gdy był taki posiniaczony i obolały po walce,

której była powodem. Następnego dnia stracił część swojego plemienia. Aria nie czuła się słaba z jego powodu. Czuła raczej, że ma zbyt wielką władzę, jakby każdy jej wybór i każda decyzja mogły mieć dla Perry'ego bolesny skutek, a przecież nie chciała go zranić.

– Roar da sobie radę – dodała cicho Liv. Jej oczy nabrały delikatnego wyrazu i Aria wiedziała, że Liv próbuje odczytać jej nastrój. – Zapomni o mnie.

– Nie jestem w stanie w to uwierzyć.

Liv znów przygryzła wargę.

– Ja też.

– Powiesz mi prawdę? Roar musi wiedzieć, co robisz. Musi wiedzieć dlaczego.

– Myślisz, że to pomoże?

– Nie, ale jesteś mu to winna.

Liv przyglądała się jej przez moment.

– Dobrze. Porozmawiam z nim jutro. – Siadła głębiej na łóżku i przykryła nogi kocem. Do pokoju dobiegały dźwięki burzy, a przez szczelinę pod drzwiami do środka dostawało się chłodne powietrze. – A tak naprawdę? Jak daje sobie radę mój brat?

Przed kilkoma minutami Liv groziła Arii. Teraz siedziała blisko niej zupełnie odprężona. Pograżona we własnych myślach. Zmienna jak wiatr, pomyślała Aria. Zastanawiała się, czy choć w jednej kwestii jest stała.

Aria przykryła się drugą połową koca. Kiedy ostatnio widziała Perry'ego, był posiniaczony i porzucony przez swoich ludzi. Przez nią też. Nie mogła ścierpieć myśli, że przyczyniła się do jego bólu.

– Nie miał lekko.

– Tyle do zrobienia. O tyle rzeczy trzeba się zatroszczyć – powiedziała Liv. – Pewnie wychodzi ze skóry z tęsknoty za Talonem.

– Tak, ale odzyskamy go – wymknęło się Arii.

Liv zmarszczyła brew, błędząc zielonymi oczami po twarzy Arii.

– Skąd jesteś?

Aria się zawahała. Przeczuwała, że jej odpowiedź zmieni tworzącą się między nimi relację. Czy powinna zaryzykować i powiedzieć Liv prawdę? Chciała, by jej ufała, i w ciszy ciemnego pokoju pragnęła być po prostu sobą. Wzięła głęboki wdech i odpowiedziała:

– Jestem z Reverie.

Liv mrugała szybko z zaskoczenia.

– Jesteś Osadniczką?

– Tak... właściwie to w polowie.

Liv zachichotała.

– Jak to się stało?

Aria przekręciła się na bok i oparła głowę na rękę, tak jak przed chwilą zrobiła Liv. Opowiedziała o tym, jak została wyrzucona z Podu i jak spotkała Perry'ego. Opowiedziała jej o wszystkim, co stało się u Fal, i że musi znaleźć Wielki Błękit, by odzyskać Talona. Kiedy Aria skończyła, Liv milczała, a odgłosy lejów ciskanych w ziemię umilkły. Rim przetrwał najgroźniejszą część burzy.

– Sable kilka razy wspominał o Wielkim Błękitcie – powiedziała Liv. Miała zaspane oczy. – Wie, gdzie się znajduje. Dowiemy się i odzyskamy Talona.

My. To małe słowo nagle wydało się Arii ogromne. Poczula uspokajający rodzaj ekscytacji. Liv pomoże.

Liv przyglądała się jej przez chwilę.

– Więc nie obchodzi cię, co się stało u Fal? Że cię otruli? Wrócisz do mojego brata?

Aria pokiwała głową.

– Obchodzi mnie, ale nie mogę sobie wyobrazić, że do niego nie wrócę. – W jej głowie pojawiły się słowa piosenki wyryte głęboko w jej pamięci. – „Miłość to niesforny ptak, którego nikt nie może oswoić” – powiedziała. – To z opery pod tytułem *Carmen*.

Liv przymrużyła oczy.

– Kto jest tym ptakiem, ty czy mój brat?

– Myślę, że ptakiem jest to, co nas łączy – uśmiechnęła się Aria. – Zrobiłabym dla niego wszystko – powiedziała, zdając sobie sprawę, jakie to proste.

Liv utkwiała wzrok gdzieś w przestrzeni.

– Dobrze powiedziane – odezwała się po dłuższym milczeniu. – Będę tu spać – ziewnęła. – Wybacz chrapanie.

– Pewnie, zostań. Mamy mnóstwo miejsca, jeśli żadna z nas się nie poruszy.

– Żaden problem. I tak nie mogę się ruszać. Czuję się, jakbym była ubrana w opaskę uciskową.

– Źle zawiązałaś sznurek. Nosiłam kiedyś taką suknię w Sferach. Mogę ci teraz pokazać.

– Nie ma potrzeby. Głupia suknia.

Aria zachichotała.

– Nie jest głupia. Wyglądasz w niej niesamowicie. Jak Atena.

– Tak? – powiedziała Liv, przymykając oczy. – Pomyślałam, że

spodoba się Roarowi. No dobrze, jutro pokażesz mi, jak zawiązać tę głupią suknię.

Wkrótce, tak jak zapowiedziała, Liv zaczęła chrapać. Nie był to głośny dźwięk, tylko delikatne mruczenie, które przeplatając się ze świstem wiatru, ukołysało Arię do snu.

PEREGRINE

– Co ona tam robi? – zapytał Perry.

Zatrzymał się na środku wioski i spojrzał na dach swojego domu. Zauważył włosy Kirry, jakby były czerwoną flagą trzepoczącą na wietrze. Dobiegł go też dźwięk uderzeń młotkiem.

Poranek spędził w jaskini razem z Marronem, analizując plany, jak poprawić prowadzące do zatoczki zejście ze skarpy. Gdyby mogli utorować krętą drogę, mogliby sprowadzić na dół zwierzęta i wozy. Dałoby to lepszy rezultat niż stopnie, warto więc było spróbować. Trzeba było jednak więcej pomocników.

– Nic o tym nie wiesz? – zapytał Reef, który stanął obok.

– Nie, nie wiem. – Perry wspinał się po drabinie na dach. Kirra stała kilka kroków od niego i nadzorowała dwóch swoich ludzi, Foresta i Larka, którzy zrywali z dachu dachówki. Im był bliżej niej, tym większa złość w nim narastała. Perry był gotów bronić tego miejsca bardziej niż całego domu. To była jego samotnia.

Kira odwróciła się do niego z uśmiechem. Oparła dłonie na biodrach i przechyliła głowę na bok.

– Dzień dobry – przywitała się. – Dopatrzyłam się wczoraj pęknięć na suficie. Pomyślałam, że coś na to poradzimy.

Mówiła głośniej, niż trzeba, pozwalając, by jej głos niósł się po wiosce. Jej ludzie obejrzeliby się przez ramię i zmierzyliby go wzrokiem. Ściągnęli już część kamiennych dachówek, odsłaniając listwy dachu. Perry wiedział, że przynajmniej dwunastu Audów w centrum wioski też ją słyszało. Nietrudno było się domyślić, co pomyśli plemię. Wszyscy wiedzieli, że szczelina znajduje się nad jego antresolą.

Wziął głęboki wdech, próbując opanować gniew. Kirra zmieniała coś, co nie wymagało zmiany. Odkąd pamiętał, obserwował eter przez tę przerwę, ale nie mógł teraz zatrzymać prac. Przesmyk, który miał tylko kilkanaście centymetrów szerokości, powiększył się do kilkudziesięciu i odsłonił dachowe belki. Widział przez niego koce na swoim posłaniu.

– Bear wspomniał mi też o kilku innych rzeczach, które wymagają naprawy, skoro już zabraliśmy się za robotę – powiedziała Kirra.

– Przejdź się ze mną, Kirro – powiedział Perry.

– Z przyjemnością. – Dźwięk jej głosu, słodki jak nektar, działał mu

na nerwy.

Perry czuł na sobie ludzkie oczy, kiedy oboje schodzili po drabinie, a potem szli przez wioskę. Poprowadził ją szlakiem do przystani, wiedząc, że nikogo tam nie zastaną. O tak wczesnej porze rybacy nie będą wracać z połowów.

– Pomyślałam, że czas się na coś przydać – powiedziała Kirra, kiedy się zatrzymali.

Zaskoczyło go, że odezwała się pierwsza.

– Jeśli chcesz pracować, przyjdź do mnie, nie do Beara.

– Chciałam, ale nie mogłam cię znaleźć. – Uniosła brew. – Czy to znaczy, że chcesz, żebyśmy zostali?

Perry rozmyślał nad tym cały poranek, wysłuchując tyrad Marrona o pracach niezbędnych w jaskini. Nie widział powodu, żeby odrzucić grupę silnych i sprawnych pracowników. Jeśli nie mylił się co do eteru, to ich dni i tak były policzone.

– Tak – powiedział. – Chcę, żebyście zostali.

Kirra z zaskoczenia szeroko otworzyła oczy, ale szybko się opanowała.

– Spodziewałam się, że dłużej będziesz się opierał. Jeśli mam być szczerą, wcale by mi to nie przeszkadzało.

Choć jej słowa brzmiały zalotnie, trudno było wyłapać zapach jej nastroju. Była to nietypowa mieszanka ciepła i chłodu. Słodkiego i gorzkiego.

Roześmiała się, zakładając za ucho zbłąkany lok.

– Denerwuję się, kiedy patrzysz na mnie tymi swoimi oczami.

– Innych nie mam.

– Nie chciałam przez to powiedzieć, że mi się nie podobają.

– Wiem, co chciałaś powiedzieć.

Przestąpiła na drugą nogę, a jej zapach zrobił się nieco cieplejszy.

– No tak – powiedziała, błędząc wzrokiem po jego torsie, aż do łańcucha na szyi.

Jej zauroczenie jego osobą było prawdziwe – nie mogła tego udawać – ale Perry nie mógł oprzeć się wrażeniu, że próbuje złapać go na haczyk.

– To co mamy robić? – zapytała.

– Skończcie dach. Jutro pokażę wam jaskinię. – Odwrócił się, gotów odejść. Jednak gdy dotknęła jego ramienia, zatrzymał się. Jego ciało przeszła dawka adrenaliny.

– Będzie łatwiej, jeśli znajdziemy jakiś sposób, żeby się dogadać.

– Dogadujemy się – odrzekł i poszedł swoją drogą.

Przy kolacji grupa Kirry awanturowała się jak poprzedniego wieczoru. Dwaj mężczyźni, którzy naprawiali dziurę w dachu Perry'ego, Lark i Forest, pochodzili z dalekiego południa, tak jak Kirra. Na przemian głośno opowiadali dowcipy i historyjki w nieustającej słownej potyczce. Zanim kolacja dobiegła końca, Fale domagały się więcej zabawy.

Kirra szybko zyskała sobie sympatię. Perry obserwował, jak śmieje się z Grenem i Twigiem, a potem z Brooke. Przez chwilę rozmawiała nawet ze Starym Willem, sprawiając, że zarumienił się pod siwą brodą.

Perry'ego nie zdziwiło to, że tak szybko zyskała akceptację plemienia. Rozumiał, jaką czuli ulgę z powodu jej przyjazdu, i żałował, że nie podziela ich entuzjazmu. Wszystko, co robiła i mówiła, sprawiało, że czuł się jak cel.

Kiedy kantyna niemal całkiem opustoszała, Bear usiadł naprzeciw niego.

– Możemy porozmawiać, Peregrine?

Perry wyprostował się na dźwięk formalnego tonu jego głosu.

– Oczywiście. Co się dzieje?

Bear westchnął i nerwowo splótł palce.

– Dużo rozmawialiśmy i niektórzy z nas nie chcą przenosić się do jaskini. Nie ma teraz takiej potrzeby. Mamy wystarczająco dużo jedzenia, żeby przetrwać, a ludzie Kirry pomogą nam się bronić. Nie potrzebujemy więcej.

Perry poczuł niemiły ucisk w żołądku. Bear już wcześniej kwestionował jego decyzję, tym razem jednak było inaczej. Miał wrażenie, że chodziło o coś więcej. Odchrząknął i odpowiedział:

– Nie zmienię swoich planów. Przysięgałem robić to, co jest najlepsze dla plemienia, i to właśnie robię.

– Rozumiem – powiedział Bear. – Nie chcę ci się sprzeciwiać. Nikt z nas nie chce. – Wstał od stołu, a jego grube brwi zsunęły się w trosce. – Przepraszam, Perry. Po prostu chciałem, żebyś wiedział.

Później w domu Perry usiadł przy stole razem z Marronem i Reefem, podczas gdy reszta Szóstki grała w kości. Wszyscy byli w dobrych nastrojach po kolejnym wieczorze pełnym muzyki i rozrywek, podczas którego drugi dzień z rzędu najedli się do syta.

Przywódca Fal słuchał w zamyśleniu, jak przekazują sobie butelkę błyskacza i żartują. Z powodu rozmowy z Bearem czuł się nieswojo. Odejście Wylana bardzo go zabolalo, ale gdyby Bear zwrócił się przeciw niemu, przeżyłby to dużo ciężiej. Lubił Beara. Szanował go. O wiele trudniej było wiedzieć, że sprawiasz zawód komuś, na kim ci zależy.

Perry poprawił łańcuch na szyi. Nagle lojalność wydała mu się czymś bardzo ulotnym. Nigdy nie podejrzewał, że każdego dnia będzie musiał się starać na nią zasłużyć. Mimo że nie wybaczył bratu tego, co zrobił, Perry zaczynał rozumieć presję, pod której wpływem Vale sprzedał Talona i Clarę. Poświęcił jednostki dla dobra ogółu. Perry starał się sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby oddał Willow Osadnikom za pomoc w rozwiązaniu jego problemów. Już sama myśl sprawiła, że zrobiło mu się niedobrze.

– Znowu oczy węża. Przeklęte kości! – powiedział Maruder i podnosząc kubek, ukazał dwie jedyńki.

– Nie sądziłem, że ktoś mógłby mieć tyle pecha – rzucił Hyde z kpiącym uśmiechem.

– Ma tyle pecha, że to prawie szczęście – odparł Gren. – Odwrotne szczęście.

– Jest też odwrotnie przystojny – skomentował Hyde.

– A za chwilę dostaniesz odwrotnego sierpowego – Maruder odpalił bratu.

– To było odwrotnie mądre. Powiedziałaś właściwie, że sam sobie przywalisz.

Marron siedzący przy Perrym robił notatki w starych księgach Vale'a. Projektował przenośne piece, które dadzą jaskini światło i ciepło. Była to jedna z wielu rzeczy, które wywarły na Perrym wrażenie.

Reef siedział oparty na krześle, krzyżując ręce na torsie. Miał ciężkie powieki. Ignorując rozgrywkę, Perry opowiedział mu o rozmowie z Bearem.

Reef podrapał się po głowie i odgarnął warkocze.

– To przez Kirrę – powiedział. – Trochę tu zamieszała.

Kirra nie była jedyną przyczyną, pomyślał Perry. Była nią Liv. Przez małżeństwo z Sable'em dała Falom szansę. Zastanawiał się, czy wiedziała, jak bardzo jej potrzebują. Poczł gwałtowne ukłucie w piersi na myśl o tym, jak bardzo tęskni za siostrą. Jak bardzo jest za nią wdzięczny. Jak mu przykro z powodu jej poświęcenia. Liv miała teraz zupełnie nowe życie. Nowy dom. Kiedy znów ją zobaczy? Odepchnął od siebie te myśli.

– Zgadzasz się z Bearem? – zapytał Reefa. – Uważasz, że powinniśmy tu zostać?

– Zgadzam się z Bearem, ale pójdę tam gdzie ty. Wszyscy pójdziemy – powiedział, wskazując brodą na resztę drużyny.

Perry'emu zrobiło się słabo. Miał ich wsparcie, ale opierało się ono na lenniczej zależności. Na obietnicy, którą złożyli mu wiele miesięcy

temu, klęcząc na jednym kolanie. Szli za nim na ślepo, nie dostrzegając logiki ani przenikliwości jego decyzji, a to nie było w porządku.

– Jeśli ma to jakieś znaczenie – wtrącił się Marron – to ja się z tobą zgadzam.

Perry skinął głową w podziękowaniu. W tamtej chwili miało to dla niego ogromną wartość.

– A ty, Per? – odezwał się Maruder. – Nadal uważasz, że powinniśmy się przenieść?

– Tak – odparł Perry, kładąc ręce na stole. – Kirra przyprowadziła wojowników i dostarczyła nam jedzenie, ale nie powstrzymała eteru. A musimy być przygotowani. Z tego, co wiemy, Kirra i jej ludzie mogą się jutro spakować i wyjechać.

Momentalnie pożałował swoich słów. Gra w kości została przerwana i zapadła niezręczna cisza. Mówił, jakby miał paranoję, że wszyscy go zostawią.

Poczuł ulgę, kiedy z antresoli odezwał się Cinder i przerwał krępujące milczenie.

– Ja też jej nie lubię.

– Bo załatała dach?

Cinder wychylił głowę, przytrzymując czapkę, żeby nie spadła mu z głowy.

– Nie. Po prostu jej nie lubię.

Perry już wcześniej się tego domyślił. Cinder wiedział, że Scirzy potrafią wyczuć płynący w nim eter. Biorąc jednak pod uwagę, że kłujący zapach eteru był teraz wszędzie, nie musiał się martwić Kirrą.

Twig przewrócił oczami i zamieszał kości w kubku.

– Dzieciak nikogo nie lubi.

Gren szturchnął go łokciem.

– Nieprawda. Lubi Willow, prawda, Cinder? Zresztą, co ty wiesz, żabi amatorze?

Kiedy dom wypełnił rechot sześciu mężczyzn i jednego chłopca, Marron zamknął księgi. Zanim wyszedł, nachylił się do Perry'ego i powiedział:

– Przywódcy muszą widzieć jasno w ciemności, Peregrine. Ty już to potrafisz.

Godzinę później Perry wstał od stołu i zaczął się przeciągać. W domu było już cicho, ale na zewnątrz hulał wiatr. Słyszał jego niski świst. W palenisku lekko tlił się żar.

Spojrzał w górę na antresolę, próżno poszukując przesmyku światła,

który zawsze tam był. Z podestu zwisała stopa Cindera, lekko podskakując w sennym tiku. Perry przeszedł nad Haydenem i Maruderem i otworzył drzwi do sypialni Vale'a.

W środku było chłodniej i ciemniej. Podłoga w sąsiednim pomieszczeniu była zajęta po ostatni centymetr, niekorzystanie z tego pokoju było więc bez sensu, nie mógł się jednak do tego zmusić. Nigdy nie było mu łatwo przebywać w tych ścianach. Jego matka i Mila zmarły w tym pokoju. Miał tylko jedno dobre wspomnienie z nim związane.

Położył się na łóżku i powoli wypuścił powietrze z płuc, patrząc na drewniane belki na suficie. Przywykł już do tego, że walczył sam ze sobą, teraz jednak się nie opierał. Pozwolił sobie powspominać, jak to było trzymać Arię w ramionach tuż przed ceremonią i uśmiechać się do niej, gdy pytała, czy za czymś kiedyś tęsknił.

Jego odpowiedź się nie zmieniła. Prawda była taka, że bez względu na to, jak bardzo próbował to opanować, tęsknił za nią. Zawsze.

28 ARIA

Liv pogładziła dłońmi jedwab swojej ślubnej sukni w kolorze kości słoniowej.

– Jak ci się podoba? – zapytała. – Jej włosy układały się w złote fale, które opływały jej ramiona, a oczy nadal miała zapuchnięte od snu. – W porządku?

Były w pokoju Liv, dużej komnacie z balkonem, podobnym do tego w jadalni, na którym stała poprzedniego wieczoru. W wielkim kamiennym kominku skwierczał ogień, a drewniane podłogi przykryte były grubymi futrzanymi dywanami.

Aria siedziała na obitej aksamitem kanapie i przyglądała się, jak tęga kobieta przypina szpilkami rąbek sukni Liv. Była zmęczona i żałowała, że poprzedniej nocy Liv nie poszła spać do siebie. Z zewnątrz dosięgła ją chłodna poranna bryza przynosząca zapach dymu – dowód wczorajszej burzy.

– Lepiej niż w porządku – odpowiedziała Aria. Prosty krój sukni uwydatniał smukłą, wysportowaną sylwetkę Liv i podkreślał jej urodę. Wyglądała zachwycająco. Była też zdenerwowana. Odkąd pół godziny wcześniej włożyła suknię, ani na chwilę nie przestała stukać palcami o swoje udo.

– Stój spokojnie, bo inaczej cię ukłuję – powiedziała krawcowa, przytrzymując sobie szpilki w zębach. Jej głos był niewyraźny i poirytowany.

– To kiepska groźba, Reno. Ukłułaś mnie już z dziesięć razy.

– Bo telepiesz się jak ryba bez wody. Stój nieruchomo.

Liv przewróciła oczami.

– Jak skończymy, każę cię wrzucić do rzeki.

– Jak tak dalej pójdzie, to sama się rzucę – odparła naburmuszona Rena.

Liv żartowała, ale z sekundy na sekundę robiła się coraz bledsza, a Aria nie mogła jej się dziwić. Za dwa dni miała wyjść za mąż za kogoś, kogo nie kochała. Za Sable'a.

Aria zerknęła w stronę drzwi, czując, że z niepokoju skręca ją w żołądku. Nie widziała Roara, odkąd wyszedł wczoraj w trakcie kolacji.

Głosy z korytarza niosły się dudnieniem po drewnianej podłodze.

Poznawała dopiero siatkę krętych korytarzy. Komnata Sable'a znajdowała się w pobliżu. Teraz, kiedy Sable wiedział, że chodzi jej o Wielki Błękit, będzie jej trudniej wymknąć się w poszukiwaniu informacji, ale i tak miała zamiar spróbować.

– Pamiętasz, co powiedziałaś o niesfornym ptaku? – ni stąd, ni zowąd zapytała Liv. – W pełni się z tobą zgadzam.

– Naprawdę? – odparła Aria, prostując plecy.

Liv pokiwała głową.

– Nie da się go oswoić... Myślisz, że jest już za późno?

Za późno, by wyznać Roarowi, że go kocha? Aria niemal roześmiała się z czystej radości.

– Nie, myślę, że na to nigdy nie jest za późno.

Przez kolejne dziesięć minut, gdy krawcowa kończyła pracę, Aria była równie niespokojna jak Liv, próbując powstrzymać uśmiech, który cisnął się jej na usta.

– Jesteś tego pewna?

– Tak. To jedyna rzecz, co do której nigdy nie miałam wątpliwości.

A teraz pomóż mi to ściągnąć. Muszę go znaleźć. – W kilka sekund przebrała się w brązowe spodnie, skórzane botki i białą koszulę z długim rękawem. Skręciła włosy za plecami i zarzuciła pas, do którego przypięta była pochwa z jej mieczem.

Sprawdziły sypialnię Roara, a potem pokój Arii, ale oba były puste. Dyskretnie wypytały też kilku strażników. Nikt go nie widział.

– Jak myślisz, gdzie się podziewa? – Aria zapytała Liv, która prowadziła ją krętymi korytarzami zamku.

Liv uśmiechnęła się chytrze.

– Mam kilka pomysłów.

Aria nastawiła uszu, kiedy wyszły na ciemne ulice miasta. Podczas poszukiwań Roara mogła jednocześnie zebrać trochę informacji.

Ludzie rozpoznawali Liv, kiedy szła między nimi, kłaniali się jej i pozdrawiali ją. Z powodu wzrostu trudno ją było zresztą przeoczyć. Za kilka dni miała się stać bardzo wpływową kobietą – władczynią u boku Sable'a – i była za to podziwiana. Aria zastanawiała się, jakie to uczucie. Chciała stać przy Perrym silna i akceptowana za to, jaka jest.

Wydawało się, że wszyscy rozmawiają o wczorajszej burzy.

Południowe pola Rimu nadal płonęły, przez co ludzie zastanawiali się, jakie działania podejmie Sable. Aria zadawała sobie to samo pytanie. Jeśli jego ziemie nadal stały w płomieniach – jeśli cierpiał z powodu eteru tak jak inni – dlaczego jeszcze nie wyruszył do Wielkiego Błękitu? Dlaczego

czekał?

– Jak duże jest plemię Rogów? – zapytała Liv, kiedy przeciskały się przez tłum na targowisku.

– Tysiące w samym mieście, a na obrzeżach jeszcze więcej. Ma też kolonie. Lubi mieć wszystkiego dużo i najlepszej jakości. Dlatego gardzi Osadnikami. – Spojrzała na Arię i lekko wzruszyła ramionami w przeproszającym geście. – Nie może kupić waszych miast i doprowadza go to do szału. Nienawidzi tego, czego nie może mieć.

Takie wytłumaczenie miało więcej sensu niż teoria Wylana o trwającej od pokoleń waśni.

Arii szumiało w głowie od nieustających myśli. W jaki sposób Sable przeniósłby całe plemię składające się z tysięcy ludzi do Wielkiego Błękitu? Nie tylko ludzi, ale i zapasy, których potrzebowali, jednocześnie sprytnie unikając eterowych burz? Nie mogła sobie tego wyobrazić. Może właśnie dlatego jeszcze tego nie zrobił.

Liv zatrzymała się przed krzywymi drzwiami, z których odchodziła czerwona farba. Uszu Arii dobiegły stłumione rozmowy.

– Jeśli Roar gdzieś się zaszłył, to na pewno tu.

Gdy weszły do środka, Aria zobaczyła długie stoły, przy których siedzieli mężczyźni i kobiety. W zatęchłym powietrzu unosił się słodki jak miód zapach błyskacza.

– To bar. – Aria pokręciła głową, musiała jednak przyznać, że było to dobre miejsce, by rozpocząć poszukiwania. Kiedy poznała Roara, miał ze sobą butelkę. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Znalazły Roara w trzeciej odwiedzonej knajpie. Siedział sam przy stole w ciemnym rogu sali. Kiedy je zobaczył, skrzywił się i opuścił głowę.

Gdy Aria podeszła do niego, nadal się garbił i zaciskał dłonie w pięści. Wyglądał na załamanego.

Usiadła naprzeciw niego.

– Martwiłam się o ciebie – powiedziała, siląc się na beztroski ton. – Nienawidzę się martwić.

Zerknął na nią przekrwionymi oczami i posłał jej krótki, zmęczony uśmiech.

– Przepraszam.

Potem przeniósł wzrok na Liv, która usiadła koło niego.

– Czy nie powinnaś właśnie wychodzić za męża?

Liv ledwie była w stanie zachować powagę. Położyła Roarowi dłoń na głowie. Zerwał się i próbował odsunąć, ale ona mocno go przytrzymała.

Mijały sekundy. Roar najpierw patrzył na jej dłoń, potem w oczy, a jego twarz zmieniała wyraz z zagubionego na spokojny. Z załamane go na szczęśliwy.

Aria czuła, jak ściska ją w gardle, i nie mogła już dłużej na niego patrzeć. Na końcu słabo oświetlonej sali mężczyzna o ziemistej cerze pochwycił jej spojrzenie i utrzymał je o chwilę za długo.

– Liv – Aria ostrzegła ją cicho. Byli obserwowani.

Liv cofnęła dłoń, ale Roar się nie poruszył. Żył na jego szyi były nabrzmiące, a oczy błyszczały mu od łez. Wstrzymywał oddech. Ledwie się kontrolował.

– Prawie mnie zabiłaś – szepnął ochryłym głosem. – Nienawidzę cię, Liv. Nienawidzę cię.

Jedno wielkie kłamstwo. Zupełne przeciwieństwo prawdy. Tu, pośród ludzi Sable'a, tylko to mógł powiedzieć.

– Wiem – odpowiedziała Liv.

Starsza kobieta z kwaśną miną, stojąca za barem, mierzyła Arię wzrokiem. Nagle dziewczyna odniosła wrażenie, że wszyscy ich podsłuchują.

– Musimy się stąd wynosić – szepnęła.

– Liv, to ty musisz się stąd wynosić – cicho powiedział Roar. – Zaraz. Zbyt dużo ryzykujesz, zostając. On się dowie, co czujesz.

Liv pokręciła głową.

– To nie ma znaczenia, to niczego nie zmieni. Wiedział w chwili, kiedy się tu pojawiłeś.

Aria nachyliła się w ich stronę.

– Idziemy – powiedziała dokładnie w chwili, kiedy przez drzwi wpadli strażnicy Sable'a.

Arii i Roarowi odebrano noże i wyciągnięto ich na ulice miasta. Widząc, że są traktowani jak więźniowie, Liv zaczęła wrzeszczeć i rzucać się i mało brakowało, a sięgnęłaby po swój miecz, ale strażnicy byli nieustępliwi. Rozkaz Sable'ego, powiedzieli.

Aria wymieniła z Roarem zatroskane spojrzenia, kiedy docierali do zamku. Liv powiedziała, że Sable zna jej prawdziwe uczucia. Nie wyglądała na zmartwioną. Ich małżeństwo było zaaranżowane – nigdy nie chodziło w nim o miłość. Mimo to Aria czuła w żołądku dręczącą ją troskę.

Zostali przeprowadzeni przez wielką komnatę, która teraz stała pusta, i krętymi korytarzami dotarli do jadalni, gdzie stał jeżynowy bukiet i wisiały rdzawe kotary. Sable siedział przy stole i rozmawiał z mężczyzną,

który wydał się Arii znajomy. Był przemoknięty, a z jego ubrań zwisały łyżki i świecidełka. Miał niewiele zębów, a te, które mu pozostały, były powykrzywiane.

Pamiętała go jak postać ze snu – albo z koszmaru. I wtedy sobie przypomniała. Widziała go podczas ceremonii. To plotkarz, który odwiedził wioskę, kiedy próbowano ją otruć, a Perry stracił część swojego plemienia.

W jej głowie była tylko jedna myśl.

Ten człowiek wiedział, że jest Osadniczką.

Kiedy go zobaczyła, Sable wstał, odpychając krzesło. Przelotnie zerknął na Liv i Roara pozbawionym emocji wzrokiem, zanim w pełni skupił się na niej.

– Przepraszam, że zepsułem ci zabawę, Ario – powiedział, podchodząc do niej bliżej – ale Shade właśnie przekazał mi pewne bardzo ciekawe fakty o tobie. Wychodzi na to, że miałem rację. Rzeczywiście jesteś wyjątkowa.

Czuła, jak serce kołacze jej o żebra. Sable stanął naprzeciw niej i nie mogła już uciec przed jego przeszywającym błękitnym spojrzeniem. Kiedy odezwał się znowu, ton jego głosu sprawił, że po plecach przeszły jej ciarki.

– Czy przyszłaś tu ukraść moją wiedzę, Osadniczko?

Widziała tylko jedno rozwiązanie. Jedną szansę. Musiała z niej skorzystać.

– Nie – powiedziała. – Przyszłam tu ubić interes.

29
PEREGRINE

– Okropność – powiedziała Kirra.

Pijąc z bukłaka, Perry patrzył, jak dziewczyna otrzepuje piasek z dłoni.

– Piasek jest okropny? Nigdy nie słyszałem czegoś takiego.

– Pewnie myślisz, że to niedorzeczne.

Pokręcił głową.

– Raczej niemożliwe. Jakby ktoś nienawidził drzew.

Kirra uśmiechnęła się.

– Drzewa są mi obojętne.

Ich konie skubały na wydmach morską trawę.

Większą część dnia spędzili z Marronem, przydzielając ludzi Kirry do różnych zadań. Potem Perry pokazał jej północne granice – chciał wykorzystać jej ludzi także do patrolowania terenów. Teraz zatrzymali się na krótki odpoczynek nad brzegiem morza przed powrotem do wioski.

Musieli szybko wracać, bo z północy nadciągała burza, chciał jednak spędzić jeszcze kilka minut nie w roli Wodza Krwi.

Tego poranka łatwiej mu się przebywało w towarzystwie Kirry. A ponieważ mieli mnóstwo pracy do wykonania, jej sugestia, by zaczęli się dogadywać, była słuszna. Postanowił dać jej szansę.

Dziewczyna oparła się na łokciach.

– Tam, skąd pochodzę, mamy jeziora. Są spokojniejsze i czystsze. Łatwiej wylapać zapachy, kiedy w powietrzu nie ma tyle soli.

Uważał inaczej. Wolał wyczuwać zapachy niesione wilgotną morską bryzą, choć z drugiej strony nigdy nie sądził, że istnieje coś innego.

– Czemu stamtąd wyjechałaś?

– Zostaliśmy wygnani przez inne plemię, kiedy byłam mała.

Dorastałam na ziemiach niczyich, aż przygarnęły nas Rogi. Sable był dla mnie dobry. Jestem jego ulubienicą w kwestii zadań takich jak to. Nie skarżę się. Wolę podróżować, niż bezustannie tkwić w mieście. –

Uśmiechnęła się. – Ale wystarczy o mnie. – Spojrzała na jego dłoń. – Zastanawiałam się, skąd masz te blizny.

Perry napiął palce.

– Oparzyłem się w zeszłym roku.

– Wygląda poważnie.

– Było.

Nie chciał mówić o swojej dłoni. Cinder podpałił ją jak pochodnię. Aria ją opatrywała. O żadnym z tych zdarzeń nie chciał rozmawiać z Kirrą. Zapadła cisza. Perry wpatrywał się w morze, gdzie daleko na horyzoncie błyskał eter. Nad wodą burze trwały teraz nieustannie.

– Nie wiedziałam o dziewczynie, Osadniczce, kiedy tu przyjechałam – odezwała się Kirra po dłuższym milczeniu.

Perry oparł się nagłej potrzebie, by po raz kolejny zmienić temat.

– A więc jednak nie wszystko o mnie słyszałaś.

Przechyliła głowę w bok tak jak on.

– Wychodzi na to, że się minęłyśmy – powiedziała. – Może jesteśmy tą samą osobą? Może jestem tu w przebraniu.

Tak go to zaskoczyło, aż się zaśmiał.

– Na pewno nią nie jesteś.

– Nie? Założę się, że znam cię lepiej niż ona.

– Nie wydaje mi się, Kirro.

Uniosła brwi.

– Czyżby? Zobaczmy... Martwisz się o swoich ludzi i jest to głębsza sprawa, nie tylko zobowiązanie wynikające z noszenia łańcucha. Po prostu musisz troszczyć się o nich. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że bezpieczeństwo i ochrona to rzeczy, których sam nigdy nie zaznałeś.

Perry zmusił się, by nie odwrócić wzroku. Nie mógł jej winić za to, co wiedziała. Była taka jak on. Tak poznawała ludzi. Docierała aż do źródła ich uczuć. Do najgłębiej ukrytych prawd.

– Łączy cię silna więź z Reefem i Marronem – mówiła dalej. – Ale przyjaźń z jednym z nich jest dla ciebie trudniejsza.

Znów trafiła. Marron był dla niego mentorem, doświadczonym kolegą. Reef był mu bardziej jak ojciec, a to rodzaj więzi, która nigdy nie była dla niego łatwa.

– No i jest jeszcze Cinder – powiedziała. – Z tego, co wiem, nie jesteś mu bezgranicznie oddany, ale jest między wami coś bardzo silnego.

– Przerwała na chwilę, czekając na jego komentarz, ale kiedy wciąż nic nie mówił, ciągnęła sama. – Najciekawszy jest jednak twój nastrój w obecności kobiet. Najwyraźniej...

Perry wydał z siebie stłumiony śmiech.

– Dobrze, wystarczy tego. Możesz już przestać. A ty, Kirro?

– Co „ja”? – Jej głos był spokojny, ale dosięgnął go wyraźny zielony zapach, połykający ekscytacją.

– Od dwóch dni próbujesz mnie omotać, ale nie dziś.

– Nadal bym próbowała, gdybym sądziła, że mam jakieś szanse – powiedziała bezpośrednio i bez skrępowania. – W każdym razie przykro mi z powodu tego, co teraz przechodzisz.

Wiedział, że to haczyk, ale tym razem nie mógł się powstrzymać.

– Co przechodzę?

Wzruszyła ramionami.

– Zdradę twojego najlepszego przyjaciela.

Perry utkwiał w niej wzrok. Myślała, że Aria i Roar są parą? Pokręcił głową.

– Źle usłyszałaś. Są tylko przyjaciółmi i oboje udali się na północ.

– Ach tak... Chyba założyłam, że skoro oboje są Audami i wyruszyli bez pożegnania, to tak pewnie jest. Przepraszam. Zapomnijmy, że w ogóle poruszyłam ten temat. – Spojrzała w niebo. – Nie wygląda to najlepiej. – Wstała i otrzepała dłonie z piasku. – Chodź. Musimy wracać.

Kiedy jechali w stronę wioski, Perry nie mógł odegnać od siebie pewnych wspomnień.

Jak Roar podniósł i uściskał Arię, kiedy spotkali się po ich powrocie.

Jak żartował sobie na plaży, po tym jak Perry pocałował Arię. „Mnie też doprowadza do szału”.

Żart. To na pewno był tylko żart.

Jak Aria i Roar śpiewali w kantynie podczas burzy. Ich głosy idealnie brzmiały razem, jakby robili to już setki razy.

Perry pokręcił głową. Wiedział, co Aria do niego czuje i co łączy ją z Roarem. Kiedy byli razem, czuł tę różnicę nosem.

Kirra zrobiła to celowo. Miała zamiar zasiać w nim wątpliwość, ale Aria go nie zdradziła. Nie zrobiłaby tego, tak samo jak Roar. To nie dlatego zniknęli bez słowa.

Nie chciał myśleć o prawdziwym powodzie. Odsuwał go od siebie od tygodni, ale bez skutku. Prawdziwy powód powracał, nie dając mu spokoju.

Aria odeszła, ponieważ została otruta. Zniknęła, ponieważ tu – w jego domu i pod jego nosem – prawie zginęła. Musiała odejść, bo on obiecał ją chronić, ale nie dotrzymał słowa. Oto dlaczego.

Bo ją zawiódł.

30 ARIA

– To Wizjer – powiedziała Aria, trzymając urządzenie w drżących dłoniach. Siedziała z Sable’em przy stole, a za oknami padało. Zapadała noc i Aria słyszała szmer Wężowej Rzeki nabrzmiałej od deszczowej wody.

– Słyszałem o nich – powiedział Sable.

Aria pamiętała wyraz jego oczu, kiedy ostatnio tu razem siedzieli. Złapał ją wtedy za nadgarstek. Wiedziała, że bez wahania wyrządzi jej krzywdę, jeśli zechce.

Liv siedziała przy nim w ciszy. Jej twarz nie ujawniała żadnych emocji. Po drugiej stronie sali Roar opierał się o ścianę w wyluzowanej pozycji, ale jego oczy wędrowały to na Sable’a, to na strażników przy drzwiach, skupione, analizujące.

Aria przełknęła ślinę przez zaschnięte gardło.

– Od razu kontaktuję się z konsulem Hessem.

Nigdy wcześniej nie czuła się tak skrupowana przy zakładaniu urządzenia jak teraz. Gapili się na nią nawet strażnicy przy drzwiach. Sable odprawił przynajmniej plotkarza łachudrę.

Kiedy zaczęła frakcjonować, pojawiła się w gabinecie Hessa. Stał przy szklanej ścianie za swoim biurkiem. Tak jak wcześniej zobaczyła Panop i poczuła znajomą tęsknotę za domem.

– Tak? – Hess zapytał z niecierpliwością.

– Jestem z Sable’em.

– Wiem, gdzie jesteś – powiedział Hess, nie kryjąc irytacji.

– On jest przy mnie – powiedziała. – Siedzi naprzeciw mnie.

Hess stanął przed biurkiem. Teraz miała jego pełną uwagę. Mówiła dalej:

– Wie, gdzie jest Wielki Błękit, i mówi, że będzie pertraktował.

Aria usłyszała swój własny głos, który wydał się jej dobiegać z daleka. W rzeczywistości czuła drewniane oparcie krzesła na plecach, wrażenie niewyraźne i odległe. Była w jadalni Sable’a i w gabinecie Hessa, ale wszystko wydawało się jej nierealne. Nie wierzyła, że to się dzieje naprawdę.

– Sable sam to zaproponował?

Aria pokręciła głową.

– Nie, to był mój pomysł. Zastanawiałam się, co atrakcyjnego moglibyśmy zaoferować. – W dniu kiedy wyrzucono ją na zewnątrz, widziała w Reverie hangar pełen pojazdów. – Miałam przeczucie i okazało się, że się nie mylę.

Hess patrzył na nią przeciągle, mrużąc oczy.

– Gdzie będzie transport i dla ilu osób?

– Nie wiem – odparła. – Sable chce rozmawiać z panem w cztery oczy.

– Kiedy? – zapytał Hess.

– Teraz.

Hess pokiwał głową.

– Daj mu Wizjer, zajmę się resztą.

Aria zakończyła frakcjonowanie, ale nie zdjęła jeszcze z oka Wizjera. W realnym świecie Sable wpatrywał się w nią intensywnie. Pamiętając, by oddychać spokojnie, wybrała maskę Upiora.

Soren przemówił, kiedy tylko pojawiła się z nim w sali opery.

– Załatwione!

– Nagrasz to spotkanie? Chcę wiedzieć wszystko, co powiedzą. Chcę to sama zobaczyć.

– Przecież już powiedziałem. – Na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech. – Nieźle, Ario. Całkiem nieźle.

Aria wyłączyła Wizjer, ściągnęła go i położyła na dłoni. Palce nadal jej drżały i nie mogła nad nimi zapanować.

– Wszystko nastawione – powiedziała do Sable'a. – Hess czeka.

Sable wyciągnął rękę, ale Aria zawahała się, czując nagłą zaborczość. Perry'emu dobrowolnie pomogła dostać się do Sfer, ale tę sytuację postrzegala inaczej, jakby wpuszczala kogoś obcego do swojego prywatnego miejsca. Nie miała jednak wyboru. Sable poda Hessowi położenie Wielkiego Błękitu w zamian za transport. Jej część umowy zostanie spełniona. Odzyska Talona i uwolni się od Hessa.

Podala urządzenie Sable'owi.

– Umieść je na lewym oku, tak jak ja. Mocno przywrze do twojej skóry. Zachowaj spokój i oddychaj powoli, a szybko się przyzwyczaisz. Hess ściągnie cię do Sfery, kiedy urządzenie zostanie aktywowane.

Od Wizjera odbijało się światło świecy, kiedy Sable obracał go w palcach. Z zadowoleniem umieścił urządzenie na oku. Aria obserwowała, jak ramiona wodza Rogów napinają się wraz z działaniem biotechnicznej powłoki, a po chwili rozluźniają się, przyzwyczajając do delikatnego napięcia. Chwilę później Sable mruknął cicho, a jego wzrok

zrobił się nieobecny. Wiedziała, że zaczął frakcjonować do Sfer. Był z Hessem. Teraz mogła tylko czekać.

Aria rozsiadła się wygodnie na krześle i zaczęła sobie wyobrażać, jak wyglądają negocjacje pomiędzy Sable'em a Hessem. Kto postawi na swoim? Wszystko zobaczy później dzięki Sorenowi. Nigdy by się nie spodziewała, że będzie miała sprzymierzeńca za murami kapsuły.

Minuty mijały w zupełnej ciszy, aż nagle Sable zerwał się na równe nogi i rozejrzał po pokoju, po czym ściągnął Wizjer z oka.

– Niewiarygodne – powiedział, patrząc na małą łatkę w swojej dłoni.

– Co powiedział Hess? – zapytała.

Sable wziął niespieszny wdech.

– Powiedziałem mu, czego żądam. Sprawdza to.

– Czyli czekamy? – zapytała Aria. – Jak długo?

– Kilka godzin.

Aria aż jęknęła. To niewiele czasu. Nie mogła uwierzyć, że plan działa. Czuła się tak, jakby właśnie zrobiła pierwszy krok w drodze powrotnej do Fal. Z powrotem do Perry'ego.

Sable wstał od stołu.

– Chodźmy, Olivio – powiedział, kierując się do drzwi.

Aria zerwała się na równe nogi.

– Zaczekaj – powiedziała. – Wizjer. Oddam ci go, kiedy nadejdzie pora.

– Nie ma potrzeby. Zatrzymam go – odparł Sable, odwracając się w jej stronę.

– Należy do niej, Sable. – Liv stanęła przy jej boku.

– Już nie – powiedział, a potem zwrócił się do strażników przy drzwiach. – Przetrzyjcie ich do rana. Osadniczka może mi się jeszcze przydać. Wyrzucicie ich o świcie. – Sable przeniósł swoje zimne stalowe oczy na Liv. – Jestem przekonany, że rozumiesz, iż twoi przyjaciele nie mogą zostać dłużej.

Liv zerknęła na Roara, który stał kilka kroków od niej, zupełnie nieruchomy.

– Rozumiem – powiedziała, a potem wyszła za nim, nie odwracając się ani razu.

Kilka godzin później Aria siedziała z Roarem przy stole i patrzyła na rdzawe zasłony poruszane wiatrem. Jadalnia tonęła w ciemności, jedyne światło docierało przez otwarte balkonowe drzwi. Co jakiś czas słyszała stłumione głosy strażników postawionych przy drzwiach.

Potarła odrętwiałe ramiona. Sable na pewno spotkał się już z Hessem

po raz drugi. Wykorzystał ją i pozbył się jej. Pokręciła głową. Miał więcej wspólnego z Hessem, niż przypuszczała.

Na zewnątrz deszcz przestał padać. Poświata nieba odbijała się od mokrych kamieni na balkonie. Ze swojego miejsca Aria widziała prądy eteru. Jaskrawe pasma płynęły na tle nocnego nieba. Niedługo nadejdzie kolejna burza. Już jej to nie szokowało. W końcu stanie się tak, że burze będą się zdarzały codziennie i znów nastanie Jedność. Setki lejów będą uderzały w ziemię, niosąc całkowitą destrukcję. Zniszczenia nie dotrą jednak wszędzie.

Wyobraziła sobie oazę. Złociste miejsce lśniące w świetle słońca. Wyobraziła sobie przystań, nad którą po niebieskim niebie kołowały mewy. Zobaczyła Perry'ego i Talona, którzy razem łowią ryby na końcu pomostu, zadowoleni i beztroscy. Cinder też tam jest. Przytrzymuje czapkę na głowie, żeby nie zdmuchnął jej wiatr. Wyobraziła sobie, jak w pobliżu Liv i Roar szepczą coś do siebie, planując, kogo wrzucą do wody. I ona też tam była. Nucila piękną, spokojną melodię. Melodię, w której zawierały się szum morza i ciepło słońca. Melodię, która wyrażała, co do nich wszystkich czuje.

Tego właśnie chciała. To był jej Wielki Błękit i z każdym oddechem, z każdą mijającą sekundą mogła wybrać – walczyć o niego lub nie.

Zdała sobie sprawę, że właściwie nie ma o czym decydować. Zawsze będzie o niego walczyć.

Aria wstała i gestem przywołała Roara, by wyszedł za nią na balkon. Kiedy znaleźli się na zewnątrz, upiorne wycie wiatru sprawiło, że włos jej się zjeżył. Wężowa Rzeka w dole lśniła światłem eteru. Z kominów wzdłuż brzegów rzeki unosił się dym. Aria widziała też most, po którym weszli tu z Roarem poprzedniego dnia. W ciemności wyglądał jak łuk oświetlony pochodniami.

Roar stanął koło niej. Mięśnie jego szczęki były napięte, a oczy pełne złości.

Znalazła jego dłoń.

– Wykradniemy Wizjer. Możemy przejść po gzymsie na sąsiedni balkon i zakraść się do środka. Zaprowadzę nas do komnaty Sable'a. Talon potrzebuje Wielkiego Błękitu. Perry go potrzebuje. Jeśli Wizjer zarejestrował jego położenie, to mamy to, po co przyszliśmy. Zabierzemy Liv i zmywamy się stąd.

Był to plan desperacki. Niekonsekwentny i niebezpieczny. Z każdą minutą mieli jednak coraz mniej możliwości. To tylko kwestia godzin, zanim zostaną wyrzuceni z Rimu. Jeśli mieli ryzykować, to właśnie teraz.

– Dobrze – szepnął Roar zdecydowanie. – Chodźmy.

Aria zerknęła za niewysoką kamienną balustradę balkonu. Do następnego, oddalonego o jakieś trzy metry, prowadził wąski gzyms, nie szerszy niż dziesięć centymetrów. Aria spojrzała w dół. Nie miała lęku wysokości, ale poczuła ucisk w żołądku, jakby ją ktoś uderzył. Rzeka znajdowała się jakieś dwadzieścia metrów niżej. Upadek z takiej wysokości mógł zakończyć się śmiercią.

Aria przełożyła nogi na drugą stronę i stanęła na wąskim gzymsie. Podmuch wiatru sprawił, że jej koszula zaczęła łopotać. Jęknęła i wygięła plecy, czując dotykający je chłód. Zagłębiła palce w wyłobieniach, wzięła głęboki wdech i zrobiła pierwszy krok w stronę przeciwległego balkonu. Potem kolejny krok i kolejny.

Śledziła palcami kamienne bloki, chwytając się szczelin i krawędzi, jednocześnie nie spuszczać wzroku ze swoich stóp. Czują za sobą delikatne muśnięcia stóp Roara, gdzieś z góry dobiegł ją kobiecy śmiech.

Spojrzała przed siebie. Byli w połowie drogi.

Gdy stopa ześlizgnęła się jej z gładkiego kamienia, Aria uderzyła łydką o gzyms. Przerażona, z całych sił chwyciła się kamieni. Palce Roara przyłgnęły do jej ramienia, przytrzymując ją dla równowagi. Aria przycisnęła policzek do kamiennego muru, czując, jak napinają się jej wszystkie mięśnie. Bez względu na to, jak mocno przytuliłaby się do ściany, to i tak było za mało. Oddychała, zmuszając swój umysł, by zapomniał o wrażeniu spadania.

– Jestem tuż za tobą – szepnął Roar. Położył jej na plecach ciepłą, stanowczą dłoń. – Nie pozwolę ci spaść.

Mogła jedynie skinąć głową. Mogła iść tylko naprzód.

Krok po kroku zbliżała się do balkonu. Kiedy była już bardzo blisko, dostrzegła podwójne drzwi. Były otwarte, ale za nimi panowała ciemność. Czekwała, próbując opanować ogarniającą ją chęć, by natychmiast zejść ze śliskiego gzymsu, i nastawiła uszu, by dowiedzieć się, co jest w środku.

Nic nie usłyszała. Cicho jak makiem zasiał.

Aria przeskoczyła nad niskim murkiem balkonu i przykucnęła. Położyła dłoń na ziemi, czując potrzebę choćby chwilowego kontaktu z bezpiecznym gruntem. Roar bezszelestnie przykucnął koło niej.

Razem przemknęli przez balkon. Szybkie zerknięcie do środka wystarczyło, by się upewnić, że w pokoju nie ma nikogo. Cisi i nieuzbrojeni weszli do środka.

Pokój oświetlała tylko luna eteru, ale to wystarczyło, by Aria zobaczyła, że pokój jest prawie pusty – stało w nim tylko kilka krzesel pod

ścianą. Roar podszedł do nich zwinnym krokiem. Usłyszała dwa stłumione trzaski. Gdy wrócił, coś jej podał. Ułamany kawałek poroża. Aria wypróbowała, jak pasuje do ręki. Był mniej więcej tego samego rozmiaru co jej noże. Nie aż tak ostry, ale nadawał się na broń.

Podchodząc do drzwi, nasłuchiwali dźwięków z korytarza. Cisza. Wymknęli się przez drzwi i w pośpiechu skierowali do komnaty Sable'a. W hallu migotało światło lampionów. Aria zacisnęła dłoń na rogu. Całą zimę trenowała z Roarem umiejętności walki. Uczyła się prędkości, impetu, ostrożności. Czuła się gotowa, a pulsująca w niej krew pobudzała w niej strach i niecierpliwość.

Pokój Liv znajdował się w pobliżu, a komnata Sable'a niewiele dalej.

Aria usłyszała kroki i znieruchomiała. W jej uszach dudniły odgłosy kroków dwóch osób. Ciężkie pięty mocno uderzały o kamienną podłogę. Dźwięk odbijał się od ścian i nie można było stwierdzić, czy mężczyźni znajdują się przed czy za nimi. W oczach Roara dostrzegła tę samą niepewność. W którą stronę? Nie było czasu.

Razem ruszyli przed siebie, ślizgając się na posadzce. Albo unikną spotkania ze strażnikami, albo wpadną prosto na nich.

Dobiegli do końca korytarza w momencie, kiedy strażnicy wyłonili się zza rogu. Wtedy zrobili to, co trenowali. Roar rzucił się na większego mężczyznę. Aria zajęła się drugim.

Wbiła nóż w skroń strażnika. Jej cios był mocny i odbił się dojmującym bólem w całym jej ramieniu. Mężczyzna zatoczył się, zaskoczony. Aria chwyciła za nóż przypięty do jego pasa i przygotowała się do kolejnego ciosu. Była gotowa go zranić. Jego oczy zapadły się w tył czaszki. Stracił przytomność. Aria uderzyła go rękojęcią w szczękę i zdołała jeszcze chwycić go za rękaw munduru, przytrzymując, by nie gruchnął z impetem na ziemię.

Przez chwilę przyglądała się strażnikowi – jego rumianej twarzy i rozluźnionym wargom – i poczuła pewność siebie, jakiej nie dałby jej żaden tatuaż. Gdy się odwróciła, zobaczyła, jak Roar prostuje się nad leżącym na ziemi strażnikiem. Włożyła za pas nóż przeciwnika, a ciemne oczy Roara, chłodne i skupione, błysnęły w jej stronę. Skinął głową w stronę korytarza, po czym przerzucił sobie przez ramię mężczyznę, którego przed chwilą pokonał.

Aria nie była w stanie sama podnieść drugiego strażnika, a nie miała czasu na zastanowienie. Ile sił w nogach pobiegła do pokoju Liv, złapała za metalową klamkę i wpadła do środka.

Do ciemnego pokoju wdarło się światło z korytarza. Liv nie spała. Leżała na zasłanym łóżku. Kiedy zobaczyła Arię, zerwała się na nogi. Miała na sobie codzienne ubranie, łącznie z butami.

Liv spojrzała raz na nią, raz na drzwi, po czym bez słowa wypadła na korytarz, Aria za nią. Minęły Roara, który niósł nieprzytomnego strażnika. Liv bezszelestnie ujęła pod pachami drugiego mężczyznę, a Aria wzięła go za nogi. Obie zniosły go do jej pokoju i położyły pod ścianą, obok kolegi. Aria skoczyła do drzwi i zamknęła je z cichym szczękiem zamka.

Gdy się odwróciła, Liv i Roar stali mocno do siebie przytuleni.

31
PEREGRINE

Po kolacji Perry siedział w kantine, ale myślami błądził gdzie indziej. Myślał o Arii. Nie zdradziła go. Nie była z Roarem. Nie stracił jej. Myśli tłukły mu się po głowie w nieustającej gonitwie.

Eter gromadził się przez cały dzień, powodując ogólną nerwowość i oczekiwanie na uderzenie burzy. Marron i Reef w milczeniu siedzieli razem z nim. Niedaleko Kirra i jej ludzie, Lark i Forest, rozmawiali ściszymi głosami.

Tylko Willow zachowywała się normalnie. Siedziała naprzeciw Perry'ego i opowiadała Cinderowi, jak znalazła Pchlarza.

– To było cztery lata temu – powiedziała. – Był wtedy jeszcze bardziej kudłaty.

– Naprawdę? – odparł Cinder, próbując zachować powagę.

– Ja, Perry i Talon wracaliśmy z przystani, kiedy Talon go zauważył. Pchlarz leżał na boku nieopodal szlaku, prawda, Perry?

Na chwilę wyłonił się spomiędzy swoich myśli.

– Prawda.

– Podeszliśmy więc bliżej i wtedy zobaczyliśmy, że ma gwóźdź wbity w łapę, w tę miękką część pomiędzy palcami. – Willow rozczapierzyła dłoń, żeby mu pokazać. – Tam właśnie utknął gwóźdź. Bałam się, że pies mnie ugryzie, ale Perry od razu podszedł bliżej i powiedział: „Spokojnie, ty mały pchlarzu. Obejrzę tylko twoją łapę”.

Perry uśmiechnął się, słysząc, jak Willow go naśladuje. Nie wydawało mu się, by jego głos był aż tak niski. Willow mówiła dalej, a on spojrział na własną dłoń i rozprostował ją, przypominając sobie, jak trzymał w niej dłoń Arii.

Czy go nienawidziła? Czy zapomniała już o nim?

– Co się dzieje? – zapytał cicho Reef.

– Nic – odparł Perry, kręcąc głową.

Reef przyglądał mu się przez chwilę.

– Jasne – powiedział z poirytowaniem, jednak gdy wstawał od stołu, położył dłoń na ramieniu Perry'ego i szybko ją zacisnął, dodając mu otuchy.

Perry zdusił w sobie chęć, by stracić tę rękę. Nic się nie działo. Wszystko było w porządku.

Marron udawał natomiast, że niczego nie widzi. Siedział nad księgami Vale'a, gdzie sporządził diagram jaskini. Kiedy przewrócił stronę, Perry zobaczył rejestr pożywienia z zeszłego roku spisany dłonią brata. Wydawało im się wtedy, że mają tak niewiele. Teraz mieli jeszcze mniej. Zapasy przywiezione przez Kirrę nie wystarczą przecież na zawsze, a Perry nie wiedział, jak je uzupełnić.

Marron wyczuł, że jest obserwowany, i podniósł wzrok, uśmiechając się ciepło.

– Doskonały czas, by być Wodzem Krwi, nieprawdaż?

Perry przełknął ślinę. Czy to było politowanie?

– Bez ciebie byłoby ciężiej.

Uśmiech Marrona zrobił się jeszcze bardziej życzliwy.

– Zebrałeś dobrą drużynę, Perry. – Znowu pochylił się nad księgą i zaczął kreślić linie, a potem westchnął. – Chyba wystarczy na dziś. – Wetknął tom pod pachę i poszedł.

Jego wyjście spowodowało, że inni też zdecydowali udać się na spoczynek. Jeden po drugim ludzie opuszczali kantynę, na końcu Reef i Kirra. Perry patrzył, jak wychodzą, czując, jak bez powodu serce bije mu szybciej. W końcu został sam. Przysunął do siebie świecę i bawił się jej płomieniem. Oczy zachodziły mu łzami, gdy testował swój próg wytrzymałości, aż płomień zamigotał i zgasł.

Kiedy w końcu wyszedł na zewnątrz, poczuł zapach popiołu i ukłucia eteru. Powietrze miało woń zniszczenia. Na niebie jasność mieszała się z mrokiem. Spokój i dynamika. Za kilka godzin rozpocznie się burza, a plemię zgromadzi się w kantynie w poszukiwaniu schronienia.

Przez plac na środku wioski szedł do niego Pchlarz, którego uszy podskakiwały w górę i w dół. Perry przykucnął i podrapał psa po plecach.

– Cześć, ty mały pchlarzu. Masz oko na wszystko?

Pchlarz dyszał. Nagle Perry przypomniał sobie, jak wiele tygodni temu pies w podobny sposób leżał przy nodze Arii. Nagle opanowała go chęć, by znowu jasno myśleć. By pozbyć się jej ze swojej głowy.

Perry skierował się w stronę szlaku, który prowadził na plażę, a kiedy Pchlarz go wyprzedził, pobiegł za nim sprintem, jakby to był wyścig. Zeskoczył z ostatniej wydmy, nie marząc o niczym, tylko o tym, by zanurkować w morzu.

Kiedy upadł na miękki piasek, zastygł w bezruchu.

Pchlarz biegł w stronę dziewczyny nad brzegiem. Stała twarzą do wody. Była wyższa niż Willow, miała ciało kobiety, a rudy kolor jej włosów mógł rozpoznać nawet w niebieskiej łunie eteru.

Na widok Pchlarza Kirra odwróciła się, dostrzegając Perry'ego. Podniosła rękę i lekko mu pomachała.

Perry zawahał się, wiedząc, że powinien odmachać jej na pożegnanie i wrócić do wioski, ale zanim się zorientował, stał przed nią, choć nie pamiętał, ani jak do niej podszedł, ani że postanowił zostać.

- Liczyłam na to, że się pojawisz – powiedziała, uśmiechając się.
- Myślałem, że nie lubisz morza. – Jego głos był niski i ochryply.
- Kiedy jesteś tu ze mną, nie jest tak źle. Nie możesz spać?
- Nie. – Perry skrzyżował ramiona i zacisnął dłonie w pięści. –

Miałem zamiar popływać.

- Rozmyśliłeś się?

Pokręcił głową. Fale były ogromne i z hukiem rozbijały się o piasek. Powinien być w wodzie albo w domu, w swoim łóżku. Wszędzie tylko nie tu.

– Jeśli chodzi o to, co mówiłam wcześniej – powiedziała –
powinna pilnować własnego nosa.

- To bez znaczenia.

- Naprawdę? – odparła Kirra, unosząc brew.

Perry chciał powiedzieć „tak”. Nie chciał być głupcem oddającym serce dziewczynie, która go porzuciła. Nie chciał już czuć się słaby.

Nie odpowiedział, ale Kirra i tak podeszła bliżej niego. Bliżej, niż powinna. Nie mógł dłużej pozostać obojętny na kształt jej ciała i uśmiech na jej ustach.

Naprężył się, kiedy dotknęła jego ramienia, choć spodziewał się tego dotyku. Zsunęła dłoń w dół do jego nadgarstka. Delikatnie rozplątała jego palce, po czym złączyła je ze swoimi, sprawiając, że odległość między nimi zupełnie zniknęła.

32
ARIA

– Co ty mi robisz, Olivio? – powiedział Roar, wpatrując się w oczy Liv. – Jak mogłaś tu wrócić?

– Przepraszam, Roar. Myślałam, że pomogę Falom i że potrafię się od ciebie uwolnić, ale mi się nie udało.

Kiedy mówiła, Roar całował jej policzki, brodę, czoło. Aria pobiegła na balkon, mijając suknię ślubną Liv, która wisiała przy otwartych drzwiach. Nie zatrzymała się, dopóki nie uderzyła palcami stóp o niski gzyms, a palce jej dłoni nie zacisnęły się na jego zimnych kamieniach i nie popatrzyła na ciemną wodę na dole.

Nie chciała słuchać, nie chciała ich słyszeć, ale jej słuch był wyostrzony – jeszcze ostrzejszy, kiedy do głowy uderzała jej adrenalina.

Głos Liv.

– Myliłam się. Tak bardzo się myliłam.

Roar.

– W porządku, Liv. Kocham cię bez względu na wszystko. Zawsze będę.

Potem zapadła cisza i Aria słyszała jedynie wiatr, który smaga balkon, i nierówne, zdyszane oddechy Roara i Liv. Aria zamknęła oczy, czując, jak jej serce skręca się w korkociąg. Prawie czuła wokół siebie ramiona Perry'ego. Gdzie teraz jest? Czy też o niej myśli?

Chwilę potem Liv i Roar pojawili się na balkonie. Oczy im błyszczały. Zza jednego ramienia Liv wystawał miecz, a przez drugie przerzuciła swoją torbę i torbę Aarii.

– Miałam po ciebie przyjść – powiedziała Liv, podając Aarii jej własność. Sięgnęła do swojej torby i wyciągnęła z niej Wizjer. – Sable ukrył go w swojej komnacie. Zakradłam się tam, kiedy spał. Wcześniej wyczułam na nim sosnowy zapach. On mnie do niego doprowadził. – Podała urządzenie Aarii. – Użyj go, i to szybko.

Aria pokręciła głową.

– Teraz? – Ile czasu minie, zanim ktoś zauważy brak strażników? – Musimy się stąd wydostać.

– Musisz to zrobić teraz – odpowiedziała Liv. – Jeśli zabierzemy urządzenie, Sable wyśle pogoń.

– Tak czy inaczej ją wyśle – powiedział Roar. – Musimy ruszać.

Nie było czasu na sprzeczki. Aria nałożyła Wizjer i przed jej oczami pokazał się wyświetlacz. Wybrała ikonę Upiora. Soren będzie wiedział, czy Sable i Hess rozmawiali o Wielkim Błękiecie. Czekala, spodziewajac się, że przeniesie się do opery, ale tak się nie stało. W zamian na ekranie wyskoczyły dwie systemowe ikony z licznikami czasu. Soren zostawił jej nagrania.

Wybrała tę o krótszym czasie trwania, z każdą sekundą czując coraz większe zdenerwowanie. Roar stał przy drzwiach pokoju, nasłuchując kroków na korytarzu.

Na ikonie rozszerzyło się okno nagrania. Widziała Sferę Bazową. Pustą przestrzeń, w której nie było nic prócz ciemności przełamanej pojedynczym snopem światła. Sable stał po jednej, a Hess po drugiej stronie. Gra światła i cienia podkreślała ostre kontury ich twarzy.

Hess ubrany był w swój oficjalny mundur konsula: granatowy, z odblaskowymi belkami na rękawach i kołnierzu. Stał sztywny i wyprostowany, trzymając ręce wzdłuż ciała. Sable miał na sobie dopasowaną koszulę i spodnie. Wokół jego szyi lśnił łańcuch Wodza Krwi. Miał rozluźniony wyraz twarzy i zabawnie zmrużone oczy. Jeden z nich wyglądał na niebezpiecznego, drugi był zabójczo przystojny.

Sable odezwał się pierwszy.

– Ten twój świat jest uroczy. Zawsze tu tak pięknie?

Hess uśmiechnął się sarkastycznie.

– Wcześniej nie chciałem, żebyś poczuł się przytłoczony.

Aria zdała sobie sprawę, że wybrała nagranie z drugiego spotkania. Nie miała czasu, by to teraz zmienić. Niech gra.

– Wolisz to? – zapytał Hess.

Sfera nagle się zmieniła. Stali teraz na pokrytym strzechą dachu chaty bez bocznych ścian, postawionej jakby na szczudłach. Aż po horyzont ciągnęła się złota sawanna, a otaczające ich zewsząd trawy kołysały się delikatnie, smagane ciepłym wietrzykiem.

Hess nie miał pojęcia. Uważał, że to będzie obelga. Uszczypliwość względem prymitywnego człowieka, za jakiego miał Sable'a. Jedyne, co przez długi czas mogli zrobić Aria i Sable, to z zadziwieniem wpatrywać się w skapaną w słońcu scenerię. Prowadzili równą grę pod otwartym, spokojnym niebem. Tam gdzie ziemia była lekko spieczona słońcem, a nie brutalnie zwęglona przez eter.

Sable ponownie skierował swoją uwagę na Hessa.

– Rzeczywiście, bardziej mi to odpowiada. Czego się dowiedziałeś?

Hess westchnął.

– Moi inżynierowie zapewniają, że pojazd pokona teren każdego rodzaju. Mają tarcze, ale ich skuteczność jest ograniczona. Jakakolwiek intensyfikacja eteru może zaszkodzić.

Sable pokiwał głową.

– Mam w głowie jeszcze jedno rozwiązanie. Jaki jest końcowy bilans, Hess?

– Osiemset osób. I to znacznie przekracza możliwości.

– To za mało – powiedział Sable.

– Nigdy nie mieliśmy w planach opuszczać Reverie – sfrustrowany Hess cedził słowa. – Nie jesteśmy gotowi na tak masową ewakuację. Ty niby jesteś?

Sable uśmiechnął się.

– Gdybym był, nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy.

– Podzielimy się po równo albo nici z układu – westchnął Hess.

– Zgoda – odparł Sable z niecierpliwością. – Przerabialiśmy już te warunki.

W rzeczywistym świecie Roar podbiegł do balkonu.

– Musimy zniknąć – szepnął i pociągnął Arię za ramię. Aria pokręciła głową. Nie mogła teraz przestać słuchać.

– Kiedy będziesz gotowy? – Sable zapytał Hessa.

– Potrzebuję tygodnia, żeby zaopatrzyć i naładować paliwem pojazd oraz zorganizować... ocalałych. Wybranych.

Sable pokiwał głową, podziwiając trawiastą równinę.

– Osiemset osób – powiedział do siebie, po czym odwrócił się do Hessa. – A co zrobisz z resztą mieszkańców?

Hess pobladł.

– A co mogę z nimi zrobić? Każę im czekać na drugi transport.

Sable uniósł w uśmiechu kąciki ust.

– Wiesz, że to jednorazowa wyprawa. Nie będzie drugiego transportu.

– Tak, wiem – odrzekł Hess z naciskiem. – Ale oni nie wiedzą.

Aria poczuła, jak miękną jej kolana i chwiejąc się, wpada na Liv. Hess i Sable mieli zamiar wybrać tych, których zabiorą. Tych, którzy przeżyją, i tych, którzy umrą. Nie mogła złapać oddechu i poczuła, jak zbiera się jej na mdłości. Od słuchania, jak chłodno rozmawiają o porzuceniu swoich ludzi, zrobiło jej się niedobrze.

Dłoń Roara na jej ramieniu zacisnęła się mocniej.

– Musisz kończyć, Ario!

Z korytarza dobiegły jakieś dźwięki. Aria spięła się, prędko

przebiegając przez komendy, by wyłączyć Wizjer.

– Tutaj! – krzyknął ktoś.

Roar wyciągnął nóż. Aria usłyszała łupnięcie, z jakim ktoś próbował wyważyć drzwi ramieniem, a potem trzask drewna upadającego na kamienną podłogę. W ciemności pokoju Liv Aria dostrzegła gwałtowne ruchy. Czarną falę, która zmierzała w ich kierunku.

Aria cofnęła się, nieporadnie chwytając za torbę. Mocno uderzyła nogami o balustradę balkonu, jednocześnie wciskając Wizjer głęboko za podszewkę. Odgłosy kroków były coraz bliżej i po chwili pojawili się strażnicy, nakazujący im, by się nie ruszali. W przyćmionym świetle błyskały ostrza ich mieczy.

Liv wyciągnęła swój i stanęła przed Roarem.

– Liv! – krzyknął.

Strażnik na czele grupy uniósł kuszę, próbując powstrzymać Liv. Stała tylko kilka kroków przed Arią i Roarem, gotowa do walki. Strażnicy Sable'a wbiegli do środka, tworząc czarno-czerwoną ścianę odgradzającą ich od drzwi. Aria, Roar i Liv zostali uwięzieni na balkonie.

Nagle zapadła cisza, którą przerwał rytm spokojnych kroków. Ludzie Sable'a rozstąpili się, gdy ten wszedł do środka. Aria nie zauważyła na jego twarzy żadnej oznaki zaskoczenia.

– Dziewczyna ma nakładkę – powiedział jeden ze strażników. – Widziałem, jak włożyła ją do torebki.

– Ja ją zabrałam – powiedziała Liv, nadal w pozycji do ataku.

– Wiem. – Sable zrobił krok do przodu. Z każdym wdechem jego pierś unosiła się w górę i w dół. – Wiedziałem, że zmienisz zdanie, Olivio. Nie myślałem tylko, że zrobisz coś tak głupiego.

– Pozwól im odejść – powiedziała Liv. – Jeśli to zrobisz, ja zostanę.

– Liv! Nie! – gwałtownie wrzasnął Roar.

Sable zignorował go.

– A dlaczego uważasz, że chcę, abyś została? Okradłaś mnie.

I wybrałaś innego. – Spojrzał na Roara. – Ale być może istnieje rozwiązanie. Może masz zbyt wiele opcji.

Sable wyrwał kuszę strażnikowi i wycelował ją w Roara.

– Myślisz, że to cokolwiek zmieni? – Roar zapytał stanowczym tonem. – Nie ma znaczenia, co zrobisz. Ona nigdy nie będzie twoja.

– Tak ci się wydaje? – zapytał Sable. Chwycił mocniej broń, gotowy do strzału.

– Nie! – Aria przewiesiła torbę przez kamienną balustradę. – Jeśli chcesz odzyskać Wizjer, nie zrobisz mu krzywdy. Przysięgnij to przed

swoimi ludźmi albo puszczyć torbę.

– Jeśli to zrobisz, Osadniczko, zabiję was oboje.

Liv rzuciła się do przodu, wyciągając miecz. Sable wycelował w nią, zwolnił cięciwę i bełt wystrzelił z kuszy. Liv szarpnęło w tył i upadła na ziemię.

Jej ciało uderzyło o kamienną podłogę z mdlącym głuchym odgłosem. Leżała nieruchomo.

Prawdziwy świat się zepsuł. Miał usterkę, tak jak Sfery. Liv się nie poruszała. Leżała tylko o krok od stóp Arii. Od Roara. Jej długie blond włosy rozsypały się na piersi. Przez ich złote pasma Aria widziała strzałę, która ugodziła Liv, i sączącą się z martwego ciała krew, która zalewała koszulę w kolorze kości słoniowej.

Słyszała wydech Roara. Pojedynczy dźwięk. Jak ostatnie tchnienie. I wtedy zobaczyła, co stanie się dalej.

Roar zaatakuje Sable'a, nie zważając na to, że to nie przywróci już Liv do życia. Nie patrząc, że Wodza Krwi otaczało pół tuzina wojowników, Roar będzie próbował zabić Sable'a. Ale to on zginie, jeśli Aria czegoś teraz nie zrobi.

Aria gwałtownie objęła Roara i z całej siły rzuciła się do tyłu, ciągnąc ich za kamienną balustradę. Nic nie ważyli, tylko spadali, spadali, spadali w ciemność.

33
PEREGRINE

– Zapomnij o niej – szepnęła Kirra, wpatrując się w niego. – Jej już nie ma.

Zapach Kirry płynął do nosa Perry’ego. Mocna jesienna woń liści, które kruszą się na ostre kawałki. Zapach nie był właściwy, ale mimo to jego pięści zaczęły się rozluźniać. Położył dłoń nad biodrami Kirry. Na ciele, które nie było tym, jakiego pragnął. Czy czuła, że palce, które trzymał na jej plecach, trzęsą się?

Opanował go nagły głód. Cierpienie bijące mu w piersi niczym fale o brzeg.

– Perry... – szeptała Kirra. Jej zapach robił się cieplejszy. Wpatrując się w niego, oblizwała usta, a oczy jej zabłyśły. – Ja też się tego nie spodziewałam.

– Spodziewałaś się.

– Nie po to tu przybyłam – powiedziała, kręcąc głową. – Bylibyśmy dobrą parą – dodała i opłotła go rękami. Dotykały go jej zręczne, lodowate dłonie. Przebiegały po torsie i brzuchu. Kirra przysunęła się jeszcze bliżej, przytulając się do niego, i nachyliła się, by go pocałować.

– Kirro...

– Nic nie mów, Perry.

Chwycił ją za nadgarstki i ściągnął z siebie jej dłonie.

– Nie.

Przechyliła się na pięty i wlepiła wzrok w jego tors. Stali tak, ani drgnąwszy. Milczący. Jej nastrój płonął jak ogień, purpurowy, piekący i zjadliwy. Po chwili wyczuł jej determinację i opanowanie, z każdą chwilą coraz chłodniejsze, lodowate.

Perry usłyszał szczerzenie na szlaku prowadzącym na plażę. Zapomniał o Pchlarzu. Zapomniał o burzy, która kłębiła się nad nimi. Zapomniał na chwilę, jak to jest zostać w tyle.

O dziwo, czuł się teraz spokojny. To, czy Aria znajdowała się kilometry stąd i czy go zraniła, czy się z nim pożegnała, czy nie, nie miało znaczenia. Nic nie mogło zmienić tego, co do niej czuł. Ani ignorowanie swoich myśli, ani bycie z Kirrą. Od chwili kiedy Aria wzięła go za rękę na dachu u Marrona, wszystko się zmieniło. Bez względu na to, co się wydarzy, ona zawsze będzie tą jedyną.

– Przykro mi, Kirro – powiedział. – Nie powinienem był tu przychodzić.

Kirra wzruszyła ramionami.

– Jakoś to przeżyję. – Odwróciła się, by odejść, ale na chwilę się zatrzymała. Raz jeszcze spojrzała na niego z uśmiechem. – Powinieneś jednak wiedzieć, że zawsze dostaję to, czego chcę.

34 ARIA

Aria fruwała już wcześniej w Sferach. To było wspaniałe uczucie, szybować beztrosko, jakby się było piórkiem. Czuła wtedy, jakby stawała się wiatrem. To, co czuła teraz, zupełnie tego nie przypominało. Było to obrzydliwe, obezwładniające, paniczne uczucie. Im bliżej było jej do Wężowej Rzeki, tym bardziej była świadoma tylko jednej myśli – „trzymaj się Roara”.

Uderzyła o taflę wody ciężka jak kamień i wszystko zdawało się dziać w jednej chwili. Każda kość w jej ciele zazgrzytała. Roar wyrwał się z jej uścisku i pochłonęła ją ciemność, pozbawiając jej głowę wszelkich myśli. Nie wiedziała, czy nadal gdzieś tam jest – czy nadal żyje – aż zobaczyła migoczące światło eteru, które przyzywało ją ku powierzchni.

Jej kończyny wyrwały się z odrętwienia, Aria zaczęła więc kopać nogami i przebijać się przez wodę. Czuła przeszywające zimno w mięśniach i w oczach. Była zbyt ciężka, zbyt powolna. Jej przesiąknięte wodą ubrania ciągnęły ją w dół. Czuła też pasek torby owinięty wokół jej talii. Chwyciła go mocniej i płynęła w górę, czując opór wody, jakby przebijała się przez błoto. Wyłynęła na powierzchnię i zachłannie zaczerpnęła tchu.

– Roar! – wrzasnęła, rozglądając się po wodzie. Tafla wydawała się spokojna, ale prąd był brutalnie silny.

Wypełniwszy płuca powietrzem, zanurkowała, rozpaczliwie poszukując przyjaciela. Nie widziała dalej niż na metr przed sobą, ale mimo to udało się jej go zauważyć, jak dryfuje w pobliżu, zwrócony do niej plecami.

Nie pływał.

Aria wpadła w panikę. Zrzuciła go z balkonu!

Jeśli go zabiła...

Jeśli Roar nie żyje...

Złapała go pod pachy i pociągnęła za sobą w górę. Wyłynęli na powierzchnię, ale Aria musiała mocniej pracować nogami. Chłopak sporo ważył, a do tego był zupełnie bezwładny w jej ramionach. Był ciężarem ciągnącym ją w dół.

– Roar! – Łapczywie chwytala powietrze, próbując utrzymać go nad powierzchnią wody. Nigdy wcześniej nie czuła takiego zimna.

Przeszywało jej mięśnie jak tysiące igieł. – Roar, pomóż mi! – Zachłusnęła się wodą i zaczęła kaszleć. Nadal tonęli. Nadal razem spadali.

Nie mogła mówić. Aria sięgnęła dłonią wyżej i dotknęła nagiej skóry na karku Roara. *Blagam, nie dam rady sama!*

Wzdrygnął się, jakby nagle wybudził się z koszmaru, wyplątując się z jej objęć.

Aria krztusiła się wodą, rozpaczliwie próbując złapać oddech.

Roar odplynał od niej. Chyba traciła rozum. Nigdy by jej nie zostawił. Wtedy zobaczyła jakiś ciemny kształt dryfujący wraz z prądem w ich stronę. Przez jedną szaloną sekundę pomyślała, że to pościg wysłany przez Sable'a, ale gdy skupiła wzrok, zobaczyła, że to tylko kłoda. Roar chwycił się jej.

– Aria! – podał jej rękę i pociągnął dziewczynę za sobą.

Aria chwyciła się kłody, czując, jak połamane gałęzie wbijają się jej w odrętwiałe dłonie. Nie mogła przestać dygotać. Przepłynęli pod mostem i szybko mijali domy wzdłuż brzegu, ciemne i nieruchome w mroku nocy.

– Za zimno. – Szczekała zębami. – Musimy wyjść na brzeg. – Jej słowa były niemal nie do rozpoznania.

Razem odpychali się nogami, płynąc do brzegu, ale Aria nie wiedziała, jak im się to udawało. Ledwie je czuła. Kiedy ich stopy oparły się o żwirowe podłoże, puścili kłodę. Roar objął Arię ramieniem i podtrzymując się nawzajem, brodzili w wodzie, czując, jak z każdym krokiem powraca do nich rzeczywistość.

Liv.

Liv.

Liv.

Nie spojrzała jeszcze na twarz Roara. Bała się tego, co zobaczy.

Gdy tak zmierzali w stronę lądu, Aria nagle poczuła, jakby ważyła tysiąc kilogramów. Jakimś cudem w końcu stanęli na suchym lądzie, podtrzymując się nawzajem i potykając o siebie jednocześnie. Przeszli między dwoma domami i przez pole za nimi pobiegli do rozpoczynającego się dalej lasu.

Aria nie wiedziała, gdzie zmierzają. Nie była w stanie utrzymać prostego kursu. Nie miała siły myśleć, a jej krok był chwiejny.

– Chodzić nie, zimno już. – To jej głos tak bełkotał bez sensu. Wtedy poczuła, że leży na boku pośród wysokiej trawy. Nie pamiętała, że się przewróciła. Zwinęła się w kłębek, próbując zdusić kłujący ból w mięśniach i w sercu.

Zobaczyła nad sobą Roara. Wisiał nad nią przez chwilę, a potem

znikł, a wtedy Aria widziała już tylko eter płynący nad nią strumieniami.

Aria chciała pójść za Roarem. Nie chciała być sama, ale nie czuła nic prócz osamotnienia. Chciała być tam, gdzie na parapecie stoją figurki sokołów. Gdzie jej miejsce.

Kiedy otworzyła oczy, kołysały się nad nią wrzecionowate gałęzie, a na niebie pojawiły się pierwsze barwy brzasku. Leżała oparta o pierś Roara. Przykrywał ich szorstki koc, który pachniał końską sierścią.

Usiadła, czując, jak każdy mięsień ją boli i trzęsie się z osłabienia. Jej włosy nadal były mokre od rzecznej wody. Leżeli w niewielkim wąwozie. Roar musiał ją tu przenieść, kiedy spadała. Lub była nieprzytomna. Nieopodal płonęło ognisko. Ich buty i kurtki schły obok. Roar spał, delikatnie się uśmiechając. Jego skóra miała zbyt blady odcień. Spróbowała zapamiętać to, jak teraz wyglądał. Nie była pewna, czy jeszcze kiedyś zobaczy jego uśmiech.

Był piękny, i to nie było sprawiedliwe.

Wciągnęła w płuca niepewny wdech.

– Roar – szepnęła.

Bez słowa zerwał się na nogi. Nagłość jego ruchów przestraszyła ją. Czy naprawdę spał?

Patrzył na nią nieobecny wzrokiem. Patrzył *przez* nią. Kiedy jej mama zmarła, czuła się w ten sam sposób. Obojętnie. Jakby nic nie wyglądało już znajomo. W jeden dzień zmieniło się całe jej życie. Wszystko – od świata, w którym żyła, po jej uczucia – stało się jej zupełnie obce.

Aria wstała. Chciała przytulić Roara i płakać razem z nim. Podzielić się tym ze mną, miała ochotę krzyczeć. Oddaj mi swój ból. Pozwól mi ściągnąć go z twoich ramion.

Roar odwrócił się. Wziął kurtkę, zasypał dogasające ogniki i ruszył.

Gdy w pośpiechu oddalali się od Wężowej Rzeki, chmury zasłały niebo, pogrążając las w całkowitej ciemności. Prawe kolano Arii pulsowało z bólu – musiała je zranić podczas upadku z balkonu – nie mogli się jednak zatrzymać. Sable na pewno ruszy za nimi. Musieli wydostać się z Rimu i gdzieś się schronić. Tylko o tym była w stanie myśleć. Na tyle tylko starczyło jej siły.

Cały dzień szli po grani i po południu zatrzymali się w zagajniku gęstych sosen. Rzeka niczym wąż wiała się w dolinie poniżej, a woda marszczyła się i lśniła jak łuski. W oddali Aria dostrzegła wznoszącą się na niebie smugę czarnego dymu. Kolejna polana zniszczona przez burzę. Eter stawał się coraz silniejszy. Nikt nie mógł mieć co do tego wątpliwości.

Roar rzucił swoją torbę i usiadł. Tego dnia nie odezwał się do niej ani razu. Ani słowem.

– Idę się rozejrzeć – powiedziała. – Nie pójdę daleko. – Chciała sprawdzić to miejsce. Z jednej strony chroniło ich łupkowe zbocze. Z drugiej znajdowała się skarpa nie do pokonania. Gdyby ktokolwiek ich tu odnalazł, będą o tym wiedzieć z wyprzedzeniem.

Kiedy wróciła, zastała Roara skulonego w kłębek, z głową w dłoniach. Po policzkach spływały mu łzy i skapywały po brodzie, ale Roar zupełnie się nie ruszał. Aria nigdy nie widziała, by ktoś płakał w taki sposób. Tak zupełnie nieruchomo. Jakby Roar nie zdawał sobie sprawy, że to się w ogóle dzieje.

– Jestem tutaj, Roar – powiedziała, siadając przy nim. – Jestem przy tobie.

Zamknął powieki. Nie odpowiedział.

Cierpiała, widząc go w takim stanie. Miała ochotę krzyknąć, aż ochrypnie, nie mogła jednak zmusić go, żeby się odezwał. Kiedy będzie na to gotowy, Aria będzie tuż przy jego boku.

Znalazła w swojej torbie koszulę na zmianę i podarła ją na kawałki. Owinęła swoje kolano, a potem nie pozostało jej już nic, jak tylko patrzeć, jak na jej oczach Roar umiera z rozpacz.

Przypomniała sobie, jak Liv, uśmiechając się sennie, pytała, czy to ona jest ptakiem, czy może jej brat.

Aria zatknęła dłonią usta i zerwała się z miejsca. Biegła, mijając krzewy i drzewa, żeby się oddalić, bo nie potrafiła płakać cicho, a nie chciała, żeby przez nią Roar poczuł się jeszcze gorzej.

Liv jutro wyszłaby za mąż albo uciekła z Roarem. Powinna była zobaczyć Perry'ego jako Wodza Krwi i zostać przyjaciółką Arii. Tak wiele planów rozprysło się w jednej chwili.

Aria przypomniała sobie, jak siedziała z Sable'em w jadalni. Trzymała w dłoni nóż i bez przeszkód mogła ugodzić go w szyję. Żałowała teraz, że tego nie zrobiła.

Z zapuchniętymi oczami i kołaczącym sercem wróciła do Roara. Spał, opierając głowę na torbie.

Aria znalazła Wizjer, próbując opanować kolejną falę łez. Gdyby Liv go nie ukradła, czy nadal by żyła? Czy żyłaby, gdyby Aria oddała go Sable'owi, kiedy stali na balkonie.

Czuła mdłości na samą myśl o spotkaniu Hessa i Sable'a. Ich umowa, by razem udać się do Wielkiego Błękitu, oznaczała porzucenie setek niewinnych ludzi. Pomyślała o Talonie i Calebie oraz o reszcie

swoich przyjaciół z Reverie. Czy zostaną wybrani? I co z Perrym, Cinderem i resztą Fal? Co z pozostałymi? Jedność miała się powtórzyć i była jeszcze bardziej przerażająca, niż sobie wyobrażała.

Myśląc o spotkaniu z Hessem, czuła, jak wszystko wywraca się jej w żołądku, ale musiała to zrobić. Skontaktowała go z Sable'em. Wypełniła swoją część zadania. Teraz on musi wypełnić swoją obietnicę, a jeśli ją zawiedzie, Aria skontaktuje się z Sorenem. Nie obchodzi jej, jak to się stanie. Musi odzyskać Talona.

Czując, jak jej serce przyspiesza, Aria nałożyła Wizjer, który przylgnął do jej oczodołu. Nagrania zniknęły. Na ekranie pozostały jedynie ikony Hessa i Sorena. Spróbowała połączyć się z Hessem i czekała. Nie pojawił się.

Potem wywołała Sorena. Również bez rezultatu.

35
PEREGRINE

Po powrocie z plaży Perry wspiał się na dach swojego domu i patrzył, jak na niebie kotłuje się eter. Kiedy Kirra sobie poszła, wskoczył do morza, czując, że musi zmyć z siebie jej zapach. Przedzierał się przez fale, aż poczuł, jak pieką go mięśnie ramion, po czym wrócił do wioski. Był zmęczony, ale w głowie w końcu miał jasność.

Kiedy położył się na dachówkach, nadal czuł w sobie ruchy fal. Zamknął oczy i pograżył się w zamazanych wspomnieniach.

Przypomniał sobie dzień, kiedy ojciec zabrał go na polowanie tego samego popołudnia, gdy urodził się Talon. Perry miał wtedy jedenaście lat. Dzień był ciepły, a bryza sprawiała wrażenie delikatnej niczym oddech. Perry pamiętał odgłos ciężkich i pewnych kroków ojca, kiedy szli przez las.

Minęły godziny, zanim Perry zdał sobie sprawę, że ojciec nie tropił zwierzyny i nie zwracał uwagi na zapachy. Zatrzymał się nagle i uklęknął, spoglądając Perry'emu w oczy w rzadki dla siebie sposób. Na jego czole tańczyły plamki światła. Powiedział wtedy Perry'emu, że miłość jest jak morskie fale, czasem delikatna i dobra, czasem gwałtowna i straszna, ale nie ma końca, jest silniejsza niż niebo i ziemia, i wszystko, co je dzieli.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia – dodał ojciec – zrozumiesz, o czym mówię, i mi wybaczysz.

Perry wiedział, jak to jest każdego dnia kłaść się do łóżka w poczuciu winy. Nie było nic boleśniejszego, niż zranić kogoś, kogo się kocha. Perry zdał sobie sprawę, że rozumie to z powodu Vale'a. Bez względu na to, jak bardzo będzie się starał, nadejdą chwile, kiedy nie uda mu się powstrzymać tego, co gwałtowne i straszne dla jego plemienia. Dla Arii. Dla własnego brata.

Leżąc na dachu, postanowił, że dzień, o którym mówił jego ojciec, właśnie nadszedł. Dziś. Teraz. I wtedy przebaczył.

Burza nadeszła przed świtem, wyrывая go z głębokiego, niosącego odpoczynek snu. Eter zwijał się w spirale i jeszcze nigdy nie świecił tak jasno. Perry wstał z łóżka, czując, jak gryzący, ostry, duszny zapach drażni jego skórę. Na zachodzie leje zderzały się z ziemią. Piszczący dźwięk uderzeń grzmiał mu w uszach, kiedy gęste spirale eteru wzbijały się z powrotem w górę. Na południu dostrzegł kolejne. Nagle noc ożyła

i pulsowała światłem.

– Złaź stamtąd, Perry! – krzyknął z dołu Gren. Ludzie w pośpiechu opuszczali swoje domy i przerażeni biegli do kantyny.

Perry zaczął schodzić po drabinie. W połowie drogi wszystko zalała zaskakująca biel, która wprawiała powietrze w drżenie. Perry naprężył nogi, a kiedy przegapił jeden szczebel, spadł z drabiny prosto na ziemię.

W centrum wioski szalał lej eteru, niszcząc dom Beara. Ziemia trzęsła się Perry'emu pod stopami. Jak sparaliżowany stał i patrzył na eksplozję pękających dachówek. Lej poderwał się w górę, a dach z hukiem zawalił z jednej strony. Perry zerwał się na nogi i popędził w stronę domu, przepychając się między ludźmi.

– Bear! – krzyczał. – Molly! – Widział jedynie rumowisko głazów w dawnym miejscu drzwi i okna. Spod gruzów wydobywała się smużka dymu. Gdzieś pod spodem płonął ogień.

Twig stanął przy jego boku.

– Oni nadal tam są! Słyszę Beara!

Ludzie zgromadzili się wokół, obserwując z przerażeniem, jak spomiędzy szczelin i pęknięć pochyłego dachu wyłaniają się płomienie. Perry pochwycił spojrzenie Reefa.

– Zabierz wszystkich do kantyny!

Hayden nabrał wody ze studni. Ludzie Kirry stali za nim. Gorące skłębione powietrze targało ich ubraniami.

– Co mamy robić? – zapytała, jakby niezręczny moment na plaży nigdy nie miał miejsca.

– Potrzebujemy więcej wody – odpowiedział. – I trzeba usunąć te kamienie.

– Jeśli je ruszymy, może się zapaść reszta dachu – powiedział Gren.

– Nie mamy wyboru – wrzasnął Perry. Z każdą straconą sekundą ogień się rozprzestrzeniał. Perry chwycił kamienie zburzonej ściany, przenosząc je jeden po drugim. Poczul żar rozpalonych głazów i ogarnęła go panika. Wokół siebie wyczuwał swoich ludzi i ludzi Kirry.

Sekundy mijały jak godziny. Perry spojrzał w górę i zobaczył, jak lej eteru opada w pobliżu kantyny. Siła uderzenia rzuciła go na kolana. Kiedy lej wrócił w chmury, Perry przez kilka cichych, oszołamiających sekund nie był w stanie się podnieść. Twig utkwiał w nim nieobecne spojrzenie. Z jego ucha ciekła strużka krwi.

– Perry! Tutaj! – zawołał Maruder, który stał kilka kroków przed nim. Hyde i Hayden wyciągali Molly spomiędzy kamieni.

Perry pobiegł do niej. Z rany na jej czole sączyła się krew, ale Molly

żyła.

– On nadal tam jest – powiedziała.

– Wyciągnę go – obiecał Perry.

Bracia poprowadzili ją do kantyny. Gdziekolwiek odwrócił się Perry, w ziemię ciskały leje.

Kirra przywołała do siebie swoich ludzi, także każąc im szukać schronienia.

– Próbowaliśmy – powiedziała, po czym wzruszając ramionami, odeszła. Tak łatwo zrezygnowała z pomocy tym, którzy jej potrzebowali. Których życie było zagrożone.

Perry stał odwrócony do domu plecami, kiedy zawałała się reszta dachu. W płucach zabrakło mu powietrza. Wokół niego wszędzie rozległy się krzyki.

– To koniec, Perry – Twig chwycił go za ramię i pociągnął za sobą w stronę kantyny. – Musimy wejść do środka.

Perry odtrącił jego dłoń.

– Nie zostawię go! – Po drugiej stronie placu zauważył Reefa, który biegł w jego stronę razem z Hyde'em. Wiedział, że odciągną go siłą.

Cinder podbiegł do niego razem z Willow i Pchlarzem, który czekał u ich stóp. Chłopiec spojrzał na Perry'ego z dziką intensywnością.

– Pomogę ci!

– Nie! – Perry nie mógł ryzykować też życia Cindera. – Idź do kantyny.

Cinder pokręcił głową.

– Mogę się przydać!

– Cinder, nie! Willow, zabierz go stąd.

Było już za późno. Cinder znajdował się już gdzie indziej. Jego wzrok był pusty, nieświadomy panującego wokół niego chaosu. Kiedy wycofywał się w stronę centralnego placu, jego oczy zaczęły jaśnieć, a żyły eteru rozprzestrzeniły się po jego twarzy i rękach. Wokół Perry'ego rozległy się zszokowane krzyki i przekleństwa, kiedy tylko pozostali zauważyli Cindera i niebo nad nim.

Ponad głowami wszystkich eter zebrał się w jeden gigantyczny wir. Powstał z niego wielki lej, który opadając na ziemię, otoczył Cindera jak mur nie do przebiccia. Perry nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Nie mógł się nawet ruszyć. Nie wiedział, jak powstrzymać Cindera.

Eksplozja światła spowodowała, że jego oczy przeszył oślepiający ból. Perry znów znalazł się na ziemi i lądując na boku, osłonił głowę.

Czekał, aż jego skóra zacznie piec. Owionął go gorący podmuch wiatru, który odpychał go przez długie minuty. Potem w wiosce zapanowała nagle cisza. Perry spojrział na niebo i zobaczył, że nie ma na nim eteru. Aż po horyzont było niebieskie i spokojne.

Na środku wioski leżała mała skulona postać otoczona iskrzącym żarem. Perry podniósł się w końcu i podbiegł do chłopca. Cinder spoczywał w śmiertelnym bezruchu. Nie miał ani czapki, ani włosów. Jego pierś była kompletnie nieruchoma.

36 ARIA

– Musimy znaleźć inny sposób, by wrócić do Fal – powiedziała Aria następnego poranka, uciskając swój burczący żołądek. Sidła, które zastawiała poprzedniego wieczoru, były puste. – Podczas upadku zraniłam się w kolano.

Roar spojrzął znad płomieni pozbawionymi życia oczami. Nadal nie przemówił. Czy wymówił jej imię, kiedy byli w rzece? Próbowała sobie przypomnieć. Była wtedy półprzytomna z zimna i teraz zastanawiała się, czy sobie tego nie wymyśliła.

– Część trasy moglibyśmy pokonać, płynąc łodzią po rzece – ciągnęła. – To ryzykowne, ale nie bardziej niż to, co robimy teraz. Będzie przynajmniej szybciej.

Mówiła cicho, lecz jej samotny, pojedynczy głos wydawał się głośny.

– Proszę, Roar... powiedz coś. – Przysunęła się do niego i wzięła go za rękę. *Jestem z tobą. Jestem tuż przy tobie. Tak mi przykro z powodu Liv. Błagam, powiedz, że mnie słyszysz.*

Spojrzał na nią i jego oczy na chwilę stały się cieplejsze, zanim znów odwrócił wzrok.

Powrócili nad Wężową Rzekę, zmierzając na zachód, jak najdalej od Rimu. Tego samego popołudnia dotarli do rybackiej osady, gdzie Aria zorganizowała im miejsce na barce, która płynęła z prądem rzeki. Pokład był zagracony skrzyniami i workami pełnymi towarów. Była gotowa na każdą ewentualność, gdyby Sable wysłał za nimi ludzi, ale kapitan imieniem Maverick nie zadawał pytań. Za rejs zapłaciła jednym ze swoich noży.

– Ładne ostrze, biedroneczko – powiedział Maverick i zerknął na Roara – Dorzuć mi drugi nóż, a odstąpię wam kajutę.

Przepełniały ją niepokój i ból i nie miała ochoty na żarty.

– Jeszcze raz nazwiesz mnie biedroneczką, a rzeczywiście nim w ciebie rzucę.

Maverick uśmiechnął się, odsłaniając ramę srebrnych zębów.

– Witajcie na pokładzie.

Zanim wyruszyli w drogę, Aria nasłuchiwała plotek rozprzestrzeniających się po nabrzeżu. Sable skrzyknął legion i przygotowywał się do wymarszu na południe. Słyszała różne powody.

Chciał podbić nowe terytorium; szukał Wielkiego Błękitu; pragnął zemsty na Audilu, który zabił jego narzeczoną na dzień przed ich ślubem.

Aria wyobrażała sobie, że tę ostatnią plotkę Sable rozpuszcza osobiście. Nie sądziła wcześniej, że może nienawidzić go jeszcze bardziej, ale po usłyszeniu tego rzeczywiście tak było.

Kiedy w końcu znaleźli się na pokładzie, usadowili się z Roarem pomiędzy workami z wełną, zwojami skóry i ocalonym dobrami, takimi jak opony i plastikowe rury sprzed czasów Jedności. Zdumiało ją, że handel przebiegał jak zawsze. Wydawał się jej bezcelowy, skoro świat po raz kolejny zmierzał ku katastrofie.

Czuła się tak, jakby była strażniczką straszliwego sekretu. Świat zbliżał się ku końcowi i jeśli Hess i Sable się dogadają, przeżyje tylko osiemset osób. Część niej chciała krzyknąć ile sił w płucach i ostrzec, kogo się da. Ale czy to mogło pomóc? Co można było poradzić, skoro nikt nie znał lokalizacji Wielkiego Błękitu? Inna część niej nadal nie mogła się pogodzić z tym, że to, co widziała – co słyszała, że Hess i Sable planują razem – może być prawdą.

Zamknęła oczy, kiedy odbili od brzegu, nasłuchując głosów załogi i skrzypienia drewnianego pokładu. Z każdym dźwiękiem jeszcze bardziej martwiła się o Roara.

Kiedy gwar ucichł i na barce zapanowała cisza, Aria naciągnęła kurtkę na głowę i jeszcze raz uruchomiła Wizjer. Nie straciła nadziei, że uda się jej połączyć z Hessem lub Sorenem. Nie mogła się poddać i zaprzestać starań o odzyskanie Talona. O przyprowadzenie go do Perry'ego.

Ani Hess, ani Soren nie odpowiedzieli. Z powrotem schowała Wizjer do torby. Odwrócili się od niej czy może coś się stało z Reverie? Nie mogła przestać myśleć o usterkach w Sferach. A co, jeśli stracili kontakt, ponieważ zniszczenia w Reverie się rozprzestrzeniły? Co, jeśli Reverie rozpadało się na kawałki. Nie mogła zaprzeczyć istnieniu takiej możliwości. Jesienią, kiedy odnalazła mamę, widziała, co stało się z Bliss.

Czując niepokój, Aria oparła głowę na ramieniu Roara i patrzyła, jak eter wiję się na niebie. Po rzece hulał zimny wiatr, sprawiając, że drętwiały jej uszy i nos. Roar objął ją ramieniem, więc Aria przysunęła się bliżej, traktując ten gest jako potwierdzenie, że gdzieś pod skorupą milczenia i żalu nadal istnieje jej przyjaciel. Odszukała jego dłoń i zaczęła mówić do niego w myślach, z nadzieją że przynajmniej w ten sposób będzie mógł ją usłyszeć.

Powiedziała mu, że zrobi wszystko, aby mniej cierpiał, spodziewając

się, że cofnie dłoń. Nie zrobił tego. Splótł z nią swoje palce. Uścisk jego dłoni był znajomy i przyjemny, więc mówiła dalej.

Kiedy tak płynęli Wężową Rzeką, powiedziała mu o układzie Hessa i Sable'a oraz o jej obawach co do stanu Reverie. Mówiła o Sferach – o tych ulubionych i najbardziej nielubianych – i o tych, które, jak uważała, przypadłyby mu do gustu. Opowiedziała mu o jej najbardziej przerażającym doświadczeniu – kiedy bała się, że Perry'ego schwytali Krukorzy, i kiedy nie mogła odnaleźć Roara w rzece. I o najsmutniejszym. Kiedy znalazła mamę w Bliss. Opowiadała mu o Perrym. Prosto z serca. „Nigdy mnie nie oszczędzaj”, powiedział kiedyś Roar, więc teraz postanowiła tego nie robić. Nie mogła, nawet gdyby chciała. Perry zawsze był w jej myślach.

Tyle powiedziała Roarowi, że stało się to dla niej naturalne i przestała analizować. Po prostu myślała. Roar słyszał wszystko. Znał jej myśli w pełni, tak samo jak Perry odczytywał jej nastrój. W towarzystwie tych dwóch czuła, że ktoś zna ją na wylot.

Brakowało jej poczucia bezpieczeństwa, jakie dawał dom. Ściany. Dach. Poduszka, na której można było położyć głowę. Teraz zdawała sobie sprawę, że ludzie, których kochała, nadawali całemu jej życiu kształt, sens i poczucie bezpieczeństwa. Jej domem byli Perry i Roar.

Dwa dni później zakończyła się ich podróż po rzece. Zawiodła ich daleko i dała jej kolanu czas, by wydobrzeć. Od tego miejsca rzeka odbijała na zachód, ostatni odcinek do wioski Fal musieli więc pokonać o własnych siłach.

– Półtora dnia marszu na południe – powiedział Maverick. – Może dłużej, jeśli to was spowolni. – Kiwnął głową, wskazując na potężną eterową burzę, która kotłowała się na horyzoncie. Potem zerknął na Roara, który stał na przystani. Przez całą podróż Maverick nie usłyszał od niego ani jednego słowa. Widział jedynie, jak Roar wpatruje się w wodę lub w niebo.

– Stać cię na kogoś lepszego, biedroneczko.

Aria potrząsnęła głową.

– Wręcz przeciwnie.

Tego dnia wyprawa nieźle im szła i zatrzymali się dopiero na nocleg. Następnego ranka Aria z niedowierzaniem pomyślała, że już po południu, po niemal miesięcznej nieobecności, znów znajdzie się w wiosce Fal.

Aria czuła na sobie ciężar porażki. Nie odkryła jeszcze lokalizacji Wielkiego Błękitu i nie mieli już Liv. Serce rozdzierało się jej na myśl, jak będzie cierpieć, widząc, jak na te wieści załamię się Perry.

Aria przeszukała torbę w poszukiwaniu Wizjera i nałożyła go na oko. Urządzenie ledwie przylegało do jej skóry, kiedy frakcjonowała do opery. Od razu wiedziała, że coś jest nie tak. Rzędy siedzeń i balkonów falowały, jakby patrzyła na nie przez tafłę wody. Soren stał kilka kroków od niej. Miał czerwoną, spanikowaną twarz.

– Mam tylko kilka sekund, zanim ojciec mnie wytropi. Nadciąga koniec, Ario. Wszystko wysiada. Uderzyła w nas burza i straciliśmy kolejny generator. Wszystkie systemy Podu padają. Nie próbują już nawet naprawiać zniszczeń.

Aria gwałtownie zaczerpnęła tchu. Czuła się, jakby właśnie ktoś przywalił jej w brzuch.

– Gdzie jest Talon? – zapytała. W realnym świecie Roar napiął mięśnie.

– Jest ze mną. Mój ojciec kontaktuje się z Sable'em.

– Ale jak, skoro...?

– Śledził położenie twojego Wizjera, wiedział więc, że go zabrałaś. Wysłał do Rimu ludzi z kolejnym – powiedział Soren, przerywając jej. – Hess i Sable przygotowują się, by wyruszyć do Wielkiego Błękitu. Ojciec wybrał tych, którzy pojedą z nim, i odseparował ich w jednej z kopuł użytkowych. Ludzie z SDL nie mają tam wstępu. Nas trzyma zamkniętych w Panopie.

Aria nie była pewna, czy dobrze rozumie.

– Ojciec cię zostawił?

Soren pokręcił głową.

– Nie. Chciał, żebym pojechał, ale nie mogłem. Nie mogę tak po prostu zostawić wszystkich na pastwę losu. Wydawało mi się, że dam radę otworzyć Panop od wewnątrz, ale nic z tego. Talon jest ze mną. I Caleb, i Rune – wszyscy. Musisz nas stąd wydostać. Korzystamy z zapasów energii. Nie starczy na dłużej niż parę dni. Potem skończy nam się tlen.

– Idę po was – powiedziała. – Przyjdę. Zaopiekuj się Talonem.

– Dobrze, ale pospiesz się. Aha, wiem też, gdzie się wybierają. Oglądałem spotkania ojca z Sable'em.

Oślepił ją nagły błysk światła i w głębi oka poczuła silny ból, który przeszył jej kręgosłup. Z wrzaskiem chwyciła za Wizjer i zaczęła go szarpać, aż w końcu zerwała go z oka.

Roar ukląkł przy niej, chwytając ją za ramiona. Jego oczy miały więcej głębi niż przedtem. Głowa Arii pulsowała, a z oczu płynęły jej łzy, ale chwiejnie stanęła na nogach.

– Musimy iść, Roar! – powiedziała. – Talon jest

w niebezpieczeństwie. Musimy iść po Perry'ego!

37
PEREGRINE

Perry zgarnął sokoły z parapetu do płóciennej torebki. Reszta jego rzeczy została już przeniesiona do jaskini, teraz jednak pakował ubrania, zabawki i książki Talona. Może głupie było przenoszenie własności nieobecnego bratanka, ale nie mógł ich tak porzucić.

Wziął ze stołu mały łuk i uśmiechnął się. Wraz z Talonem potrafili godzinami strzelać do siebie ze skarpetek, siedząc po przeciwnych stronach pokoju. Naciągnął cięciwę, żeby ją sprawdzić. Czy łuk nadal będzie dla Talona odpowiedniego rozmiaru? Nie było go już od pół roku, ale Perry nadal bardzo za nim tęsknił.

W wejściowych drzwiach pojawił się Twig.

– Nadchodzi burza – powiedział, podnosząc wypchaną torbę. – Można to zabrać?

Perry pokiwał głową.

– Przyjdę za chwilę.

Od ostatniej burzy minęło zaledwie kilka dni, ale z południa nadciągała już kolejna – potężny, kłębiący się front, który wydawał się jeszcze gorszy. Dopiero gdy prawie stracili Beara i Molly, plemię dało się przekonać do opuszczenia wioski. Cinder nieomal przypłacił to życiem. Teraz w końcu się przenosili.

Perry wszedł do pokoju Vale'a i skrzyżował ramiona na piersi, oparłszy się o framugę. Molly siedziała na krześle przy łóżku i czuwała nad Cinderem. Jego poświęcenie dało Falom czas, by bezpiecznie przenieść się do jaskini. Dzięki niemu byli w stanie wydobyć Beara żywego spod gruzów. Cinder był teraz bliski Molly tak samo jak Perry'emu.

– Jak z nim? – zapytał Perry.

Molly zerknęła na niego i uśmiechnęła się.

– Lepiej. Obudził się.

Gdy Perry wszedł do pokoju, Cinder nagle otworzył oczy. Miał szarą twarz i wyglądał na bezsilnego, a jego oddech był szorstki i płytki. Był ubrany w swoją zwyczajową czapkę, ale pod spodem był łysy.

– Ruszę przodem dla pewności, że wszystko jest już dla niego gotowe – powiedziała Molly i zostawiła ich samych.

– Jesteś gotowy, Cinder? – zapytał Perry. – Muszę zrobić jeszcze

jeden kurs, zanim wrócę po ciebie.

Cinder oblizał usta.

– Nie chcę.

Perry podrapał się po brodzie na myśl, że Cinder nie chce, by ktokolwiek widział go takiego jak w noc burzy.

– Willow już tam jest. Nie może się ciebie doczekać.

Oczy Cindera zaszczyły łzami.

– Już wie, jaki jestem.

– Myślisz, że ją to obchodzi? Ocaliłeś jej życie. Ocaliłeś Fale.

Wydaje mi się, że lubi cię teraz bardziej niż Pchlarza.

Cinder zamrugał. Łzy spływały mu po policzkach i wsiąkały w poduszkę.

– Zobacz mnie w takim stanie.

– Myślę, że ma w nosie to, jak wyglądasz. Nie to co ja. Nie mogę cię zmusić, ale uważam, że powinieneś pójść ze mną. Marron przygotował ci specjalne miejsce, a Willow musi odzyskać przyjaciela. – Uśmiechnął się szeroko. – Doprowadza wszystkich do szału.

Wargi Cindera zadrżały w przelotnym uśmiechu.

– Dobrze. Pójdę.

– Świetnie – Perry położył dłoń na czapce chłopca. – Jestem za ciebie wdzięczny losowi. Wszyscy jesteśmy.

Na zewnątrz Gren czekał na niego z koniem.

– Będę miał na niego oko – powiedział, podając Perry’emu lejce.

Wioska była cicha. Po drugiej stronie placu Perry zobaczył Foresta i Larka, którzy również się pakowali. Perry skinął głową w ich stronę.

Od wieczoru, w którym rozpętała się burza, Kirra przestała z nim flirtować i mu się narzucać. Wystarczył tylko tydzień, by jej zainteresowanie zmieniło się w obojętność, ale jemu to nie przeszkadzało. Żałował każdej sekundy, jaką spędził z nią na plaży. Bardzo żałował.

Perry wskoczył na konia i usadowił się w siodle.

– Wrócę za godzinę – powiedział Grenowi i odgalopował.

Marron zupełnie przeistoczył jaskinię. Przepastną przestrzeń oświetlały teraz ogniska, a wszędzie unosił się zapach szaławii łagodzący woń wilgoci i soli. Marron zaaranżował miejsca do spania w namiotach, po jednym dla każdej z rodzin, które ustawił w okręgu odwzorującym układ wioski. W kilku namiotach paliły się lampy, a ich materiał jaśniał miękką bielą. Przestrzeń pośrodku pozostała pusta, z przeznaczeniem na zgromadzenia. Wyjątkiem był mały drewniany podest. W sąsiednich

jaskiniach znajdowały się stanowiska do gotowania, mycia, a nawet do przechowywania żywności i zwierząt. Ludzie wałęsali się z miejsca na miejsce z szeroko otwartymi oczami, próbując zapoznać się ze swoim nowym domem.

Wyglądał o wiele bardziej zachęcająco, niż Perry mógł sobie kiedykolwiek wyobrazić. Ledwie pamiętał, że znajduje się w pieczarze wielkiej góry.

Podszedł do Marrona, który w towarzystwie Reefa i Beara stał przy niewielkim podeście. Bear podpierał się laską, a pod oczami miał lima.

– I co o tym sądzisz? – zapytał Marron.

Perry podrapał się po tyle głowy. Mimo ogromnej pracy Marrona jaskinia była nadal tymczasowym schronieniem.

– Myślę, że mam ogromne szczęście, że cię znam – odpowiedział w końcu.

– I wzajemnie – odparł Marron z uśmiechem.

Bear przestąpił z nogi na nogę, patrząc na Perry'ego.

– Niesłusznie w ciebie wątpiłem.

Perry pokręcił głową.

– Nie znam osoby, która nigdy nie wątpi. A chcę wiedzieć, co myślisz. Zwłaszcza jeśli uważasz, że nie mam racji. Ale potrzebuję też twojego zaufania. Zawsze chcę dla ciebie i Molly tego, co najlepsze. Jak dla wszystkich Fal.

Bear pokiwał głową.

– Wiem o tym, Perry, wszyscy tego chcemy. – Wyciągnął rękę do Perry'ego i uściśnął mu ją z miążdzącą siłą.

Nie tylko Bear inaczej odnosił się do Perry'ego po ostatniej burzy. Plemię przestało się z nim kłócić. Kiedy mówił, wyczuwał, że słuchają, i był świadomy potęgi ich uwagi. Z każdym czynem i każdą porażką przeistaczał się w Wodza Krwi. Przejęcie łańcucha po Vale'u nie miało z tym nic wspólnego.

Perry rozejrzał się wokół i poczuł kielkującą w nim podejrzliwość. Trudno to było zauważyć w nowej przestrzeni, ale Perry miał wrażenie, że jest ich za mało. Nie było tu wszystkich.

– Gdzie jest Kirra? – zapytał. Nie widział ani jej, ani jej ludzi.

– Nie mówiła ci? – zapytał Marron. – Wyjechali dziś rano.

Powiedziała, że wracają do Sable'a.

– Kiedy? – dopytywał Perry. – Kiedy wyjechali?

– Wiele godzin temu – odparł Bear. – Z samego rana.

To nie mogła być prawda. Perry widział przecież niedawno Larka

i Foresta. Dlaczego mieliby zostać w tyle?

Nagle przeszył go strach. Odwrócił się gwałtownie i pobiegł do konia, którego zostawił na zewnątrz pod opieką Twiga. Dziesięć minut później wpadł do własnego domu. Drzwi wejściowe były otwarte. Wokół nie było nikogo.

Perry wszedł do środka, czując, jak kołacze mu serce. Gren leżał na podłodze. Ręce i nogi miał związane liną. Z nosa ciekła mu krew, a oczy zasłaniała ciężka opuchlizna.

– Zabrali Cindera – powiedział. – Nie mogłem ich powstrzymać.

Pół godziny później Perry stał na plaży przed jaskinią wraz z Marronem i Reefem. Ściągnął z szyi łańcuch Wodza Krwi i trzymał go w zaciśniętej dłoni.

Niebieskie oczy Marrona nagle zrobiły się wielkie.

– Peregrine?

W pobliżu Reef patrzył na morze, ze skrzyżowanymi rękami.

– Nie mogę tego zabrać ze sobą. – Perry nie musiał mówić dlaczego. Przy tak częstych burzach i ziemiach niczyich, na których roilo się od Rozproszonych, ruszenie w drogę było jeszcze bardziej niebezpieczne niż zwykle.

– Fale ci ufają – mówił dalej. – Poza tym lubisz biżuterię bardziej niż ja.

– Wezmę go – odrzekł Marron. – Ale łańcuch nadal jest twój. Będziesz go jeszcze nosił.

Perry próbował się uśmiechnąć, lecz usta mu drżały. Zdał sobie sprawę, że teraz w końcu chce nosić ten łańcuch bardziej niż kiedykolwiek. Nie był Wodzem Krwi podobnym do swojego brata czy ojca, jednak nadal zasługiwał na tytuł. Był dla Fal właściwym wodzem. I wiedział, że podoła zadaniu na swój własny sposób.

Podał łańcuch Marronowi i udał się z Reefem w stronę jaskini. Twig czekał na nich przy szlaku z parą koni. Jedyńą, które zostawiła po sobie Kirra.

– Pozwól mi jechać za ciebie – powiedział Reef.

Perry pokręcił głową.

– Muszę jechać. Kiedy ktoś mnie potrzebuje, rzucam się za nim. Taki jestem.

Po chwili Reef pokiwał głową.

– Wiem – powiedział. – Teraz już to rozumiem. – Przejechał dłonią po twarzy. – Masz tydzień. Potem ruszę twoim śladem.

Perry przypomniał sobie dzień, kiedy pobiegł szukać Arii. Reef dał

mu godzinę, która trwała dziesięć minut.

– Dobrze cię znam. To oznacza, że mam jeden dzień – powiedział i uściskał dłoń Reefa. Przełożył torbę przez ramię i podniósł swój łuk i kołczan, po czym wspiął się na konia i odjechał razem z Twigiem.

Gdy się oddalali, Perry poczuł, jak ściska go w gardle. Wiele tygodni temu miał zamiar opuścić plemię, ale teraz było mu dużo ciężiej, niż się spodziewał. Ciężiej niż kiedykolwiek wcześniej.

Myślał o Kirrze. Cały czas chodziło jej o Cindera. Pytania o Krukorów i jego bliźny tak naprawdę nie dotyczyły jego. Próbowwała wydobyć z Perry'ego informacje, czekając na odpowiedni moment i sposób, by wykraść mu Cindera. Zwiodła go tak jak Vale.

To wszystko sprawka Sable'a. Perry nie chciał nawet myśleć, do jakich celów zamierzał on wykorzystać Cindera. Powinien był ufać swojemu instynktowi. Powinien był odesłać Kirrę tego samego dnia, kiedy się u nich zjawiała.

Ślady koni prowadziły na północ, na dobrze znany szlak handlowy. Jechali od kilku godzin, kiedy w oddali Perry zauważył ruch. Poczul nagły przypływ adrenaliny, spiął konia i pomknął do przodu, licząc na to, że uda mu się przeciąć drogę Larkowi i Forestowi.

Poczul nagły ucisk w żołądku, kiedy zauważył, że to nie ludzie Kirry.

– Co widzisz? – zapytał Twig, gdy go dogonił.

Chwilowo stracił czucie w ciele. Nie wierzył własnym oczom.

– To Roar. I Aria.

– Mówisz poważnie? – zapytał Twig, przeklinając.

W pierwszym odruchu Perry chciał do nich zawołać. Oboje byli Audami. Jeśli podniesie głos, na pewno go usłyszą. Tak by kiedyś zrobił. Roar był jego najlepszym przyjacielem. A Aria....

Kim dla niego była? Kim byli dla siebie?

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Twig.

Perry chciał do niej biec, bo wróciła. Lecz chciał ją też zranić, bo wcześniej go zostawiła.

– Perry? – dopytywał Twig.

Perry popędził konia. Podjechali bliżej, aż Aria usłyszała konie. Odwróciła się w jego stronę, ale nie wiedziała, gdzie dokładnie patrzeć w ciemności. Perry patrzył na jej usta, które układały się w niesłyszalne dla niego słowa. Wtedy dotarła do niego odpowiedź kompana.

– To ja, Twig. – Zamilkł na chwilę, posyłając Perry'emu niepewne spojrzenie. – Jest ze mną Perry.

Wiadomość między Audami. Tylko dla ich uszu.

Perry patrzył, jak Aria spogląda na Roara, a jej twarz tężeje w wyrazie żalu. Nie, to nie był żal. To był lęk. Czy po miesiącu rozłąki bała się ich spotkania?

Aria wzięła Roara za rękę, przez co Perry wiedział, że przekazują sobie informacje. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Nie wierzył, że widzi ich przed sobą, ale tak właśnie było. Widział wszystko.

Kiedy się spotkali, był zdezorientowany. Zszedł z konia, ale miał wrażenie, że się unosi, jakby na wszystko patrzył z pewnej odległości.

Nie wiedział, co się dzieje. Dlaczego Aria nie jest w jego ramionach? Dlaczego Roar nie przywitał się z nim ani nawet nie uśmiechnął? Wtedy uderzył go nastrój Arii. Był tak ciężki i ciemny, że aż się zachwiał pod jego naporem.

– Perry – Aria popatrzyła na Roara. Oczy zaszły jej łzami.

– Co się stało? – zapytał, ale już wiedział. Nie mógł w to uwierzyć.

Wszystko, co Kirra powiedziała o Roarze i Arii, a w co nie chciał wierzyć, było prawdą.

Popatrzył na Roara.

– Coś ty narobił?

Roar nie chciał spojrzeć mu w oczy, a twarz miał białą jak kreda.

Perry poczuł, jak rozpala się w nim gniew. Rzucił się na Roara, obrzucając go przekleństwami. Aria próbowała go odciągnąć.

– Perry, przestań!

Roar był zwinniejszy i już po chwili przyciskał ramiona Perry'ego do ziemi.

– Chodzi o Liv – powiedział. – Perry... chodzi o Liv.

38
ARIA

Roar w końcu przemówił, a na dźwięk jego słów Aarii pękło serce.

– Nie mogłem nic zrobić. Nie mogłem powstrzymać Sable’a.

Przepraszam, Perry. To się stało tak szybko. Odeszła. Straciłem ją, Perry. Liv nie żyje.

– Co ty wygadujesz? – powiedział Perry, odpychając Roara. Spojrzał na Arię zagubionym zielonym spojrzeniem. – Dlaczego on tak mówi?

Aria nie chciała odpowiedzieć. Nie chciała, by usłyszał to od niej, ale nie mogła milczeć.

– To prawda. Tak mi przykro.

Perry mrugał z niedowierzaniem.

– Moja siostra? – Ton jego głosu, bezbronny i delikatny, miażdżył ją na kawałki. – Co się stało?

Tak szybko, jak potrafiła, opowiedziała Perry’emu o układzie Hessa i Sable’a dotyczącym wspólnej wyprawy do Wielkiego Błękitu, i o tym, co się działo z Talonem. Nie chciała tego robić, ale Perry musiał wiedzieć, że życie chłopca jest w niebezpieczeństwie. Kiedy mówiła, kręciło jej się w głowie. Brakowało jej tchu i czuła się obco, jak wtedy, gdy była niewidzialna w Sferach.

Od dawna tyle nie mówiła, kiedy jednak w końcu skończyła, lasy wydały jej się bardziej pogrążone w ciemności.

Perry patrzył to na nią, to na Roara oczami pełnymi łez. Aria widziała, jak walczy ze sobą, próbując się skupić. Próbuje się opanować.

– Talon jest uwięziony w Reverie? – powiedział w końcu.

– Talon i tysiące innych ludzi – odpowiedziała. – Jeśli ich nie wydostaniemy, skończy im się tlen. Jesteśmy ich jedyną nadzieją.

Perry wskoczył na konia, zanim jeszcze skończyła mówić.

– Odzyskaj Cindera – nakazał Twigowi.

Aria zapomniała, że Twig stoi przy nich.

– Co z nim?

– Rogi go porwały. – Perry wskoczył na siodło i podjechał do Aarii, wyciągając do niej rękę. – Jedziemy!

Aria zerknęła na Roara. Spodziewała się, że tego dnia wiele się wydarzy, jednak nie brała pod uwagę, że nagle się rozstaną.

– Pojadę z Twigiem – powiedział Roar. Napięcie między nim

a Perrym nadal było wyczuwalne.

Aria pospiesznie uściskała go, po czym chwyciła Perry'ego za rękę. Wciągnął ją za siebie i koń zaczął biec, zanim zdążyła się dobrze usadowić.

Odruchowo objęła Perry'ego w pasie. Liv odeszła na razie w niepamięć. Roar i Cinder również. Nie liczył się nikt prócz Talona.

Przez koszulę Perry'ego Aria czuła linie jego żeber. Ruchy mięśni. Był prawdziwy. Był blisko niej, tak jak pragnęła tego od tygodni – od miesięcy. Nic się jednak nie zmieniło. Nadal dzielił ich ogromny dystans.

Perry gnał konia w stronę Reverie, pod niebem, na którym piętrzył się eter. Od czasu do czasu między drzewami widział skrawki linii horyzontu, nad którą pulsowało światło eterowych lejów. Kierowali się na południe, prosto w serce burzy, Perry nie miał jednak wyboru. Talon był uwięziony.

Przed oczami przemykały mu obrazy siostry. Bezsensowne rzeczy. Jak Liv przypierała go do ziemi, gdy byli mali, próbując go uczesać. Jej śmiech, gdy w ramionach Roara siedziała na plaży. Jak kłóciła się z Vale'em o jego umowę z Sable'em, niemal uciekając się do ciosów. Perry nie mógł pogodzić się z myślą, że już nigdy jej nie zobaczy.

Teraz miał już tylko Talona. Jedyna rodzina, jaka mu pozostała. Perry zerknął na dłonie Aarii, które mocno go oplatały. Może się mylił. Może jednak miał kogoś więcej.

Im bliżej byli Reverie, tym wyraźniejszy stawał się zapach niesiony przez ciepłe podmuchy wiatru, które poruszały gałęziami. Na języku poczuł chemiczny smak, który pamiętał z wieczoru, kiedy włamał się do jednej z kopuł. Choć nie widział jeszcze Reverie, wiedział, że płonie.

Niedługo potem, kiedy wspięli się na szczyt wzgórza, koń zatrzymał się, nagle stając dęba i rżąc z przerażenia.

Perry nigdy nie widział niczego podobnego do tego, co dostrzegł w dolinie. Był środek nocy, ale eter oświetlał całą równinę. Setki lejów ciskały w ziemię z nieba, pozostawiając na pustyni żywoczerwone ścieżki. Perry mocniej zacisnął dłonie na lejcach, by powstrzymać konia od wierzgania i rzucania łbem. Instynktu zwierzęcia nie była teraz w stanie opanować żadna tresura.

Perry poczuł ogarniającą go panikę, kiedy jego oczom ukazała się okrągła kopuła. Znajdowała się dokładnie w oku burzy. Unosiły się nad nią czarne kłęby dymu, które przysłaniały jej kształt. Perry pamiętał go dobrze z dnia, kiedy wkradł się do Reverie. Monumentalna centralna kopuła wyglądała jak wielkie wzgórze i była otoczona mniejszymi kopułami, okrążającymi centrum niczym promienie słońca. Gdzieś w środku znajdzie Talona.

Koń nie chciał się uspokoić. Perry odwrócił się przez ramię.
– Dalej już nie pojedziemy.

Aria bez wahania zeskoczyła na ziemię.

– Chodźmy!

Perry wziął łuk i pobiegł za nią, czując ciężkość nóg po godzinach spędzonych w siodle. Kiedy biegli przez pustynię, Perry starał się nie myśleć o szansach na przetrwanie w otwartej przestrzeni w środku eterowej burzy.

Leje uderzały w ziemię raz po raz, a każdy z nich wydawał z siebie coraz głośniejszy, bliższy huk, posyłając gorące fale powietrza po skórze Perry'ego. W jego uszach rozległ się nagły pisk i w ułamku sekundy oślepił go błysk światła. Czterdzieści kroków od nich lej eteru uderzył w ziemię, rozrywając ją na pół. Perry poczuł, jak napina się każdy mięsień jego ciała i przeszywa go ból. Nie potrafiąc złagodzić swojego upadku, bez tchu runął na ziemię.

Aria przykucnęła kilka kroków od niego, zwinięta w kłębek, zaciskając dłońmi uszy. Krzyczała. Dźwięk jej bólu niósł się nad eterem i przeszywał Perry'ego na wskroś. Nie mógł tego powstrzymać i nie mógł się do niej przysunąć. Jak mógł ją tu przyprowadzić?

Jasność stopniowo malała, kiedy lej eteru z powrotem zwijał się w stronę nieba. Cisza huczała Perry'emu w uszach. Z wysiłkiem starał się stanąć na nogi i pokuśtykał w stronę dziewczyny. Aria rzuciła się ku niemu w tej samej chwili. Zderzyli się ze sobą i przywarli do siebie, obejmując się i jednocześnie szukając równowagi. Ich spojrzenia się spotkały i Perry zobaczył, jak jego własne przerażenie odbija się w jej twarzy.

Godzina minęła w okamgnieniu. Perry nie czuł ciężaru swojego ciała. Nie słyszał swoich kroków, kiedy biegł. Otaczał ich blask piorunów i ogłuszający ryk niekończącej się burzy.

Byli coraz bliżej masywnej bryły Podu, niespełna kilometr przed nimi. Zewsząd otaczał ich dym. Perry czuł, jak palą go płuca i pieką oczy. Nie wyłapywał już żadnych zapachów. Ze swojego miejsca widział, że spora część SR 6, kopuły, do której włamał się wiele miesięcy temu, zupełnie się zawaliła. Płomienie sięgały prawie trzydziestu metrów nad ziemię. Liczył na to, że i tym razem uda mu się tą drogą dostać do Reverie. Teraz widział, że nie ma na to szans.

– Popatrz, Perry.

Dym poruszał się razem z wiatrem jak czarny welon. Perry zauważył migoczącą niebieskim światłem kopułę, która znajdowała się obok. Do środka prowadził rozległy właz, z którego wyleciały dwa hoversy. Na tle ogromnej konstrukcji wydawały się małe jak jaskółki. Pomknęły nad pustynią, a ich jasne światła migwały w gęstwinie czarnego dymu.

– To musiał być Hess. Porzuca wszystkich – powiedziała Aria. – Porzuca swoich ludzi.

– Tędy dostaniemy się do środka – powiedział.

Podbiegli bliżej, tłocząc się tuż przy ścianie, obok wysokiego na kilkaset metrów otworu. W środku zobaczył ustawione w szeregu pojazdy Osadników. Mniejsze wyglądały jak ten, w którym porwano Talona. Jednostki w kształcie łez, gładkie i połyskliwe jak muszle uchowca. Za nimi znajdował się olbrzymi pojazd, który rozmiarem przewyższał pozostałe. Uzbrojeni strażnicy poruszali się w kontrolowanym chaosie, ładując zapasy, zarządzając pospieszne wyloty jednego hovera za drugim.

Gdy przyglądał się sytuacji, koło niego zapaliły się światła jednego z pojazdów. Z jego podbrzusza wysunęły się cztery skrzydła, jak u ważki. Na całej ich długości znajdowały się światła, a kiedy pojazd zaczął unosić się w górę, powietrze zaczęło drgać. Perry wzdrygnął się, kiedy pojazd minął go z ogłuszającym brzęczeniem.

– Komora śluzowa prowadząca do Reverie jest po przeciwnej stronie – powiedziała Aria, patrząc mu w oczy.

Perry dostrzegł ją. Wejście znajdowało się wiele metrów przed nimi. Uważnie przyglądał się mężczyznom w pobliżu, odnajdując wzrokiem pistolety przypięte do ich pasów.

– Możemy przemknąć koło nich – powiedziała Aria. – Są zajęci wyjazdem, a nie obroną Podu.

Perry pokiwał głową. To była ich jedyna szansa. Wskazał palcem skupisko skrzyń na paletach w połowie długości hangaru. Między nimi a ścianą znajdował się mały przesmyk.

– Kiedy uruchomi się kolejny pojazd, biegnij do tych skrzyń. Schowamy się za nimi.

Aria pobiegła w ich stronę, kiedy tylko kolejna maszyna podniosła się z ziemi. Perry ruszył za nią. Byli już prawie na miejscu, gdy dostrzegł ich patrol żołnierzy. Kule trafiły w ścianę za nimi. Ich dźwięk wydawał się cichy w porównaniu z buczeniem pojazdów. Kiedy Perry dobiegł do skrzyń, sięgnął po łuk.

– Musimy biec dalej! – krzyczał. Nie mogli dać żołnierzom szansy, by się zorganizowali.

Biegąc, Aria wyciągnęła nóż.

Kiedy znaleźli się na drugim końcu hangaru, Perry zobaczył, że od wejścia oddziela ich grupka gwardzistów. Trzech mężczyzn. Dwóch z nich wyciągnęło broń, trzeci patrzył na niego, zdezorientowany. Jedynym sposobem, by odzyskać Talona, było ich pokonanie.

Perry strzelał w biegu. Jego strzała dosięgła torsu pierwszego mężczyzny. Wraz z wystrzałem drugiego strażnika przed oczyma Perry'ego mignęły czerwone mrugnięcia. Metalowe skrzynie za nimi szcęknęły głośno. Perry wystrzelił do drugiego mężczyzny, ale to nie wystarczyło. Aria wyprzedziła go, wyciągnęła nóż i wymierzyła strażnikowi cios w brzuch. Mężczyzna zatoczył się w tył i wystrzelił.

– Aria! – krzyknął Perry.

Kiedy patrzył, jak Aria pada na ziemię, jego serce na chwilę przestało bić. Strzała, którą ugodził mężczyznę strzelającego do Arii, przeszła na wylot. Perry podbiegł do dziewczyny i objął ją w tali, podnosząc z ziemi. Kiedy biegli, Aria trzymała się za rękę. Po palcach ściekała jej krew. Perry ciągnął Arię za sobą, zatrzymując się jedynie, by chwycić pistolet, który upuścił jeden z żołnierzy. Po drugiej stronie hangaru ludzie zbici z tropu przez syrenę alarmową zaczęli krzyczeć.

Kolejni strażnicy otworzyli ogień, ale Perry zauważył, że większość z nich najwyżej na chwilę przerwała przygotowania do ewakuacji, nie zwracając na nich większej uwagi. Perry znalazł spust pistoletu. Strzelał i strzelał, podświadomie dziwiąc się, z jaką łatwością i prędkością działała broń.

Z każdym kolejnym krokiem Aria coraz ciężiej zwiślała mu na ramieniu. Po rampie wbiegli do komory śluzowej, słysząc za sobą wściekłe ludzkie głosy, niewyraźne pośród wycia syren. Perry zaczął wciskać guziki na panelu przy drzwiach. Drzwi się rozsunęły, ukazując stojących za nimi zaskoczonych żołnierzy.

Perry przedarł się przez nich siłą i zaczął biec szerokim, krętym korytarzem, słysząc, jak cichną za nimi odgłosy syren. Nie wiedział, dokąd zmierza, wiedział jedynie, że musi gdzieś się ukryć. Zająć się Arią. Znaleźć Talona.

Nagle Aria się zatrzymała.

– Tutaj!

Przycisnęła dłoń do panelu przy drzwiach, a gdy się otwarły, wbiegli do środka ile sił w nogach.

40 ARIA

Aria oparła się plecami o ścianę. Czowała, jak kręci się jej w głowie. Musiała złapać oddech. Serce biło jej zbyt szybko. Musiała się uspokoić.

Perry stał przy drzwiach i nasłuchiwał odgłosów z korytarza, Aria miała wrażenie, że chłopak z bronią w ręku czuje się bardzo swobodnie, jakby używał jej od lat, a nie minut. Krzyki strażników zrobiły się głośniejsze.

– Dajcie sobie spokój – Aria słyszała głos z zewnątrz. – Przepadli. – Po czym odgłosy kroków ucichły.

Perry opuścił broń. Spojrzał na Arię i zmarszczył brwi ze zmartwienia.

– Nigdzie się nie ruszaj.

Aria zamknęła oczy. Ból w jej ramieniu był wszechogarniający, ale nie straciła jasności myślenia, jak wtedy gdy próbowano ją otruć. Co dziwne, najbardziej martwiło ją to, że krew ścieka jej po ramieniu i kapie z palców. Z bólem da sobie radę, ale utrata krwi ją osłabi i spowolni.

Pomieszczenie było składem sprzętu do ewakuacji. O takich magazynach uczyła się podczas szkoleń alarmowych. Wzdłuż ścian znajdowały się metalowe skrzynie, a w nich kombinezony ochronne. Maski tlenowe. Gaśnice przeciwpożarowe. Apteczki pierwszej pomocy. Perry podbiegł do najbliższej i przyniósł ją Arii.

– W środku powinna być niebieska tubka – powiedziała, ciężko łapiąc oddech. – To na zatrzymanie krwawienia.

Perry pospiesznie przeszukał pudełko, znajdując tubkę i bandaż.

– Spójrz na mnie – powiedział, prostując się. – Patrz mi prosto w oczy.

Odsunął dłoń, którą dziewczyna osłaniała ranę.

Aria wciągnęła powietrze przez zęby, czując napływający ból, który rozprzestrzenił się po jej ramieniu. Dostała w biceps, ale co dziwne, najbardziej bolały ją koniuszki palców. Mięśnie w jej nogach zaczęły drżeć.

– Bez obaw – uspokajał ją Perry. – Oddychaj swobodnie.

– Nadal mam rękę? – zapytała.

– Tak. – Posłał jej przelotny uśmiech, ale Aria dostrzegła pod nim zmartwienie. – Kiedy się wygoi, będzie idealnie pasować do mojej.

Zdecydowanymi, sprawnymi ruchami nałożył maść, a następnie ciasno okręcił jej rękę bandażem. Aria nie spuszczała wzroku z jego twarzy. Z jasnego zarostu na jego szczęce, małego zgrubienia na nosie. Mogłaby tak patrzeć na niego bez końca. Mogłaby spędzić całe życie, przyglądając się, jak mruga i oddycha.

Oczy zaszyły jej łzami, ale Aria nie wiedziała, czy to z bólu, czy z ulgi, że znów są razem. Przy nim wszystko wydawało się słuszne. Czuła to z każdą chwilą, którą spędzali razem. Nawet gdy były złe i bolesne, jak teraz.

Dłonie Perry'ego zastygły i chłopak uniósł wzrok. Jego oczy powiedziały jej wszystko. Perry czuł to samo.

Aria wyczuła drgania przez podeszwy butów i nagle skrzynie zaczęły się trząść. Dudnienie się nasilało. Zgasły światła. Aria rozglądała się w ciemności, próbując opanować narastającą w niej panikę. Czerwone lampy alarmowe nad drzwiami zaczęły pulsować, by po kilku razach zaświecić już na stałe. Powoli hałas ustał.

– To miejsce się wali – powiedział Perry, zawiązując bandaż.

Aria pokiwała głową.

– Korytarz prowadzi wokół Panopu. Jeśli nim pójdziemy, znajdziemy drzwi wejściowe. – Odepchnęła się od ściany. Krwawienie zostało zatamowane, ale nadal kręciło jej się w głowie.

Perry zerknął przez drzwi. Korytarz pogrążony był w ciemności, z wyjątkiem czerwonych lamp alarmowych rozmieszczonych co dwadzieścia kroków.

– Trzymaj się mnie.

Biegli razem łukowatym korytarzem. Zawodzenie syren alarmowych odbijało się od ścian i rosło w ich uszach. Aria czuła zapach dymu, temperatura podnosiła się z minuty na minutę. Ogień dostał się do Podu. Aria czuła, że szybko opuszczają ją siły, dokładnie tak, jak się spodziewała. Czuła, jakby biegła pod wodą.

– Tutaj – powiedziała, zatrzymując się przy wielkich dwuskrzydłowych drzwiach, na których widniał napis PANOPTICON. – To tu Hess wszystkich zamknął. – Przyciskała guziki panelu kontrolnego. ODMOWA DOSTĘPU, oznajmiał wyświetlacz. Próbowała raz jeszcze, wałąc w panel ze złością. To niemożliwe, by dotarli tak blisko, a nie mogli wejść do środka.

Nie słyszała, jak strażnicy Reverie wychodzą zza zakrętu. Alarm zagłuszał wszelkie dźwięki. Perry jednak ich zobaczył. Gdy zaczął strzelać, wybuchło przy niej staccato jaskrawych wystrzałów. W głębi

korytarza na ziemię padali kolejni strażnicy. Perry podbiegł do nich z zaskakującą prędkością. Jednego z nich złapał za kołnierz i wrócił z nim pod drzwi. Mężczyzna został postrzelony w nogę i szedł z trudem.

– Otwieraj drzwi – zażądał Perry, trzymając strażnika przed panelem.

– Nie! – Mężczyzna próbował się wyzwolić. Nagle przed oczami błysnęła Arii twarz mamy. Pozbawiona życia, taka, jak widziała ją ostatnio. Nie mogła znów zawieść. Talon znajdował się w środku. Jeśli nie otworzą tych drzwi, umrą tysiące ludzi.

Sprawną ręką Aria chwyciła nóż i przejechała nim po twarzy strażnika. Przyparła ostrze do jego brody, opierając je o kość.

– Wprowadź nas do środka.

Mężczyzna z krzykiem próbował się wyrwać, po czym z rozpaczą wcisnął kombinację kodu, błagając, by go puścić.

Drzwi się otworzyły, a za nimi ukazał się długi korytarz.

Aria wbiegła do środka. Jej stopy ciężko dudniły o gładkie podłogi. Zastygła w bezruchu, kiedy znalazła się na drugim końcu korytarza, w środku Panopu. W swoim domu.

Rozglądając się wokół, czuła się obco. Panop wznosił się idealną spiralą wokół centralnego atrium. Na czterdziestu poziomach konstrukcji spali, jedli, chodzili do szkoły i przez frakcjonowanie przenosili się do Sfer.

Wydawał się większy i bardziej przygnębiający, niż się spodziewała. Szary kolor, który kiedyś był dla niej niemal niewidzialny, teraz wydawał się pozbawiony życia, dusząco chłodny. Jak to możliwe, że kiedyś czuła się tu szczęśliwa?

Po chwili przestała patrzeć na to, co znajome, i zwróciła uwagę na rzeczy, które się zmieniły. Dym kłębiący się z najwyższych poziomów. Kawalki betonu, które spadały obok niej i Perry'ego. Biegający wokół spanikowani ludzie. Przerażone krzyki, od których włos jeżył się na głowie, a które raz po raz były zagłuszane przez syreny alarmowe. Najtrudniej jednak było uwierzyć w to, że w atrium nadal przesiadywali ludzie, jakby nie działo się nic nadzwyczajnego.

Aria zauważyła czarną, krótką fryzurę Pixie i podbiegła do przyjaciółki.

Dziewczyna złękła się na widok dawno niewidzianej osoby i z niedowierzaniem zamrugła powiekami.

– Aria? – Na twarzy Pixie pojawił się uśmiech. – Jak dobrze, że tu jesteś. Soren powiedział nam, że żyjesz, ale myślałam, że znowu mu odbiło.

– Reverie się wali. Musicie stąd uciekać, Pixie. Musicie się stąd wydostać!

– Ale dokąd?

– Na zewnątrz.

Pixie pokręciła głową z przestraszoną miną.

– O nie.... Tam na pewno się nie wybieram. Hess kazał nam tu czekać i przejść do Sfer. Wszystko naprawi. – Uśmiechnęła się. – Usiądź, Ario. Czy widziałas już Sferę Atlantydy? Ogrody krasnorostów o tej porze roku wyglądają niezmiernie.

– Nie mamy czasu, Ario – powiedział Perry, który stanął przy niej.

Pixie sprawiała wrażenie, jakby wcześniej go nie zauważyła.

– Kto to?

– Musimy znaleźć Sorena – powiedziała Aria pospiesznie. – Możesz wysłać mu ode mnie wiadomość?

– Jasne. Już się robi, choć Soren nie jest daleko. Przebywa w południowych salonach.

– Tędy! – Aria zawołała do Perry'ego. Kiedy biegła na drugi koniec atrium, nagła eksplozja, od której zadrżało powietrze, sprawiła, że niemal straciła równowagę. Wokół nich spadały kawałki betonu i kruszyły się w kontakcie z gładką podłogą. Aria zakryła głowę rękami, uciekając przed siebie. Jedyńm rozwiązaniem – ich jedyną nadzieją na przetrwanie – było wydostanie się stąd.

Zobaczyła grupkę biegnącą w jej stronę. Dostrzegła w niej znajomą twarz, potem kilka kolejnych. Na ich widok chciało się jej płakać. Caleb był wśród nich i patrzył na Arię wielkimi, niedowierzającymi oczami. Rune i Jupiter biegli razem. Zobaczyła też Sorena w samym centrum grupy oraz chłopca tuż przy jego boku.

Perry odłączył się od niej, pokonując dzielący go od grupki dystans długimi sprężystymi susami i pochwycił Talona w objęcia. Zanim Talon na dobre wtulił się w ramiona Perry'ego, Aria zauważyła jego delikatny uśmiech.

Od miesięcy czekała, by to zobaczyć. Chciała delektować się tą chwilą, choćby miała trwać sekundę, ale Soren utkwiał w niej wzrok i wypalił prosto z mostu.

– Co tak długo? Dotrzymałem przyrzeczenia. Teraz ty dotrzymasz swojego.

41
PEREGRINE

– Nic mi nie jest. Naprawdę, nic mi nie jest – powiedział Talon. Perry trzymał go tak mocno, jak tylko mógł, jednocześnie nie robiąc mu krzywdy. – Wujku, musimy uciekać.

Perry postawił go na ziemi i chwycił za małą rączkę. Przyglądał się twarzy bratanka. Talon był zdrowy. I w końcu byli razem.

Chwilę później podbiegła do niego Clara. Młodsza siostra Brooke przytuliła się mocno do jego nogi. Miała czerwoną, zapłakaną buzię. Perry ukląkł przy niej.

– Wszystko w porządku, Claro. Zabiorę was do domu. Musicie trzymać się z Talonem za ręce. Nie dajcie się rozłączyć i trzymajcie się blisko mnie.

Clara przetarła rękawem buzię, ocierając łzy, i pokiwała główką. Perry się wyprostował. Aria stała z Sorenem, Osadnikiem, z którym walczył kilka miesięcy temu. Wraz z nim przybiegło wielu ludzi. Byli pobudzeni i przestraszeni, zupełnie inni niż ludzie, których spotkali przed chwilą. Zauważył, że nie mają na oczach Wizjerów.

– Przyszłaś z tym *Dzikusem*? – zapytał Soren.

Po drugiej stronie atrium z korytarza wydobyła się eksplozja płomieni. Chwilę później uderzyła ich fala gorąca.

– Musimy uciekać, Ario! Teraz!

– Hangar transportowy – powiedziała. – Tędy!

Wraz z Sorenem i z ludźmi, którzy przybiegli razem z nim, w okamgnieniu znaleźli się przy wyjściu z Panopu. Po drodze Aria wołała do wszystkich, którzy zwrócili na nią uwagę, aby uciekali z Reverie, lecz alarmy przeciwpożarowe i huk walącego się betonu zagłuszały jej słowa. Ludzie siedzący w grupkach na parterze nie poruszali się. Pozostali zobojętniali, nieświadomi panującego wokół nich chaosu. Aria zatrzymała się przy dziewczynie, z którą rozmawiała wcześniej, i złapała ją za ramię.

– Pixie, musisz stąd uciekać, i to zaraz – krzyczała. Tym razem dziewczyna w ogóle nie zareagowała. Obojętnie patrzyła przed siebie. Aria odwróciła się do Sorena.

– Co jej jest? Czy to SDL?

– To lęk przed wyjściem na zewnątrz. Wiele rzeczy.

– Nie możesz wyłączyć ich Wizjerów? – zapytała zrozpaczonym

tonem.

– Próbowałem – odpowiedział Soren. – Muszą to zrobić samodzielnie. Inaczej nie ma jak do nich dotrzeć. Są przestraszeni. Nie znają innego świata poza Sferami. Zrobiłem, co mogłem.

W uszach Perry'ego rozległ się huk eksplozji.

– Ario, musimy stąd zniknąć.

Pokręciła głową. Z oczu płynęły jej łzy.

– Nie potrafię. Nie mogę ich zostawić.

Perry podszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie.

– Musisz. Nie odejdę stąd bez ciebie.

Czuł, jak słuszność jego słów przeszywa go niczym chłód. Zrobiłby wszystko, by to zmienić. Oddałby wszystko. Bez względu na to, co by zrobił, nie mógł ocalić wszystkich.

– Chodź ze mną – powiedział. – Proszę cię, Ario. Czas uciekać.

Podniosła wzrok, rozglądając się powoli po rozpadającym się na kawałki Podzie.

– Przepraszam... przepraszam – powiedziała. Perry objął ją ramieniem, czując jej żal. Żal z powodu wszystkich ludzi, którzy zasługiwali na to, by żyć. Razem pobiegli do wyjścia, zostawiając za sobą Panop.

Biegli z powrotem zewnętrznym korytarzem, prowadząc za sobą grupę Osadników. Czarny dym wydobywał się z otworów wentylacyjnych, a czerwone światła migotały powoli, wstrzymując się na jedną lub kilka sekund. Perry pilnował Talona i Clary, ale bardziej martwił się o Arię. Przyciskała do siebie ranne ramię i z trudem utrzymywała tempo.

Dobiegli do hangaru i wdarli się do środka. Pomieszczenie wyglądało na porzucone i w niczym nie przypominało zatłoczonego komunikacyjnego węzła, który widział wcześniej. Żołnierze również zniknęli. W hangarze pozostało już tylko kilka hoverów.

– Umiesz prowadzić któryś z tych pojazdów? – Aria zapytała Sorena. Jej twarz była zupełnie blada.

– Tak, ale w Sferach – odparł Soren. – Te są prawdziwe.

Wokół nich zbierali się ludzie. Przez obszerny wlot, który znajdował się po przeciwnej stronie, widać było pustynię, gdzie szalała wciąż niesłabnąca burza.

– Do roboty – powiedział Perry. On i Aria ledwie uszli z życiem, próbując się tu dostać. Nie było szans, by w oku eterowego cyklonu dał radę przewodzić kilkudziesięciu przerażonym osobom: Osadnikom, którzy nigdy nie byli na zewnątrz.

- Nie będziesz mi rozkazywał – naskoczył na niego Soren.
- Ale ja będę! – wrzasnęła Aria. – Ruszaj się, Soren! Nie mamy czasu!

– Nie ma szans, żeby się udało – powiedział Soren, ale i tak pobiegł do jednej z maszyn.

Z bliska pojazd wydawał się ogromny. Zewnętrzna powłoka jasnoniebieskiego koloru z perłowym połyskiem nie miała żadnych spoiw. Perry wziął Talona i Clarę za rączki i pociągnął ich za sobą w dół rampy.

Kabina w środku wyglądała jak szeroka, pozbawiona okien tuba. Po jednej stronie za małymi drzwiami znajdował się kokpit. Druga strona wyładowana była metalowymi skrzyniami. Zapasy i sprzęt, choć pojazd był tylko w połowie załadowany. Środkowa część szybko wypełniła się ludźmi.

- Przesuńcie się na sam koniec i usiądźcie – poinstruowała ich Aria.
- Złapcie się czegoś, jeśli tylko możecie.

Perry zauważył, że Osadnicy mają na sobie te same szare ubrania co Aria, gdy po raz pierwszy się spotkali. Ich twarze były blade, a oczy wielkie, i choć ze względu na dym nie czuł ich nastrojów, ich reakcje na jego osobę wystarczająco dobitnie malowały się na ich osłupiałych twarzach.

Spojrzał na siebie. Na jego ubraniu były krew i brud, w dłoni trzymał pistolet. Wiedział zresztą, że w ich oczach jest groźny i dziki, tak jak oni wydawali mu się słabi i zalęknieni.

Jego obecność niczego im nie ułatwiała.

- Tutaj – powiedział Talonowi i Clarze, wprowadzając ich do kokpitu.

Uderzył głową w drzwi, wchodząc do środka, i pomyślał o Roarze, który na pewno by z tego zażartował. Który powinien tu być. Którego wcześniej Perry okropnie potraktował. Nie wierzył, że przyszło mu do głowy, by kwestionować lojalność Roara. Nagle przypomniał sobie o Liv i poczuł, że brakuje mu powietrza, a jego żołądek skręca się w korkociąg. Nadejdzie czas, że będzie myślał o swojej siostrze i żał rzuci go na kolana, ale nie teraz. Teraz nie może.

Kokpit był mały i ciemny, nie większy niż sypialnia Vale'a. W środku znajdowały się zaokrąglone okna dopasowane do kształtu dzioba maszyny. Wylot znajdował się na przeciwległym końcu hangaru. Na zewnątrz strumienie eteru przeszywały gęsty czarny dym i zupełnie zakrywały pustynię.

Soren usiadł na jednym z dwóch siedzeń pilotów i zaklął, patrząc na

panel kontrolny. Najwyraźniej wyczuł, że Perry mu się przygląda, bo zerknął na niego przez ramię z nienawiścią w oczach.

– Nie zapomniałem, Dzikusie.

Wzrok Perry'ego powędrował na bliznę na brodzie Sorena.

– Więc pewnie pamiętasz, kto był górą.

– Nie boję się ciebie.

Obok Perry'ego odezwał się cienki głosik.

– To mój wujek, Sorenie.

Soren spojrział na Talona, a wyraz jego twarzy od razu złagodniał. Po chwili wrócił jednak do kontrolek.

Perry popatrzył na bratanka, zaskoczony tym, jaki ma wpływ na Osadnika. Jak do tego doszło? Odłożył pistolet na półkę, na której znajdowała się pozostała broń, i kazał Talonowi i Clarze usiąść pod ścianą, podczas gdy sam przykucnął, by przyjrzeć się buzi chłopczyka.

– Dobrze się czujesz?

Talon pokiwał głową, posyłając mu zmęczony uśmiech. W jego przepastnych zielonych oczach zauważył cechy Vale'a. Chłopcu wyrosły dwa przednie zęby. Nagle poczuł, jak wiele miesięcy stracił i jaka odpowiedzialność na nim spoczywa. Talon znajdował się teraz tylko pod jego opieką.

Kiedy silniki zaczęły warczeć, wyprostował się. Panel kontrolny przed Sorenem zapalił się, a reszta kabiny pogrążyła w ciemności.

– Trzymajcie się – wrzasnął Soren.

Po zebranych w głównej kabinie przeszedł niespokojny szmer. Aria przecisnęła się do Perry'ego przez drzwi i weszła do kabiny dokładnie w chwili, kiedy maszyna mocnym szarpnięciem poderwała się do lotu. Perry złapał dziewczynę w pasie, chroniąc ją przed upadkiem. Pojazd ruszył do przodu, przyciskając Arię do jego torsu. Objął ją obiema rękami i trzymał mocno, kiedy wylatywali poza obszar hangaru. Wlecieli w chmurę dymu, przez którą Perry nic nie widział, zauważył jednak, że Soren pewnie nawiguje pojazdem na podstawie konsoli, którą ma przed sobą.

Kilka sekund później wlecieli w przejrzyste powietrze. Perry w zachwycie patrzył na ziemię, która uciekała pod nimi. Jego imię pochodziło od sokoła, lecz nigdy w życiu nie podejrzewał, że będzie latał. W pustynię nadal uderzały leje eteru, ale teraz było ich mniej. Białe światło świtu rozprzestrzeniało się po niebie, sprawiając, że błyski eteru zrobiły się delikatniejsze. Czuł, jak ciało Arii w jego objęciach się rozluźnia. Oparł brodę na czubku jej głowy, ciesząc się, że ma Arię przy

sobie.

Kiedy pojazd skierował się na południe, Perry zauważył flotę Hessa – karawanę światła przemieszczającą się nad odległą doliną. Rozpoznał kształt ogromnej maszyny, którą widział wcześniej. Następnie zobaczył Reverie, które pochłaniał dym i ogień.

Aria, wciąż w jego ramionach, przyglądała się temu bez słowa. Spojrzał na łuk jej ramienia i płaszczyznę policzka. Migotanie jej rzęs, kiedy mrugała. Jego serce wypełniło cierpienie. Jej. Jego. Dokładnie rozumiał, co ona czuje. On też stracił swój dom.

– Jak znajdziesz chwilę, Ario, może powiesz mi, gdzie lecimy.

Słyszając ton głosu Sorena, Perry zacisnął dłonie w pięści. Aria odwróciła się i spojrzała na niego pytającym wzrokiem. Bandaż na jej ramieniu przesiąkł krwią. Potrzebowała pomocy medycznej, i to jak najszybciej.

– Do Fal – odpowiedziała, właściwie nie sugerując, lecz stwierdzając, co uważał za słuszne. Miał gdzie ich wszystkich pomieścić. A po tym, co zobaczył, przeczuwał, że Osadnicy szybciej przyzwyczajają się do jaskini niż jego plemię.

W ciemnej kabinie oczy Aarii nagle pojaśniały.

– Skrzynie na tyłach są pełne zapasów. Jedzenia, broni, leków.

Perry pokiwał głową. To była prosta decyzja. Oczywiście sojusz. Razem byli silniejsi. I tym razem, pomyślał, Osadnicy będą mile widziani. Perry zerknął na Sorena. Przynajmniej większość z nich.

– Skieruj się na południowy zachód – powiedziała Aria. – Za tamto pasmo wzgórz.

Soren dostosował ster i zwrócił pojazd w stronę Doliny Fal. Perry spojrzał w dół, nie mogąc się doczekać, kiedy Talon wróci do domu. Czy jego bratanka sennie się przymykały. Obok niego Clara już spała.

Aria wzięła Perry'ego za rękę i poprowadziła go do wolnego siedzenia pilota. Gdy usiadł, posadził ją sobie na kolanach. Usadowiła się, przytulając do niego, i oparła czoło o jego policzek. Przez chwilę Perry miał wszystko, czego potrzebował.

42
ARIA

– Chcesz, żebym się rozbił? – powiedział Soren, zerkając na nią ze swojego fotela. W świetle kontrolki jego rysy wydawały się ostrzejsze. Bardziej okrutne. Podobne do rysów ojca. Wzrok Sorena przeniósł się na Perry'ego. – Bo to jest ohydne.

Ręka Arii pulsowała z bólu, a oczy piekły ją od dymu i zmęczenia. Chciała je zamknąć i odpłynąć w nieświadomość, ale niedługo mieli dotrzeć do Fal. Musiała utrzymać koncentrację.

Słyszała dobiegające z tyłu głosy. W drugiej kabinie siedział Caleb. Aria nie miała jeszcze nawet okazji z nim porozmawiać. Rune i Jupiter także tam byli, tak jak dziesiątki innych ludzi. Wszyscy przestraszeni.

Potrzebowali jej. Wyprowadziła ich z Reverie. Wiedziała, jak przeżyć w świecie na zewnątrz. Potrzebowali jej wskazówek. Opiekowanie się nimi było teraz jej nowym obowiązkiem.

Perry odgarnął jej włosy za ramię i szepnął:

– Odpocznij. Nie zwracaj na niego uwagi.

Jego niski, niespieszny głos rozchodził się po niej, wywołując ciepłe uczucie w żołądku. Uniosła głowę. Perry patrzył na nią zatroskany. Dotknęła palcami jego miękkiego zarostu, a potem zagłębiła je w jego miękkich włosach, chcąc poczuć wszystkie faktury ciała chłopaka.

– Jeśli coś ci się nie podoba, to patrz w inną stronę – odparła.

Zobaczyła, jak na ustach Perry'ego pojawia się lekki uśmiech, na moment zanim ich usta się spotkały. Ich pocałunek był delikatny i niespieszny, i bardzo znaczący. Odkąd poznali się w lesie, wszystko robili w pośpiechu. Kiedy byli u Fal. Kiedy spieszyli się do Reverie. Teraz w końcu mieli chwilę dla siebie, gdy nie musieli się kryć ani spieszyć. Tyle chciała mu powiedzieć. O tylu rzeczach powinien się dowiedzieć.

Perry położył dłoń na jej biodrze w zdecydowanym geście. Czuła, że ich pocałunek staje się czymś więcej, bo jego usta coraz mocniej przywierały do jej warg. Nagle między nimi zapłonął prawdziwy żar i Aria z wysiłkiem odsunęła się od Perry'ego.

Gdy to zrobiła, z ust Perry'ego wymknęło się delikatne przekleństwo. Jego w połowie przymrużone powieki skrywały rozproszony wzrok. Był tak samo owładnięty namiętnością jak ona.

– Wrócimy do tego, gdy będziemy sami – powiedziała Aria,

nachyliwszy się nad jego uchem.

– Oby szybko – roześmiał się Perry. Ujął jej twarz w dłonie i przyciągnął ją do siebie tak blisko, że zetknęli się czołami. Włosy Arii posypały się na jego twarz, stwarzając przestrzeń, która należała wyłącznie do nich dwojga. Z tak bliska mogła dostrzec tylko jego oczy. Były błyszczące i lśniące jak monety pod taflą wody.

– Kiedy odeszłaś, to jakbyś złamała mnie wpół – szepnął.

Wiedziała. Wiedziała o tym od chwili, gdy to zrobiła.

– Próbowałam cię chronić.

– Wiem. – Odetchnął głęboko. Pogładził jej policzek wierzchem palców. – Chcę ci coś powiedzieć. – Uśmiechnął się, ale wyraz jego oczu pozostał łagodny i kusicielski.

– Co takiego?

Pokiwał głową.

– Chciałem ci to powiedzieć już od dawna. Poczekam z tym jednak do chwili, kiedy będziemy sami.

Aria się roześmiała.

– Oby szybko. – Znów położyła się na jego torsie, nie potrafiąc sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek czuła się bezpieczniej.

Pod nimi uciekały wzgórza. Nie wiedziała, że są już tak daleko. Niedługo znajdą się u Fal.

– Przyrzekam, prawie się porzygałem – wymamrotał Soren.

Aria przypomniła sobie ich ostatnią pospieszną rozmowę przez Wizjer.

– Co? – zapytał Soren z niezadowoloną miną. – Czemu tak na mnie patrzysz?

– Powiedziałeś, że wiesz, gdzie jest Wielki Błękit. – Zostali rozłączeni, zanim zdążył przekazać jej tę informację.

Soren uśmiechnął się szeroko.

– Zgadza się, wiem. Słyszałem wszystko, co ojciec i Sable mówili o Wielkim Błękitcie. Ale nic nie powiem przy Dzikusie.

Ramiona Perry'ego napięły się.

– Jeszcze raz mnie tak nazwiesz, Osadniku, a będzie to twoje ostatnie słowo w życiu – powiedział, po czym z powrotem się rozluźnił. – I nie musisz mi już nic mówić. Wiem, gdzie jest.

Aria spojrzała na Perry'ego. Poruszyła się zbyt szybko i jej ramię przeszył ból. Zagryzła wewnątrz wargę, aby go wyciszyć.

– Wiesz, gdzie jest Wielki Błękit?

Pokiwał głową.

– Flota zmierzała prosto na zachód, a tam jest tylko jedno.
Świadomość spłynęła na nią, zanim Perry dokończył zdanie.
– Jest na morzu – powiedziała.

Perry potwierdził to, wydając z siebie niski pomruk.

– Nigdy nie byłem bliżej Błękitu niż w domu.

Soren wykrzywił usta w grymasie niezadowolenia.

– Nie wiecie jednak wszystkiego.

Aria pokręciła głową, nie mając nastroju na gierki Sorena.

– Po prostu nam powiedz, Soren. Czego się dowiedziałeś?

Soren złożył wargi, jakby miał powiedzieć coś złośliwego, ale po chwili rozluźnił mięśnie twarzy. Kiedy odpowiedział, jego głos był jednostajny i pozbawiony zwyczajowej goryczy.

– Sable mówi, że będą musieli pokonać litą ścianę eteru, zanim znajdą się pod czystym niebem. – Wydał z siebie lekceważące prychnięcie.

– Powiedział, że potrafi to zrobić. Ale to bzdura. Żaden pojazd tego nie wytrzyma.

Pojazd nie, pomyślała Aria, wiedziała jednak, że istnieje inny sposób. Oboje z Perrym odezwali się w tym samym momencie.

– Cinder.

43
PEREGRINE

Hover minął wioskę Fal i pomknął wzdłuż wybrzeża na północ. Soren musiał przelecieć nad morzem, żeby dotrzeć do osłoniętej zatoczki przed jaskinią, bo skarpa była zbyt stroma, by pojazd jej podolał. Perry zauważył, że trzęsło nimi, gdy jechali nad wodą. Kiedy Aria zasnęła, patrząc na horyzont, Perry poczuł nagły przypływ nadziei. Nie mieli Cindera ani potęgi, jaką Sable i Hess posiadali razem, ale Wielki Błękit znajdował się gdzieś na morzu, a nikt nie znał morza tak jak Fale. To było ich terytorium.

Talon i Clara obudzili się w chwili, kiedy pojazd lądował na plaży. Perry miał gotowe wytłumaczenie, dlaczego musieli opuścić wioskę, ale widząc szerokie uśmiechy na ich buziach, postanowił, że powie im dopiero, kiedy zaczną zadawać pytania.

– Powiedz, że nie wylądowałem właśnie przed jaskinią – powiedział Soren.

Aria poruszyła się w ramionach Perry'ego. Powoli wyprostowała nogi i wstała.

– Możemy się go pozbyć w każdej chwili.

– Mam nadzieję, że nie żartujesz – odparł Perry. Już tęsknił za jej ciężarem na swoim ciele.

Soren odepchnął ster i wstał.

– Ładna mi wdzięczność za uratowanie wam życia. A przy okazji, proszę bardzo.

Aria uśmiechnęła się. Wyciągnęła rękę, by pomóc Perry'emu się podnieść, wciąż przytulając zranione ramię do boku.

– Kto mówił, że żartuję?

Perry wstał i poszedł za Arią do głównej kabiny, ignorując jęki i westchnienia zebranych tam Osadników. Położył dłoń na ramieniu Talona i stanął przy Arii, która przycisnęła przycisk przy drzwiach. Właz otworzył się, opadając na piasek i wpuszczając do środka powietrze pełne odgłosów morza.

W świetle poranka zobaczył, jak Fale wybiegają z jaskini, wypełniając plażę. Wpatrywali się w pojazd z otwartymi ustami, czując coś pomiędzy niedowierzaniem a paniką. Za jego plecami dziesiątki Osadników przyglądały się światu na zewnątrz. Ich strach był namacalny,

tak mocny, że wyczułby go nawet nos otepiiony dymem.

Perry dostrzegł Marrona i Reefa. Beara i Molly. Braci Hyde'a, Haydena i Marudera. Willow i Brooke. Szukał wzrokiem Roara i Twiga. Poczul żal, kiedy zdał sobie sprawę, że żadnego z nich jeszcze tu nie ma. Musiał ich odszukać – tak jak i Cindera – najpierw jednak należało wraz z Arią pomóc Osadnikom odnaleźć się w ich tymczasowym domu. Utworzą nowe plemię.

Pchlarz podbiegł do rampy i zaczął skomleć i merdać ogonem na widok Talona. Merdał całym swoim ciałem. Talon podniósł główkę. W jego oczach błyszczała niecierpliwość.

– Mogę iść?

– Jasne – powiedział Perry.

Talon zbiegł po rampie razem z Clarą.

Aria uśmiechnęła się do Perry'ego. W jej oczach dostrzegł nieskończone uczucie, silniejsze niż cokolwiek innego.

– Spróbujemy jeszcze raz?

Perry wziął ją za rękę. Spletli mocno palce i razem zeszli na piasek.

PODZIĘKOWANIA

Przede wszystkim dziękuję Barbarze Lalicki za wsparcie i dobre rady podczas tworzenia tej powieści. Słowami otuchy i mądrymi radami wiele razy skierowałaś mnie na dobry tor. Mam niebywale szczęście mieć redaktorkę o duszy i talencie prawdziwej artystki.

Dziękuję Andrew Harwellowi za wkład edytorski i pomoc w tak wielu innych sprawach. Andrew, masz fantastyczne nastawienie do swojego zawodu, przez co praca z Tobą to czysta przyjemność. Dziękuję adiustatorce Karen Sherman. Jestem tak wdzięczna za Twoją przenikliwość i dokładność. Dzięki Tobie błyszczę, a bez Ciebie niczego bym nie osiągnęła. Wyrazy wdzięczności kieruję też do działów marketingu, opracowania graficznego i sprzedaży w HarperCollins. Po cichu wykonujecie dla mnie ogromną pracę i bardzo doceniam wszelkie Wasze starania.

Dziękuję moim ninja-agentom Joshowi i Tracey Adamsom za zajmowanie się biznesową stroną tego przedsięwzięcia, żebym ja mogła się skupić na zabawie – czyli tworzeniu. Jesteście wspaniali. Dziękuję też Stephenowi Moore za dogłębne oglądanie moich spraw w Los Angeles.

Lorin Oberweger, Eric Elfman, Lia Keyes i Jackie Garlick byli zawsze gotowi podrzucać mi pomysły, czytać i konstruktywnie krytykować tę powieść w trakcie jej powstawania. Jesteście dla mnie bezcenni.

Dziękuję Muzom YA – mojej rodzimej drużynie Kathy Longshore, Talii Vance, Bretowi Ballou i Donnie Cooner – bez Was nie bawiłabym się tak dobrze. Dziękuję Wam za to, że towarzyszyliście mi w tej podróży. YAH-Muzy!

Jedną z najwspanialszych rzeczy w pracy pisarki jest to, że człowiek staje się częścią pisarskiej społeczności. Dziękuję Apocalypsies za przyjaźń i wsparcie podczas mojego debiutu. Kilka lat temu do swego grona przyjęło mnie Society of Children's Book Writers & Illustrators. W szczególności dziękuję Kim Turrisi. Chciałabym kiedyś otworzyć drzwi przed kilkoma nowymi twórcami, tak jak Ty zrobiłaś to wobec mnie.

Rodzina jest moim największym skarbem. Moi rodzice, teściowie, bracia, siostry, kuzyni, ciocie i wujkowie, bratankowie i bratanice, siostrzenice i siostrzeńcy... mogłabym napisać przynajmniej jedną książkę o tym, jak bardzo Was kocham. Dziękuję za to, że we mnie wierzycie.

Michaelowi, Luce i Rocky'emu chcę zaś powiedzieć: jesteście dla mnie wszystkim.

Na koniec, choć kolejność nie ma tu znaczenia, dziękuję blogerom i czytelnikom na całym świecie. Jestem Wam ogromnie wdzięczna za to, że poświęciliście swój czas Perry'emu i Arii. Wielu z Was nawiązało ze mną kontakt, a Wasze wsparcie i entuzjazm bardzo mnie poruszyły. Dziękuję!

Jesteście gotowi? Czas ruszyć ku Wielkiemu Błękitowi...

Tytuł oryginału: *Through the Ever Night*

